

ATENEUM.

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XXIII.

ROK VI.

TOM III.—ZESZYT III.

Wrzesień.

WARSZAWA.
DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO,
ulica Królewska, Nr. 23.

1881.

SPIS RZECZY.

Druk ukończono 31 Sierpnia 1881 r.

DZIEŃ ZADUSZNY.

NOWELLA.

Porzecze (w Poznańskiém) *2 Listopada 1880 r.*

Przez całe moje życie, długie i już dzisiaj kresu dobiegające, pieściłem zawsze w duszy méj jedno marzenie. Chciałbym raz jeden przepędzić kilka przykrych miesięcy jesieni lub zimy, gdzieś, daleko na południu, pod jasném włoskiém niebem.

I proszę państwa—dlaczegóżbym nie miał oddawać się takiemu marzeniu? Skoro tylko biedny nauczyciel w Porzeczu zacznie raz fantazyować i puści wodze wyobraźni, to rozmiary marzeń nie stanowią mu żadnéj różnicy. Jego nadzieje przyjmują kształty olbrzymie, niezmierzone, chimeryczne!

Na loteryi nie grywam, i gdybym nawet był kiedy wiedzionym na pokuszenie, to mam tyle powodów do oparcia się pokusie, że tu nie może być żadnéj niespodzianki. A zresztą, gdybym i grywal, to trzebaby było wyjątkowego szczęścia, żeby wielki los wpadł do mojéj kabzy. A po za tém nie widzę żadnéj innéj możliwości do przeniesienia się na cztery lub pięć miesięcy w okolice Wezuwiusza.

Musiałem się więc przez całe życie zadowalać czytaniem opisów tego boskiego kraju, i mocno się ucieszyłem, gdy na rycinie mogłem zobaczyć wulkan ozdobiony u góry pióropuszem z dymu.

Lecz w dniu *tym*, gdyby mi zaofiarowano do pobytu krainę oświetloną wszystkiemi blaskami zwrotnika, tobym odmówił zamiany na nasze stare, dobre niebo poznańskie...

A jednak, ten dzień drugiego listopada był szczególnie przykrym. Całe, pokrywające ziemię, powietrze było jedną ciężką, ołowianą, gęstą, nieruchomą chmurą i to tak zniżoną, że dojrzéć nie-

można było wierzchołków topoli, wyprostowanych szeregiem wzdłuż drogi wiodącéj do Rzeszówka. Mróz wczesny już się wgryzał w kielichy ostatnich kwiatków jesiennych. Reszki liści na drzewach, zaskoczone zimnem, drżały ze strachu. Pierwsze to powiewy zimy wróżące ostrą porę roku. Jedném słowem zmrok ponury, rozpoczęty przed zorzą poranną i obiecujący przetrwać dzień cały, aż do nocy. Skoro tylko przyroda zacznie raz ukazywać swe ciemne strony, to już nic nie zdoła jéj dorównać co do głębokości smutków, jakie roztacza.

Taka pogoda, niegościnna na pierwszy rzut oka, doskonale nadawała się w tym wypadku do okoliczności, był to bowiem dzień umarłych. Mówię to zupełnie szczerze, bo chociaż mam tak wielki pociąg do krajów południowych, to przecież, myśląc o nich, zawsze, wyobrażałem sobie ich czary złączone z przyjemnościami życia, nie zaś z jego troskami.

Zaręczyny, ślub, chrzest, uroczystości rodzinne, obchodzone pod jasném niebem, wobec pogodnego morza, roztaczającego się po za zieloném wybrzeżem, z muzyką na przedzie, ze śpiewami chóralnemi; młode dziewczęta ustrojone biało lub różowo, chłopcy w jasnych ubraniach, w kapeluszach słomianych przechylonych nad uchem,—o! to wspaniałe! To obraz skończony, barwy dobrane! Wszystko tam pragnie życia i nie odmawia udziału w téj zabawie upajającéj.

Lecz śmierć ze wszystkiemi swemi przyborami tworzy akord fałszywy w takiém otoczeniu. Przez miłosierdzie dla umierających, przez litość dla tych co pozostają, ostatnia godzina życia powinnaby wybijać wtedy, gdy słońca niema na niebie, i w téj porze roku, gdy przyroda zabiera się do snu zimowego. Daleko mniéj się cierpi, widząc, że żałoba w około łączy się z goryczą naszych własnych boleści. A może też właśnie z téj przyczyny ludzie częściéj umierają w nocy, niż we dnie?

Według nowych zwyczajów, nieistniejących za moich lat młodych, ubierają dzisiaj trumnę w kwiaty i wieńce. Łączą przepych wiosenny: róże, stokrotki, fijołki, lilie z obchodem bolesnym i rozkładem ciała.

Sprzeczność! Ironia!

Za moich czasów używano tylko nieśmiertelników. To są prawdziwe kwiaty grobów; rzekłbyś, że się rodzą nieżywemi, a swą suchością i nieczułością opierają się zniszczeniu. Trwać one mogą przynajmniéj tak długo, jak smutek, który kierował palcami splatającemi je w wieniec! Lecz inne kwiatki! tak delikatne, tak przezroczyste, tak wątłe! Czyżby nie lepiéj było dać im umrzéć w bujnych

warkoczach dziewczyny, albo téż pozwolić im na wydanie ostatnich woni przy dziewiczéj piersi?

Zatopiony w takich myślach, kończyłem splatanie wianka z nieśmiertelników. Jeszcze jedno przewiązanie nitką, przypięcie spinki z czarnych paciorek, a dzieło moje skończone; rzecz dziwna, jak wielkiéj nabyłem wprawy w robieniu tego rodzaju oznak żałobnych!

A przecież zajmowałem się tém, jeden tylko raz do roku i byłto dopiéro dwunasty wianek; droga moja żona Zofia umarła dwanaście lat temu.

Gdy już robotę skończyłem, przekonałem się, że nie mogłaby trwać dłużéj. Oczy zaczęły mi się pokrywać mgłą, podnoszącą się z głębi serca. Włożyłem płaszcz na plecy, nacisnąłem czapkę, zawiesiłem wianek na lewéj ręce i oparty na lasce powędrowałem ku cmentarzowi w Rzeszówku.

O! to życie! Gdyby wiedziano co z sobą przynosi i gdyby przyjęcie jego zależało od woli, to niejeden z ludzi wybrałby sobie co innego. Ja sam nie byłbym z nich ostatnim.

Dzieci nie mam. Jestem wdowcem, a raczéj sierotą po méj żonie. I pocóż ciągnąć mam jeszcze za sobą kulę u nogi w wędrówce po ziemi? Znajdą się młodsi odemnie do uczenia dzieci czytania, kaligrafii, rachunków. Możeby nawet lepiéj zadanie swe spełniali, starając się wpajać w młode umysły rzeczy nowe, gdy tymczasem ja, z wielkim trudem, wpajam w nie pamięć o rzeczach, niestety już chyba przebrzmiałych.

Mgła powoli się podnosi. Tworzy ona drugą niższą powłokę chmur. Obłoki, gnane wiatrem ostrym i przejmującym, uderzają się, kłębią i gromadzą w wielkie masy. Niebo staje się coraz bardziéj ponurém i burzliwém. Słońce istnieje tylko we wspomnieniu; gdzieś, daleko w nieznanych krajach, świeci może jedynie dla siebie samego,—byle tylko świecić!

Bodajbym tylko czego w domu nie zapomniał!

Nie! Drzwi zamknięte na dwa spusty.

A moja fajka? a mój worek z tytoniem! Ba! czuję je w kieszeni.

Gdy będę wychodził z cmentarza, pod rękę ze starym przyjacielem Tomaszem, nie potrafię się obejść bez tego dodatku. Gdy nam słów braknie do rozmowy, to przerwy zapełniają się puszczaniem na wiatr fajczanego dymu. O! wierny mój przyjaciel, będzie na posterunku. To mój towarzysz przy grobach. Żony nasze spoczywają obok siebie. Sąsiadowały z sobą za życia, trwa to daléj w wieczném milczeniu.

. . . .

Lecz otóż i wrota cmentarne. Zawiasy zardzewiałe i skrzypiące, jak to zawsze bywa. Ciężko wrota otworzyć, ale jeszcze ciężéj, gdy się je przekroczy.

Wchodząc w to smutne ogrodzenie, doznaję za każdym razem ściśnienia serca. Opanowuje mię boleść taka, jak gdym pierwszy raz wchodził w zaduszki na cmentarz, przed laty dwunastu.

Tomasz już mnie wyprzedził. Pomimo flegmatycznego usposobienia, ten człowiek jest zadziwiająco czynnym. W mgnieniu oka załatwił się ze swą robotą. Już niema chwastów niepotrzebnych, które wybujały na mogile. Rowek, po którym spływa woda deszczowa, jest czyściutki. Krzyż żelazny wygląda, jakby go przed chwilą z odlewni przyniesiono. Wianek ze złotych nieśmiertelników otacza ramiona krzyża.

Tomasz zdjął czapkę, ukląkł i modli się.

Modli się? A może błąkają się w jego głowie myśli nieokreślone, dawne wspomnienia? Kto to wie? Usta zupełnie nieruchome.

Sędziwa głowa, zwieszona na pierś, zestarzała się bardzo od roku. Zdawałoby się, że jego oczy, przykryte krzaczystemi, siwemi brwiami, starają się usilnie przeniknąć przez ziemię aż do wieka trumny kryjącéj zwłoki żony. Duża łza, która się wymknęła z pod powieki, zatrzymała się przez chwilę na zmarszczce policzka i nareszcie spłynęła na wąsy. Pewnie drugie oko, wydało drugą łzę; widzę starego leśnika tylko z boku.

O! Ten się nigdy nie pocieszy. Mogę za to zaręczyć.

Teraz na mnie koléj do pracy.

Po chwilce oba groby nie mają sobie nic do pozazdroszczenia.

Tomasz czuje, że jestem tuż obok niego, lecz nie popatrzył nawet na mnie. Niedługo to nastąpi.

Nie śmiałbym przerwać nici jego rozmyślań. Zresztą marzę o czém inném. Biedna moja Zofia!

Rysy jéj odtwarzają się w méj pamięci. Widzę ją młodém dziewczęciem, potém w wieku dojrzałym, potém przygnębioną laty i schorzałą. Te obrazy tak szybko przelatują, tak się plączą w myśli, że gdybym chciał oddać na płótnie jéj postać, to stworzyłbym jakieś widziadło senne, a nie istotę rzeczywistą.

Jedna rzecz staje mi żywo w pamięci: to jéj głos. Potrzebuję tylko przymknąć powieki, zapędzić się myślą w przeszłość, a wnet słyszę głos Zofii. Śmiała się dźwięcznie i młodzieńczo aż do końca swego życia; szeptała tak jakoś dziwnie do mego ucha; gdérała w sposób sobie właściwy, gdym niedostatecznie otulony wychodził

na zimno, albo w skwarze słonecznym szedł bez kapelusza. A w jakąż to powagę dźwięczną umiała ubrać swe słowa, gdy rozprawiając z sąsiadkami, aby je stanowczo przekonać, używała własnych moich wyrazów wypowiedzianych dnia poprzedniego. Któżby mógł oprzéć się powadze zdań jéj męża.

Zdarzało się, że dzieci doprowadzały mię w szkole do wściekłości. Zamknąłem więc jedno lub drugie do karceru. Gdym wrócił do domu, Zofia poznawała odrazu, ze zmarszczonych brwi moich, że była w szkole burza i że winowajca siedział pod kluczem. Chodziła wtedy koło mnie, przestawiała krzesła, żeby zwrócić na siebie uwagę, potém opierając się na moim fotelu, mówiła:

— Przebacz mu, raz ostatni, tylko ten raz jeden! Już więcéj tego nie zrobi. Pozwól, niech go sama zawstydzę! Już będzie się miał z pyszna, zobaczysz! No! bądź dobrym! Nie gniewaj się!

I czułem, że pod jéj wejrzeniem, przy takich słowach serce mi się zaczynało roztapiać. Za całą odpowiedź oddawałem jéj klucze, z miną groźną na pozór.

Ona szybko biegła do klatki i wypuszczała na wolność ptaszę-psotnika, które odlatywało trzepocząc skrzydłami.

Namiętnie lubiła dziatwę, nawet zupełnie sobie obcą. O! jakby też uwielbiała własne dzieci! Los jéj odmówił téj pociechy.

Biedna istota, nie zaznała wielkich radości na téj ziemi! Będzie ona jéj lekką, bo przykrywa wspomnienia zalet najlepszych, prawdziwie anielskich.

Miała nieboszczka świętą rezygnacyą, słodycz, poświęcenie. szukała swego szczęścia w uszczęśliwieniu innych.

Zakryłem twarz rękami i ścisnąłem zęby, aby stłumić łkanie duszące mię za gardło. Wstydziłem się trochę Tomasza i nie chciałem się wydać na zewnątrz z moim smutkiem.

Leśnik był już na nogach. Przywitał się ze mną i podał mi dłoń serdeczną.

Ścieżki między grobami są tak wązkie, że szliśmy przez cmentarz jeden za drugim.

— Mój drogi, sądzę, że teraz pójdziesz do mnie coś przekąsić; nie odmówisz mi tego, chociaż to u ciebie we zwyczaju.

— Nie będziemy się z sobą rachowali. Dopóki jeszcze stoimy na nogach, maszerować nam razem i to w ściśniętych szeregach.

— Dzisiaj szczególnie czuję się jakoś nie swój—odparł leśnik. W ciągu roku, to jeszcze potrafię otrząsnąć z siebie troskę, ale w dzień zaduszny, dom mój wydaje mi się straszliwie pustym. Czuję

przygnębienie na myśl o tém, że samotny siądę do stołu; odechciwa mi się i jeść i pić. No! żywiéj! przyśpieszmy kroku! Wcale nie ciepło na dworze.

— Wygląda na świecie tak, jakby się już zima na dobre rozgościła, a przecież według kalendarza mamy jeszcze kilka długich tygodni jesiennych.

— Kalendarze nie w niebie się drukują. Robią je w Rzeszówku. Nie daje to wcale prawa do nieomylności.

— Za moich czasów, przepowiednie kalendarzowe były trafniejsze. Teraz paplają na chybił-trafił. Coś się popsuło albo u góry, albo tu na ziemi.

— Wszystko się rozstraja, mamy przykład na sobie. A jednak zdaje mi się, że mimo ostrego wiatru, pogoda zrobi nam jąkąś niespodziankę.

— Jąką?

— Popatrz na te oto tam chmury; biegną ku północy, jakby szatan je poganiał. Lecz na północy miejsce już jest zajęte. Patrz, tam, za dzwonnicą. Wiszą tam obłoki gęste i nieruchome. Skończy się na spotkaniu i walce.

— A więc burza?

— Z ulewą na wpół śnieżną. Jaki z ciebie niedołęga. Czemu nie wziąłeś parasola?

— A ty?

— I ja także. Śpieszmy!

Tym razem leśnik przewidział na kilka godzin naprzód. Dobraliśmy się na sucho do domu i wkrótce siedzieliśmy już za stołem i nie obchodziło nas nic, co się działo na dworze.

Mięso było wczoraj jeszcze przyrządzone, ale nikt tak, jak Tomasz, nie umiał go przyprawić. Miał pewnie jakiś przepis familijny. Cébula grała w tém ważną rolę. Czuło się ją po smaku, nie widząc wcale. Jest wielu smakoszów, co wolą czuć smak téj przyprawy, nie drażniąc oczu jéj widokiem. Tomasz do nich należał; spostrzeżenie to zrobiłem nie po raz pierwszy w życiu.

Wypiliśmy jednę buteleczkę i stała próżna przed nami z szyjką wyciągniętą. Leśnik postawił świeżą. Udałem, że nie widzę, aby godniéj oddać hołd gościnności.

Potém przyszła koléj na kartofle ze śledziem i różnemi dodatkami. Był-to koniec serdecznie zastawionéj uczty. Dla mnie mięso by wystarczyło. Ale w towarzystwie, człek chętnie zjada po nad zwykłą, niezbędną miarę. Ten szczególnie rodzaj przyprawienia kartofli wywierał na mnie zawsze pociąg nie-do-przezwyciężenia. Za lat dziecinnych, młodzieńczych, starych, zawsze był dla mnie

przynętą, na którą ślinka ciekła. Nie zostało też nic na talerzu; wystarczyłoby może na ucztę dla muchy tylko.

Trzeba było nareszcie odpocząć i zaczerpnąć pełnemi piersiami powietrza. Po tak sumiennéj pracy, mieliśmy prawo do odpoczynku.

— Warto spocząć—rzekłem, rozparłszy się na krześle.

— Kufelek piwa jest do tego niezbędny—zauważył leśnik, zbierając talerze i zmiatając ze stołu okruchy chléba jedném silném podmuchem.

Dobra to myśl i w najwyższym stopniu higieniczna. Piwo znakomicie się przyczynia do trawienia i po obfitéj strawie można bezkarnie, ba! nawet zdrowo połknąć dobrą jego porcyą. Zresztą bez szklenicy, źle się fajka pali. Jedna suszy gardło, druga je odwilża, a oboje razem przyczyniają się do zdrowia i sprowadzają zbawienną równowagę.

Tomasz napełnił szklanki i stuknąwszy, rzekł:

— Łyknij tęgo; niech nie będzie można powiedzieć, iż trzeba cię błagać o to byś pił, tak samo jak żebyś jadł.

— No, wiesz co, téj wymówki nie spodziewałem się. Nie jadłem dzisiaj, lecz pożerałem.

— Et! gryzłeś troszeczkę!

— Szkoda, że nie było świadka przy stole. Widząc moje chwalebne czyny, dałby mi świadectwo ze stopniem celującym—za apetyt oczywiście. Że jednak smakując w potrawach, miarkowałem jak mogłem moje żądze, to rzecz pewna. Cóż począć? Wstrzemięźliwość weszła mi w przyzwyczajenie.

— Nie należy tego posuwać za daleko.

— Zawsze mi z tém było dobrze. Za młodu pozwalałem sobie czasami i zapędzałem się zbyt daleko, lecz od ożenienia się nastąpiła zmiana. Żona doprowadziła do porządku i usunęła wszelkie wybryki. Tak uregulowała nasze życie codzienne, że szło jak zegar. Zachowałem się tak dobrze do sześćdziesiątki, dzięki jéj staraniom i ciągłéj opiece. Trzymam się nie źle, na te lata.

Leśnik po raz czwarty zapalał fajkę. Nie wiem jak się brał do tego, ale co chwila gasła. Nie przeszkadzało to jednak bynajmniéj do cmokania. Ciągnął na zimno. Potém, zapaliwszy, wyrzucił z ust gęsty obłok i rzekł:

— Z moją nieboszczką było inaczéj. Namawiała mię ciągle do jedzenia. Gorzéj jeszcze. Gdy cokolwiek nie domagałem—a zdarzało się to niezbyt często—żona oskarżała siebie sama i twierdziła, że to z powodu niezrobienia takiéj a takiéj potrawy. Była przekonaną, że gdyby była ją przyrządziła, to cieszyłbym się najlepszém zdrowiem.

Cała trudność leżała w tém, żeby odgadnąć, co to za potrawa, i żeby się co do tego nie omylić. Trzeba było widziéć, jak wtedy łamała sobie głowę. Co za badania, jakie pomysły! Widzisz—mawiała—znów ci się przyplątał reumatyzm do nóg! To moja wina! Gdybym ci wczoraj dała dobry talerz duszonéj kapusty, nie przyszłoby do tego. Ale jeszcze nie wszystko stracone. Poślemy do dyaska ten ból przeklęty. I zakasawszy rękawy, brała się ta dzielna gospodyni do roboty. Za chwil kilka rozchodził się po pokoju zapach doskonałego lekarstwa.

— I boleści znikały?

— Jakby cudem. Innym razem, gdy odwilż była na dworze, szczególniéj po długiéj włóczędze po lesie wracałem do dom zmachany i ledwie żyw. Odzienie miałem przemokłe, głowę w ogniu. Gniotło coś w piersiach. I cóż ona na to! Żwawo szła do roboty i wnet dymiła się na stole kiełbasa a potém półmisek, co mówię, cała góra klusek gorących.

— I chorobę djabli brali?

— W jednéj chwili. Na ból głowy i rozstrój żołądka nie znała nic skuteczniejszego, jak naleśniki z sérem i to zadane w porządnéj dozie.

— I skutek był dobry?

— Doskonały. Sztukę swą posunęła tak daleko, że mogła usunąć najgorszy ból zębów, najobrzydliwszą fluksyą, rozumiesz, fluksyą po obu stronach twarzy. Używała najprostszego środka pod słońcem.

— Jakiego?

— Przyrządzała na swój sposób cielęcinę. Podsmażała ją na patelni. Szkoda, że tajemnicę tego środka zabrała z sobą do grobu.

— Wielka szkoda!

— Dodawała, o ile sobie przypominam, trochę wędliny, majeranku, bobkowego liścia, korzeni i ziół rozmaitych. Nazajutrz człek wstawał zdrów, świeży, w dobrym humorze, bez opuchliny na twarzy i z zębami jak u krokodyla.

— To dziwne. Moja Zofia zbierała także wielkie mnóstwo ziół, ale to nie dla kuchni. Widziałeś na ścianach całe pęki lawendy, mięty, ruty, bożego drzewka, słowem roślin wszelakich. Zbierała wszystkie, byle dobrze pachły.

— I w jakim celu?

— Kładła wiązki między bieliznę. O! bielizna była jéj główną namiętnością. Gdy nadszedł dzień prania, nie chciała znać nikogo. I źle było z niebem, gdy dnia tego zachciało mu się razić ziemię deszczem. Wymyślała wtedy tak, że proboszcz gorszył się tem nie-

słychanie—mówiąc między nami, lepiéj-by zrobił, niezwracając wcale uwagi na te niewinne wybryki.

— Ba! każdy pilnuje swego rzemiosła.

— Ale gdy już porozwieszała na strychu prześcieradła, koszule i ręczniki, to wesołość już jéj nie opuszczała i uśmiech z ust nie schodził. Z jakąż to uroczystą powagą maglowała, prasowała i układała swoje skarby. Wszędzie jéj było pełno. Usiąść ani sposób. Lecz największą przyjemnością było układanie w komodzie i szafach. Każda rzecz na swojém miejscu, w swoim zakątku, aby ją z zamkniętemi oczyma odnaleść było można. A jakaż to piękna była symetrya w układzie! Większa kupka bielizny w głębi; inna niższa na przodzie. Sztywne, szlarkami obszyte, czepeczki wieńczyły te stosy. W kątach starannie pozwijane pończochy, a po bokach serwetki z frędzelkami. Miała wiele bardzo bielizny; należało to do jéj wyprawy. A kiedy się otworzyło drzwi szafy, cóż to za przyjemny zapach rozchodził się po pokoju! Pomyśl tylko: wszystkie te lawendy i mięty!

— Niemasz nic nad porządek w gospodarstwie—odrzekł leśnik, stawiając trzeci dzbanek piwa na stole.

— Ba! Pod tym względem długo jeszcze trzeba będzie czekać na tym świecie, na kobiétkę taką jak Zofia. Gdy spostrzegła na kimkolwiek brudną bieliznę, to była tak zmartwioną, jakby ją na sobie miała. Nieraz dzieci ze szkółki wprawiały ją po prostu w rozpacz. Pewnego dnia—nigdy tego nie zapomnę—zwróciła uwagę na dwóch bębnów, których koszule, nie ma co gadać, wyglądały tak, jakby niemi kilka kominów wytarto. W téj chwili chwyta ich, panie dobrodzieju, za kołnierz, wpycha do kuchni, ściąga ubranie, zdejmuje bieliznę, wkłada napowrót zwierzchnię odzież, zapina ją szczelnie i od syła w takim stanie do szkoły. Gdy lekcye się skończyły, czekała na dzieci przy wyjściu, zabrała napowrót do kuchni i bębny pobiegły do rodziców pokazać koszule śnieżnéj białości. Nie gniewali się o to i chętnie powtórzyliby niejednokrotnie taką próbę. Nie potrzebuję dodawać, że nauczka ta na nic się nie zdała.

— Ho, ho! Jeszcze mogliby uważać to za obrazę, powiadając że takie sprawy należą tylko do rodzonéj matki. Przypomina mi to moją nieboszczkę, która przez długi czas miała manią leczenia wszystkich włóczęgów z okolicy. Umiała wybornie leczyć rany, wrzody i pod tym względem walczyła o lepsze z felczerem z Rzeszówka. Pewnego razu Jakób, kamieniarz, ten gruby—przecież go znasz—ten co ma taki nos czerwony, zwichnął sobie nogę tuż koło naszego domu. Żona moja wyciąga natychmiast z szafki jakąś maść, oddawna na wszelki przypadek przygotowaną. Naciera Jakóbowi nogę w kostce, smaruje stopę, zawija w płócienne bandaże. Potém każe mu zmaczać ban-

daże wódką zmieszaną z wodą. Oczywiście dała mu tego lekarstwa. Jakób idzie do swego barłogu, kulejąc jak półtora nieszczęścia. I jakże dziękuje, jakże jest wdzięczny aż do saméj śmierci! Tysiączne błogosławieństwa! Nazajutrz, żona moja, wierząca w nieomylność swych środków, idzie odwiedzić chorego. Jakób, zupełnie rzeźki, siedzi grzejąc się na słońcu i pali fajkę. Zaczynają się oględziny nogi. Bandaż nienaruszony i zupełnie czysty i suchy. Ani śladu jakiejkolwiek-bądź plamki. Zajrzyjmy do butelki! Próżna!

— A! hultaj! zgaduję.

— Oczywiście! Zastosował lekarstwo „do wewnętrznego użytku“ i wytrąbił aż do dna.

— A noga?

— Wyzdrowiała; stała się jeszcze mocniejsza, niż druga, która wcale nie ucierpiała. Lecz to wyleczenie miało tak smutny skutek, że wszyscy żebracy z okolicy, spragnieni jak to zwykle bywa, przychodzili do nas, prosząc o lekarstwo na bóle w nogach. Niepodobna było odrazu odesłać ich do wszystkich djabłów.

— Moja Zofia nie zajmowała się medycyną. Miała jednak kilka przepisów na szczególniejsze wypadki, ale nie były to wcale rzeczy niebezpieczne. I tak, naprzykład, aby się jéj podobać, musiałem zawsze strzydz sobie włosy na nowiu.

— Środek tak dobry, jak każdy inny; a może nawet doskonały! Trzebaż mi było, bracie, powiedziéć o nim w swoim czasie, prawił daléj leśnik, prowadząc ręką po czaszce nagiéj i błyszczącéj jak kula bilardowa.

— Nie macie czego żałować—dodałem z zamiarem powiedzenia komplementu—staremu człowiekowi łysina bardzo do twarzy. Popatrzcie tylko na obrazy. Toć prorocy i ojcowie kościoła byli łysymi. Wszyscy z brodą a na głowie nic a nic. To im wcale nie przeszkodziło do zrobienia karyery na tym świecie i na tamtym.

— Zazdroszczę im tylko tego drugiego, bo mówiąc między nami, teraz, gdy żyję samotny, to już tego naszego świata mam aż póty—wyżéj łysiny. Skończcież raz wasz kufelek, przyjacielu! Kto wie czy za rok, w takiéj okazyi nie będziecie już tylko sami popijali.

— Dałbyś pokój Tomaszu, ranią mię twe słowa! Gdyby to usłyszała biedna twoja żona! Kto z nas dwóch ma prawo jęczeć i narzekać! Źle mi się robi, kiedy pomyślę, że się może nie znajdzie żywa istota do zamknięcia mi powiek. Ani rodziny, ani dzieci, ani krewnych; nikogo! Żona wasza zostawiła wam przynajmniéj córkę. I jaką jeszcze córkę! Proszę znaleść drugą podobną. Chcecie poszukać, czy nie?

— To zbyteczne; nie znalazłbym.

Na to podskoczyłem raptownie z mego siedzenia i uderzając kułakiem po stole, że aż zatańczyły dzbanki i szklenice, krzyknąłem:

— Do pioruna! Od dwóch godzin zapychamy sobie gardło, zalewamy się piwem, a jeszcześmy nie pili za zdrowie Anielki! Biedne dziecko! Po jakiegoż więc licha ma takiego ojca jak wy i takiego przyjaciela jak ja?

Po nad brodą leśnika zaigrał uśmiech i wnet się ukazał świeży dzbanek z białą pianką u góry.

— Cierpliwości,—rzekł—na wszystko czas. Anielka była wzorem cierpliwości, poczynając od kołyski.

— Najwinniejszym w téj całéj sprawie jestem ja—odrzekłem. Powinienem był sam zacząć od zapytania się, co ona porabia.

— Otrzymuję od niéj listy regularnie co miesiąc. Anielka jest szczęśliwą, że poszła za swoim mężem. I w Galicyi człek się czuje na własnéj ziemi.

— Dosyć tam pracy; chléba i zdrowia nie braknie. Nie zastąpi to naszego zakątka, ale pociesza. Ładny kraj, powiadają.

— Trzeba będzie kiedyś Anielkę odwiedzić.

— Na seryo, mielibyście zamiar?...

— Dla czegóżby nie? Za lat parę, będę już na emeryturze i wolno mi będzie robić, co się tylko podoba.

— Zaczekajcie przynajmniéj, zanim umrę — rzekłem po chwili milczenia, gryząc z pewnym smutkiem w duszy, koniec fajki. Tomasz mi jeden tylko pozostał ze wszystkich przyjaciół.

— Et! głupstwo!—odrzekł. Cóżby nam przeszkodziło pojechać razem? Człowiek z wykształceniem wszędzie może zarobić na życie. Zobaczysz mego wnuka. Nazywa się Tomasz, jak ja. Dyabełek wcielony! Rodzice nie mogą z nim dać rady. Za to Zosia, jest cudem łagodności i czułości.

— Podobna pewnie do matki.

— Do matki! To byłoby za wiele. Byłbym bardzo zdziwiony.

— To fakt, że dużo dzieci przeszło przez moje ręce, lecz przez całe życie nie widziałem ani jednéj dzieweczki podobnéj do Anielci.

— Nieprawdaż?

— Przypominacie ją sobie, jak była taka mała, o, taka?

— Czy sobie przypominam? Na Boga! Młode jéj latka ciągle mi stoją przed oczyma.

— Widząc kwiat w pączku, obiecujemy sobie często więcéj, aniżeli potém znajdujemy w pełnym rozkwicie, albo w owocu.

— Nie umiałbym się wzdobyć na takie porównanie, lecz to wiem na pewno, że już w pączku znać było i widać to wszystko,

cośmy późniéj widzieli. Tylko, gdy dzieci są jeszcze drobne, zdaje się nam, że je bardziéj kochamy.

— Bo są słabsze. W każdéj chwili potrzebują naszéj pomocy, naszéj podpory. Za to téż tak się je kocha.

— Szczególniéj Anielkę. Wszyscyśmy to dobrze czuli, że nie mogłaby się obejść bez rodziców.

— Dodaj, że miała główkę nie dla proporcyi. Rzadko znaleść podobną.

— I ciemne oczy, tak czułe, tak głębokie. Ślépki jak u sarny.

— W tém ciałku dziecinném, dusza przeglądająca przez oczy zdawała się już być wielką.

— Inne dzieci, gdy się gniewają, lub płaczą ze zmartwienia lub bólu—zauważyłem to nieraz—zmykają do kącika i tam przycisnąwszy pięści do oczu, wrzeszczą jakby na dyablem weselu. Anielka nigdy nie pokazywała po sobie złości w tak brzydki sposób. Dzieliła się przyjemnościami z innymi, lecz cierpienia chowała wyłącznie dla siebie saméj. Potrzebowałem tylko wyciągnąć ku niéj ramiona; przybiegała szybko i przyciskała się do méj piersi; chowała tam twarzyczkę i czułem jak łzy mi po twarzy spływały. Nie trzeba było długo czekać na uspokojenie. Tak samo w chorobach i w chwilach wyzdrawiania. Gdym ją posadził na kolanach, odrazu czuła się zdrowszą. Usiadlszy, nie schodziła z nich wcale, aż ją nareszcie odnosiłem uśpioną do łóżeczka. Matkę aż zazdrość brała; ma się rozumieć, na żarty.

— A umiała téż odpowiadać, rzekłem z kolei, i to jeszcze jak odpowiadać! Trzeba się było trzymać za boki. Miała zaledwie lat cztery, gdym jéj przyniósł rysunek, przedstawiający różne zwierzęta. Słoń zwrócił szczególniéj jéj uwagę. Trzeba jéj było opowiadać najdrobniejsze szczegóły o tém olbrzymiém zwierzęciu; z czego były zrobione kły, trąba; jak się słoń zabiera do jedzenia, picia, jak się kładzie, biega, chodzi. Maleństwo wtedy zaczynało samo chodzić na czworakach udając ciężki chód gruboskórnego bydlęcia. „Oho! rzekłem widząc to, można-by cię wziąć za słonia we własnéj osobie.“ Ale wtedy, w odpowiedzi prosiła mię na wszystko, abym z kolei zaczął naśladować chód dziwnego słonia. I jakżeż było się oprzeć! Klaskała w rączki, skakała z radości i wreszcie wdrapała mi się na kark. „Jesteś bardzo grzeczny, krzyczała: kocham ciebie bardzo, będziesz moim słoniem a ja twoją słoniną.“ W naiwnéj swéj niewiadomości, mieszała rodzaje i pojęcia. Gdy potém wstąpiła do méj szkółki, nauczyła się dobrze słów używać.

— O! była sprytną—odparł leśnik. A jaki przytém charakter! Nie żartuję wcale. Posłuchajcie tylko: Pewnego wieczoru, przed

zachodem słońca—było to w sobotę—oczekiwałem gości na niedzielę i zajmowałem się czyszczeniem ogródka, żeby jako tako wyglądał. Trzeba było popisać się przed obcymi ludźmi. Więc wziąwszy łopatę w ręce, zacząłem okopywać grzędy. Tak szczerze zabrałem się do roboty, że zagłębiając łopatę w ziemię, silnemi uderzeniami i naciskaniem nogą, zapomniałem zupełnie o Anielce, biegającéj w około mnie, wedle zwyczaju, uganiającéj się za motylami i śpiewającéj jak leśne ptaszęta. W tém, uderzywszy silniéj niż zwykle łopatą i wyrwawszy ją gwałtownie z ziemi, uczułem jakiś opór za sobą, stuknięcie, suche uderzenie. Wielki Boże! to było moje maleństwo! Nie zauważyłem jéj wcale! Stanęła za mną po cichutku i przyglądała się robocie. Przeklęty trzonek od łopaty ugodził ją po nad oczyma. w sam środek czoła. Krew się ścięła w moich żyłach. Może czaszka strzaskana? I zaczęły się krzyki i płacze! Podniosłem ją na rękach. Dziecko zapewne przez łzy spostrzegło moje zrozpaczone oczy, moję twarz bladą i zmienioną. Wolałbym złamać sobie obie ręce lub nogi! W życiu mojém nie byłem nigdy tak przerażony. W tém ustał raptownie i krzyk i płacz. — „To nic, to nic!—powiedziała—mówię, że nic! Nie bój się tato, mój drogi tato! Doprawdy, już nie boli! To przejdzie!“ I objęła mą szyję drobnemi rączkami i całowała tak, że mało mi się dusza nie rozpłynęła. Miałem twarz mokrą od jéj łez, które płynęły daléj, bo dziecina dużo cierpiała. Ja myślę, że cierpiała! Czołko jéj z czerwonego, stało się prawie czarném. Ale myśl o tem, żeby mnie uspokoić, żeby pocieszyć, wzięła górę nad bólem. Co? dziarska dziewucha? nieprawdaż bracie?

— Wcale mnie to nie dziwi. Po niéj można się było tego spodziewać. Takich dzieci teraz się nie widuje, tak doskonałych w całém znaczeniu tego słowa. Czułości—pełne serce, dowcipu—ile chcesz na zawołanie, a w życiu codzienném wesołość niczém nie zachwiana. Ileż to razy wprawiała mię ona w dobry humor, gdy słysząc uwagi robione wam przez matkę, powtarzała je przed wami! Przypominacie sobie te gderania? Ona i z tobą tak się obchodziła, jakbyś był jéj małém dzieciątkiem. Dalibóg! przecież ona cię naprawdę nazywała swém dzieckiem. Pamiętasz, jak to nieraz wracałeś z leśnych wycieczek, a ona woła: „Patrz mamo, jak on się zgrzał! Nie może widać chodzić pomału, jak rozsądny chłopiec. Nie, musi latać prędko, bardzo prędko!“ I daléj-że obcierać ci czoło swym niebieskim fartuszkiem. „Czy widział kto kiedy podobnego dzieciaka, ciągnęła daléj; nikogo nie słucha, nawet mnie! Pewna jestem, że mu się bardzo pić chce. No, no; powiédz już swéj mamusi, czy masz pragnienie. Mów prawdę! Trzeba zawsze mówić prawdę! Chciałbyś trochę piwa? Mówi „tak“ oczami. Dostaniesz już, dostaniesz. Tylko

się nie maż, moje dziecko, zaraz ci przyniosę pić. Ach! mój Boże, coby to bezemnie robiło!“ I nie było temu końca; i ty zapominałeś o zmęczeniu i nim się wziąłeś do kufla, poiłeś się pieszczotami i słowami małéj! I nie spuszczałeś z niéj oka; a kiedy znów do ciebie przybiegła utulić się na twych kolanach, matka obejmowała was oboje spojrzeniem, cichutko siedząc w kąciku, uśmiechnięta cała.

— O, nie tylko mnie lubiła ona prawić nauki. Była jeszcze inna ofiara, co radośnie poddawała się strofowaniu małéj despotki. Pamiętasz, stary Zagraj, z długiémi uszami, z ogonem, jak kita. Możnaby o nim powiedzieć, że umarł wiekowy, tak długo żył, jak na psa. Już czego to psisko nie dało z sobą wyrabiać. Jak pragnę zbawienia, miało prawdziwie anielską cierpliwość! Ani chwili spokoju. Obracany na wszystkie strony. Nawtykała mu pęki kwiatów na około szyi, pod obrożę. A jak śmiesznie wyglądała z nich jego kudłata głowa. Albo znów innym razem, kiedy się uwzięła nauczyć go skakać przez sznurek. Próżne zabiegi. Żeby nie o dwie łapy miał za dużo, byłoby się może wszystko udało. Ale w zamian za to, zgadzał się z całego serca dźwigać za nią wiadro z wodą, kiedy było potrzeba rozczyniać ciasto na placki z piasku. Nie na tém jeszcze koniec. Pewnego pięknego ranka widzę Zagraja, zaprząg nietego do taczek, téj kolendy od twéj nieboszki, jeżeli się nie mylę. Pozwoliłem sobie zrobić uwagę, ale panna odparła, że porządkuje w ogrodzie, a do tego koniecznóm jest jéj wózek i koń, prócz tego Zagraj zastępuje konia, jak nikt. Taczki zostały napełnione suchemi liśćmi; mnie nie pozostawało nic innego, jak skłonić głowę w pokorze.

— A Zagraj nie kładł swego veto?

— Ale nigdy. E, i ja byłbym na jego miejscu robił to samo, rozumie się, pod warunkiem, żeby sąsiedzi nie podpatrywali, co się u mnie dzieje. Ludzie nie znają się na tych rzeczach. I najlepsi nie omijają sposobności podrwić sobie z bliźniego.

— Ale, ale, przyjacielu, mam ja sobie nieco do wyrzucenia względem Anielci.

— Żartujesz?

— Kiedy była jeszcze bardzo maleńka, obawiałem się nieco dnia, w którym zasadzi się ją do abecadła; bo takie to było ruchliwe, takie wesołe, tak się dawało porywać każdéj zabawie.

— Przecież zakazałeś sam posyłać ją do szkoły. Uparłeś się do nas przychodzić codziennie i sam na sam, wbijać jéj do główki pierwsze początki twéj wiedzy. To wstyd, do jakiego stopnia ty ją psułeś.

— Tam do dyabła! Była ona, czy nie — moją chrześnicą? Czy miałem inne dzieci? Dziwny pomysł przyszedł ci raptem do gło-

wy szykanować mię z tego tytułu. Jednem słowem podejrzywałem małą o roztrzepanie, o nieuwagę i o rozmaite inne wady. Wkrótce jednak musiałem wstydzić się przed sobą tego podejrzenia. Bo słuchała, przykładała się do pracy; wysilała się niemal z rzadką gorliwością. Nie dość na tém, z nas dwojga nie ona to grzeszyła zbyt często roztargnieniem. Czyja w tém była wina? Miły Boże tak jak mię widzisz, sam nie wiedziałem często co robić ze zmięszania. Zamiast odbywać z nią lekcye seryo, systematycznie, łapałem się nieraz na zasłuchiwaniu się w jéj szczebiocie, lub pękałem ze śmiechu na niektóre jéj uwagi. A nie brakowało ich i to najrozmaitszego rodzaju. Wyrywały się jéj one jak rakiety. Pewnego razu opowiadałem historyą świętą. Zdaje mi się, że ją widzę opartą o stół, z główką jéj śliczną, spuszczoną na dłonie, z oczyma, zawieszonemi na mych ustach, śledzącą za każdém mém słowem bacznie. Ile ona mogła mieć lat w tym czasie? Sześć lat, tak, nie więcéj. Objaśniałem jéj wędrówkę Izraelitów w pustyni. Nie był to łatwy orzech do zgryzienia. Czyniłem nad sobą wysiłki, żeby się zastosować do jéj pojęcia. Co prawda, to opowiadanie nie mogło wypaść na korzyść Izraelitów. Kłócili się między sobą, prowadzili wojny, zapominając o swoim Bogu, zaniedbywali modlitw rannych i wieczornych i sprzeciwiali się na każdym kroku swemu wodzowi. Mojżesz — takie było imię wodza — napróżno udzielał im rady, nie mówiąc już o karach. Zupełnie tak to pomagało, jakbyś groch rzucał o ścianę. Zrospaczony, tracąc głowę, co zrobić z tém zbiegowiskiem niegodziwców, postanowił poradzić się Boga. Ledwie, wymówiłem te ostatnie wyrazy, kiedy Anielka mi przerwała: „Poradzić się Boga! to Mojżesz był niebezpiecznie chory.“ Osłupiałem. A po pierwszéj chwili zdumienia, parsknąłem śmiechem. Anielcia, zapytana przeze mnie, odrzekła, że słyszała dziś rano, jak matka mówiła do starego piekarza, który był niezdrów, że na jego miejscu dawno już byłaby poszła poradzić się doktora. Masz dowód, druhu, z jaką łatwością ten miły dzieciak chwytał słowo i posługiwał się niém w potrzebie.

— Dosyć ona mówiła takich słówek; można-by z nich było cały ułożyć katalog. Pan Bóg sam raczy wiedzieć, co się tam działo w téj małéj głowinie i skąd ona brała te pytania, któremi tak zarzucała człowieka. Była to inkwizytorka zapamiętała, wprowadziłaby niemi w kłopot i nieco uczeńszych ludzi, niż ja i moja żona.

— Bezwątpienia—odrzekłem—jeżeli mogła zmięszać mnie, który zęby zjadłem na nauce.

— Nigdy tak nie byłem zdumionym jéj pomysłami, jak owego dnia, kiedy to zaszła owa historya z dragonem.

— Ah, tak. Znam ją; obiegała ona czas długi po okolicy.

— Przypominasz ją sobie dobrze?

— Rozumie się. Przecież ty sam opowiadałeś mi ją ze sto razy.

— Słuchaj więc.

— Słucham. A więc...

— Oddział dragonów z garnizonu, stojącego onego czasu w Rzeszówku, wyprawił, nie wiem z jakiego powodu, do nas podoficera z drugim jeszcze dragonem.

— Było to w celu urządzenia obławy na dziki.

— Istotnie. A to kapitalną masz pamięć, sąsiedzie.

— Strawiłem życie na ćwiczeniu jéj. Ciągnij daléj.

— Podoficer przyszedł do naszego domu. Byłem właśnie w lesie. Zaprowadził więc swego konia do szopy i usiadł przed domem, czekając na mnie, na ławce, przysuniętéj do okna. Dziewczynka hasała sobie po pokoju. Na widok wojskowego stanęła, jak wryta. Pierwszy raz w swém życiu widziała żołnierza. Pałasz, mundur, hałaśliwe wzięcie się wojskowego, wszystko to wywarło na niéj silne wrażenie. Ale najwięcéj wprawił ją w zdumienie...

— Kask!

— Tak, kask. Nie przerywaj że mi! Zawisła na krześle i oparta o okno otwarte, utkwiła nieruchomie oczy w dziwném przykryciu głowy. Kita, błyszczący wierzch mosiężny, każdy szczegół dawał jéj wiele do myślenia i wzbudzał podziw zarazem. Kita jednak zaintrygowała ją najwięcéj. Mogła była dosięgnąć jéj ręką. I chciało się małéj ją dotknąć, ale nie śmiała. Matka znalazła ją w takiéj postawie. „Co robisz tam, odrobinko,“ rzekła. Dziecina zeszła ze stołka, przyłożyła do ust paluszek i tak cichutko, żeby nie być słyszaną ze dworu, szepnęła méj żonie do ucha: „Mamo! powiedz mi, proszę, dlaczego temu panu rosną włosy przez czapkę?“ Któż był zmięszany takiém pytaniem? Naturalnie, że moja żona, zwłaszcza, że dusiła się ze śmiechu.

— Dziecię—powiedziałem—a uwaga ta uderza mię, ile razy słyszę to opowiadanie—dziecię wyraziło tu myśl głęboko-filozoficzną, jakkolwiek nieświadome formy, w jaką ją ubrało. Cóż bo jest żołnierz? Obrońca porządku wewnątrz, a całości kraju z zewnątrz. Powiédz że mi teraz, proszę cię, czy dla utrzymania porządku wewnątrz, czy dla obrony ojczyzny na zewnątrz jest rzeczą konieczną opasywać czoło blachą i przyprawiać sobie koński ogon na wierzchołku głowy. Wyśmiewamy się z Chińczyków i ich pomysłów. Co prawda, to mieliby oni sposobność odpłacić nam sowicie tąż samą monetą.

— Tak, tak—odparł leśnik—Anielcia była filozofką. To mię wcale nie dziwi. Dziecko to było zdolne do najśmieszniejszych pomysłów!

— Czy ona była filozofką? Spodziewam się. A słowa moje zaraz poprę dowodem. Przypominasz sobie zapewne śmierć mojego brata, czynszownika z Rzeszówka?

— Ależ widzę, sąsiedzie, że już wyjeżdżasz z twoją historyą o imieninach, podczas których chciałeś uraczyć dzieci zabawami, lecz śmierć temu przeszkodziła. Czy chcesz, żebym ci ją powtórzył?

— Na miłość boską, Tomaszu, daj temu raz pokój. Wszak ja ci nie przeszkadzałem wcale podczas twéj odwiecznéj historyi o dragonie; pozwól-że i mnie opowiedzieć moją o owem święcie. Znasz ją, jestem o tém przekonany; ależ teraz moja kolej; do dyabła! Wszak ja nie drgnąłem podczas twego opowiadania.

Leśnik napełnił szklanki.

— Żywy jak srebro!—zawołał, klepiąc mnie po ramieniu; zostaniesz wiecznie młodym. Za twe zdrowie, i zaczynaj! Otwieram uszy.

— Pozwól mi przedewszystkiém wymienić szczegółowo fakty i sprostować pewien błąd z twéj strony.

— Sprostuj!

— Nie chodziło bynajmniéj o uroczystość dzieci z méj szkółki, ani nawet téż wyłącznie o dzieci mych przyjaciół i znajomych.

— Były jednakże wszystkie zaproszone.

— Zgoda. Lecz zaproszone przez kogo? Ani przeze mnie, ani przez moję żonę. Zaproszenia były rozesłane przez waszą córkę, a przez naszą chrzestnicę. Mała Anielcia była bohaterką uroczystości, zwłaszcza, że uroczystość ta miała mieć miejsce w rocznicę jéj urodzin. Gadano o téj zabawie na miesiąc przedtém; co prawda, było to źle, bo wszystkie dzieciaki, z Anielcią na czele, zamiast ślęczyć przy abecadle, gawędziły ciągle o przyjemnościach i niespodziankach dnia oczekiwanego z niecierpliwością. Z drugiéj strony, ja i moja kobiéta kręciliśmy się bardzo, żeby rzecz poszła dobrze: loteryjka z zabawek, ofiarowanych przez naszych znajomych bez wyjątku; latarnia czarnoksięzka, pokazywana przez pomocnika aptekarza z Rzeszówka, najpierwszego mówcę w okolicy; podwieczorek pod drzewami; a potém muzyka, gry, tańce i nakoniec—rzecz we wsi niesłychana—sztuczne ognie bengalskie! Tak, sztuczne ognie, przyrzeczone przez przyjaciela mego nieboszczyka brata, porucznika artyleryi z Rzeszówka, co rozkazał je zrobić żołnierzom, sprytnym w tego rodzaju fabrykacyach. Jak ci wiadomo, potrzeba pewnéj ostrożności w obchodzeniu się z takiemi wynalazkami, postanowiłem więc sobie udać się osobiście do Rzeszówka po młynki, rakiety, rzymskie świéce i kilka paczek ogni bengalskich, które miały być i dla mnie niespodzianką. Nie ma czemu się dziwić, że w wigilją tego wieczoru żadne z pań ani panów malców

nie zmrużyło oka przez noc całą. Inaczéj było ze mną. Z sercem lekkiém i radosném, z sumieniem spokojném spałem jak zabity, kiedy raptem około północy zostałem obudzony turkotem wozu, zatrzymującego się przed naszym domem. Zapukano do drzwi. Woźnica oznajmia, że brat mój chce mówić ze mną niezwłocznie. Nie wiedział on przytém nic więcéj, gdyż rozkaz został mu danym nie przez samego brata. Żona moja zaniepokoiła się bardzo, zdjęta smutném przeczuciem.

Uspokajałem ją, jak mogłem, i ruszyłem, co koń wyskoczy, do Rzeszówka. Nie myliła się moja kobiéta; miała słuszność, jak zawsze. Gdy przybyłem, brat mój wydał już ostatnie tchnienie, apopleksya go tknęła. Pierwsze chwile były bardzo ciężkie. Smutek powiększyły jeszcze kłopoty z pogrzebem. Trzeba było wracać do domu i zawiadomić, kogo należało o smutnéj nowinie.

Poszedłem pieszo. Samotność jest zbawczą w wielkich strapieniach. Oczekiwano mego powrotu; dzieciaki się niecierpliwiły. Wiedziały one, że miałem być w Rzeszówku po sławne ognie sztuczne!

Szedłem zagłębiony w mych myślach, kiedy raptem na odległość wystrzału ode wsi spostrzegam coś biało-różowego, co pędzi ku mnie, ile tylko sił w drobniutkach nóżkach starczyło. Była to Anielcia. Schwyciłem ją w ramiona i ucałowałem czule. Dziecię zobaczyło twarz mą, zalaną łzami. Zastanowiło ją to. Uśmiech, co rozjaśniał przed chwilą jéj czarującą twarzyczkę, ustąpił wyrazowi najgłębszego niepokoju. Postawiłem małą na ziemi i trzymając się za ręce, poszliśmy oboje w stronę domu. Trudno mi było opowiedzieć jéj nieszczęście, które mię dotknęło. „Nic z dzisiejszéj uroczystości maleńka, rzekłem wreszcie, jesteśmy w żałobie. Brat mój—pamiętasz go pewnie, ten, co cię tak kochał i znosił ci zabawki—zmarł nagle, Schowają go do ziemi. Ale nie płacz, maleństwo; do mnie tylko należy go opłakiwać? Czegóż chcesz? Nikt tego nie uniknie. Co zaś do uroczystości, to odłożymy ją na rok przyszły. Nic nie stracisz na czekaniu.“ Dziecię zatrzymało się nagle i wlepiło we mnie szeroko otwarte niebieskie swe oczęta:

„Na rok przyszły więc—rzekła—twój brat nie będzie już umarłym!“

Mniéj niż kiedykolwiek byłem jéj w stanie dać w téj chwili odpowiedź. Bąknąłem kilka niezrozumiałych wyrazów i skierowałem kroki ku domowi. Pytanie, zadane przez małą, pogrążyło mię w smutnych rozmyślaniach. Tak—myślałem sobie, na przyszły rok dobry mój Piotr będzie również dobrze, jak teraz w grobie, ale dwanaście miesięcy upłynie do tego czasu od jego śmierci, a dwanaście

miesięcy to czasem zbyt wiele dla zupełnego uspokojenia po najboleśniejszych stratach. Nic niema trwałego na tym świecie. Wszystko mija. Dziś płaczą, jutro będą tańczyli.“ Przeżuwałem w nieskończonéj ilości zdań prawdę, którą maleńka nieświadomie zawarła w dwóch słowach. O, cudowne dziecię.

— Dodam jeszcze, że jestto wielką z jéj strony zasługą, że wyszła na coś dobrego, bo—pozwól mi sobie powiedziéć raz jeszcze— zanadto ją psułeś ty, a jeszcze więcéj twoja żona.

— Całe życie psuliśmy się wszyscy nawzajem. To bardzo naturalne: tworzyliśmy jakby jedną rodzinę. Twoja nieboszczka, Tomaszu, umiała piekło w niebo zamienić.

— Moja unosiła się czasami, sąsiedzie; ale co twoja to nigdy głosu nie podniosła. Bo co za powód miała dręczyć świat cały! Z nią, ręczę, że świat byłby zaludniony aniołami.

— A jaka z twojéj była dzielna gospodyni! Nigdy ona nie wyrzekała na robotę.

— A twoja, byłaby dla ciebie, że tak się wyrażę, zdjęła gwiazdy z nieba.

— Byłaby tysiąc razy oddała swe życie, twoja żona, żeby ci oszczędzić najmniejszéj przykrości.

— Jedném słowem, możemy sobie podać ręce. Długo nie znajdzie się kobiéta, podobna do naszych dwóch nieboszczek.

— Nigdy, nigdy, ręczę ci.

— Z największą pewnością.

Długie milczenie zapanowało po tym ostatnim wykrzykniku. Leśnik kiwał głową, kończąc w myśli cały szereg wyroków, jakie wydaliśmy wspólnie o naszych nieboszczkach. Potém, spostrzegł, że szklanki stały próżne. Podniósł się, żeby napełnić dzban, lecz ja chwyciłem go za ramię:

„Stój, bracie! zawołałem. Znam ja liczbę. Nie zapominaj, że jesteś u siebie, a ja mam jeszcze spory kawał do domu!

— Strzemiennego—zawołał Tomasz.

— Niéma żadnego strzemienia, bo wracam do domu pieszo.

— No, to dla mojéj przyjemności.

— Innym razem z całego serca.

— Żeby mię nie obrazić.

— Nie jestem już wstanie; znasz mię dobrze.

— No, to nie jesteś mym przyjacielem.

— Ho, ho!

— No więc na wspomnienie naszych nieboszczek.

— Już tyleś mi o nich naopowiadał. Ale co ta szklanka, to już będzie ostatnia!

Trąciliśmy się. Leśnik rzucił mi się na szyję i ucałował w oba policzki. Oddałem mu również uścisk za uścisk.

Raz jeszcze podaliśmy sobie rękę, i znalazłem się na dworze.

Nie usłyszałem jednak zamykania drzwi za sobą. Tomasz stał na progu i odprowadzał mię oczyma. Już straciłem go z oczu, kiedy dobiegły mych uszu życzenia dobréj nocy i szczęśliwéj drogi.

Skierowałem się ku domowi.

Noc zapadła, czarna, duszna. Wiatr, co hulał sobie przez dzień cały, dawał bieg wolny swym kaprysom. Przeniknął nawet moję burkę. Dreszcz przejął mię wkrótce do szpiku kości. Obłoki, co trzymały się dobrze przez dzień cały, uległy jego natarciom i oznajmiły poddanie kilku wielkiemi kroplami deszczu; pierwszy zwiastun burzy, co wybuchła wkrótce z szaloną wściekłością.

Leśnik przepowiedział ją od paru godzin. Podniosłem kołnierz płaszcza, spuściłem głowę, żeby lepiéj oprzéć się nawałnicy, i przyśpieszyłem kroku.

Ostatnia godzina nie wybiła jeszcze dla méj mizernéj osoby. Po paru kwadransach rozpaczliwych wysiłków, dostałem się pod mój dach, zmokły, drżący od zimna, skostniały, rozbity. Nikogo, aby mię powitał, nikogo, coby mię pożałował. Byłem sam jeden; mogłem był zamrzéć, a nikt nie pochyliłby się nawet nad mojém wezgłowiem.

Na szczęście została mi jeszcze mała wiązka drzewa.

Uwolniłem się z méj opończy, którą można było wyżąć.

Ognia teraz!

Duża szczapa w głębi pieca, trzy małe szczépki, zręcznie ułożone na przodzie, wióry pod spodem, wszystko przysypane zeschłemi gałęziami—buchnął płomień!

Pokój mój zabłysnął nagle światłem, Och, dobry towarzysz z tego ognia! Ostatni przyjaciel samotnika.

Napawałem już oczy moje widokiem, dla ciepła pozostawało jeszcze dużo do życzenia. Nic jeszcze nie było na przyjęcie zimy zrobionego. Okna się nie przymykały szczelnie, wiatr świszczał przez drzwi.

Burza wstrzęsła domem; co prawda, to był on do koszar więcéj podobnym; deszcz trzepał po dachu i spadał z ponurym szelestem po ścianach domostwa.

Nie pozostawało nic innego, jak pod kołdrą szukać schronienia.

Łóżko moje znajdowało się wprost pieca. Jedyny sposób ustawienia!

Jednym ruchem ręki starałem się przygotować posłanie na przyjęcie biednych członków ludzkich, co miały na niém spocząć.

Do licha! Prześcieradła jak lód zimne. Nic nie szkodzi! Najpyszniejsze łoże zimne jest z początku. Już to rzecz właściciela, ażeby je rozgrzał ciepłem własnego swego ciała. Układałem się pomimo to pomaleńku, bo zbrakło odwagi dotknąć się go odrazu całem ciałem.

Narzuciłem kożuch barani na nogi, i otuliłem się grubą kołdrą.

Wsuwam się cały pod kołdrę, okrywam się nią, otulam, owijam; następnie z najgłębszą uwagą, obracam się po kilka kroć delikatnie, żeby sobie wygodne uformować gniazdeczko.

Z początku skulony, zwinięty w kłębek, w miarę, jak łóżko się rozgrzewa, wysuwam jedną nogę, potém drugą, aż nareszcie wyciągam się, jak długi.

Otóż jestem wyprostowany jak drut; nie poruszam się wcale.

Oczyma, szeroko otwartemi, wpatruję się w buchający ogień! Sen przyjdzie, kiedy mu się spodoba. Bo jak tu go zwołać w takim piekielnym szumie? Szmer letniego deszczyku, cichy, dźwięczny ukołysze cię, jak piosnka niańki w kołysce; ale takie konwulsyjne wrzaski, jak owéj nocy, wskrzesiły by zmarłego ze snu śmierci.

Ach, gdyby ta przenośnia sprawdziła się dosłownie, wiem, jaki grób otworzyłby się za pierwszym mym znakiem.

Po co dawać się unosić tak niedorzecznym marzeniom? Rzeczywistość warta więcéj. Grób tak czy owak się otworzy. Będę mu błogosławił, kiedy da mi wreszcie używać wiecznego spokoju obok téj, któréj zawdzięczam wszystko szczęście ubiegłego życia.

„Lepiéj siedzieć, niż stać; lepiéj leżeć, niż siedzieć.“ Mądrym był człowiek, co wynalazł to przysłowie. Wynalazł je z pewnością pod czas takiéj, jak ta nocy, burzliwéj i dżdżystéj. Jeżeli przytém wpatrywał się w ogień, zadowolenie jego musiało nie mieć granic.

Istny czarodziéj z tego ognia! Nie tylko sam drga, pali, błyszczy, ale nadaje pozór życia i ruchu wszystkiemu, co obrzuca odblaskiem swego światła.

Umeblowanie mego mieszkanka zdaje się ożywiać pod wpływem tych fal świetlanych, ruchomych. Zegar z kukułką, jakkolwiek ukryty w cieniu kącika, zdaje się przyspieszać swoje tik-tak jednostajne.

Masz tobie! przypominam sobie, że dzisiejszego ranka na wychodném nie podniosłem jego wagi. Za parę godzin ptaszek nie bę-

dzie miał możności nucić swéj piosenki. Niech się dzieje, co chce! nie ruszę się z łóżka.

Ba, ale trzeba trochę popatrzéć na miedziany rądel! Może się on uważać za szczęśliwy, że jest utrzymanym w takim porządku. Jego boki, zdaje się, jakby prosto wyszły z fabryki. To zgasną, to się zapalą, mrugając czerwonemi plamami. Albo mała karafka rznięta, ze szkła czeskiego, jak się puszy na półce! Ile załamków tyle dyamentów, rubinów, szmaragdów, szafirów. To istny skarbiec! Ze względu na użytek, jaki robią z tych świecideł, nie ma ona im czego zazdrościć.

I one także nie świécą się same przez się, tylko swą wartość zawdzięczają światłu, światło tylko nadaje im życie. W ciemności nie odróżnisz dyamentu od zwyczajnego kamienia.

Kawałek drzewa w kominie zaczyna syczyć, jakby chciał wybuchnąć. Musi w tém coś być. Promień światła niebieski, co zdawał się przedtém ukrywać wewnątrz drzewa, wyrywa się, tryska z sykiem, z drganiem, z hałasem, doprawdy zbyt wielkim, jak na tak małe widowisko. Drzewo, po tym wybuchu, rozszczepia się na dwie połowy, i płomień jaskrawszy, niż przedtem, oblewa najciemniejsze zakątki swemi promieniami.

Mój obraz zaczyna się także ożywiać i brać udział w ogólnym ruchu. Mam jeden tylko obraz na ścianie: stara to rycina, wyobrażająca naczelnika Kościuszkę, jak zwraca się do uzbrojonego ludu. Bohater wita walecznych skinieniem dłoni. Koń jego stąpa poważnie i spokojnie, jakby przeczuwał, że niesie jeźdźca po za zwykłe granice świata, w dziedzinę nieśmiertelności. W słońcu iskrzą się kosy. Daléj, na tylnym planie widać śpiewających z zapałem.

Jaką pieśń śpiewają? ze sztychu odgadnąć trudno. Nie widać orkiestry, ani bębnów, ale zdawałoby się że słyszysz chór potężny, wydobyty z tysiąca piersi żołnierskich.

Nie za naszych to działo się czasów! Szczęśliwi ci, co żyli wtedy! Byli tak dumni, niosąc krew w ofierze,—tak byli szczęśliwi z ofiary!

Lecz dosyć marzeń na ten temat! Gdy człek cofnie się sercem i myślą w przeszłość, to mu sen z powiek odlatuje.

A to co? na czarnych ramach ryciny wielka plama od pyłu. Zupełnie świeża. Niezgrabiasz ze mnie! Już nie umiem tak dobrze ścierać pyłu, jak dawniéj. Straciłem wprawę. Zresztą, właściwie nigdy to do mnie nie należało. Zaniedbuję wszystkiego, nawet samego siebie! Niszczy się to powoli.

A zasnąć niema sposobu! To pewna, że muszę prowadzić zupełnie regularne życie i nie pozwalać sobie żadnych zbytków.

Chwała Bogu! Nietylko odemnie samego sen ucieka. Słyszę trzepotanie skrzydeł w klatce i trzask rozgryzanego siemienia lnianego. Światło rozbudziło słowika, więc się téż zabrał do walnéj roboty. Co to za żarłoczne stworzenia, te ptaszęta! Myślą tylko o jedzeniu. Jestem że tego pewien? Mało tam mózgu, to prawda, ale na tak drobne ciałko, to więcéj i niepotrzeba. W każdym razie, jeśli to ptaszę coś myśli, to napewne nie o tém, że tak wielką radość sprawia starcowi, ożywiając jego samotność. Lecz czyż to słusznie skazywać stworzenie na samotność, jedynie dla tego, że się jest samotnym?

Jestto wyzwanie rzucone w oczy przyrodzie, niesprawiedliwość, tyrania! I jakiémże to prawem, proszę państwa? Siła idzie przed prawem. Nie! nie! precz z taką teoryą, za żadną cenę! Niewolno jéj zagnieździć się u mnie. Zatrzymam słowiczka przez całą zimę. Mogą nastać silne mrozy. Tyle razy już widziałem zmarznięte ptaszyny. Ale na wiosnę, bądź spokojnym śpiewaku!, będziesz miał wolność! Niechże z niéj chociaż ptaki korzystają!

„Mówię o ptakach, rzekłem do siebie w duchu, a nie zwracam uwagi na małe bestyjki, które korzystając z méj dobroduszności, zabawiają się gryzieniem moich zapasów w spiżarni. Słyszę cię ztąd dobrze, moja pani myszko, i jeśli to potrwa dłużéj, to jutro załatwimy z sobą rachunki. A bestyo łakoma, zostaniesz ukaraną. Czy kto kiedy słyszał taki hałas po nocach. Hu! hun! łajdaczko!“

Widocznie usłyszała moje krzyki: już niema nikogo. To dobrze. Jutro, po rewizyi, jeśli nadużycia nie okażą się zbyt wielkie, to może się i pogodzimy. Trzeba mieć litość dla każdego grzeszku; chociaż, prawdę mówiąc, po rozwadze, łapka nie byłaby wcale do pogardzenia. Pomyślimy o tém.

Burza się uspokaja. Ulewa także wylała na świat cały swój zapas złości. Pada teraz głupi deszczyk, któryby postąpił rozsądnie, przestając zupełnie. Na co to się komu przyda. Zresztą! to już jego sprawa; pierwéj lub późniéj przestanie padać.

Ciężą mi nieco powieki, a jednak nie chcą się zamknąć stanowczo. Spaliły się już polana drobniejsze. Jeden tylko większy kawał drzewa opiera się sile ognia. Ba! zaczyna się teraz palić w najlepsze. Żarzy się, trzaska, wybucha płomieniem.

Myśl moja staje się mglistą i niejasną. Oczy, jakby zaczarowane zatrzymują się na resztach ognia. Nie patrzę, a jednak widzę ciągle. Rozżarzone węgle leżą w piecu na samym przodzie. Powoli pokrywa je delikatna warstwa, popiołu. Ciepło bije aż do mojego łóżka. Światło staje się coraz słabszém. Cały pokój i meble zatapiają się powoli w ciemnościach. Tylko w głębi pieca jest jasność.

Wzdłuż spalonego polana odbywa się procesya iskier. Za moich młodych lat, opowiadała mi niańka, że taka wędrówka iskier znaczy powrót mniszek do klasztoru. W istocie, otóż i przeorysza. Znikła! Mniszki idą w jéj ślady, podskakując i znikając. Wszystkie już są w celach.

Furtyanka—zamknęła za niemi bramę.

Ta poczciwa Barbara, moja stara niańka, cóż to było za złote serce! I któżby pomyślał, że sobie o niéj po tylu latach przypomnę! Nigdy jéj nie zabrakło bajek do opowiadania, szczególniéj gdy widziała ogień naniecony. Robiła nawet przepowiednie z ognia. Wyprowadzała wyrocznie ze sposobu palenia się drzewa.

Co do mnie, przypatruję się usilnie, ale jedyném proroctwem, do którego dochodzę, jest to, że ogień prędko zagaśnie.

Przepowiednia moja spełnia się istotnie. Już, już zbliża się ostatnie tchnienie. Nie! nie! jeszcze nie zupełnie! Z saméj głębi wytryska jeszcze jeden ostatni płomyk. Rozszczepia się u szczytu jak chorągiewka u lancy ułańskiéj. Drży, buja w powietrzu, tęczuje się barwami, tak mi, niestety! dobrze znanemi. Błękit, kolor biały i pąsowy!

O barwy cudowne!

Czy znikły w téj chwili, czy też może powieki moje zamknęły się na dobre? Tego, to już niepamiętam.

Gdym się obudził, słońce było już dawno na niebie.

Edmund Chojecki.

MIKOŁAJ SĘP SZARZYŃSKI.

(Dokończenie).

5. Napisy grobowe.—Niektóre szczegóły z dziejów owoczesnego społeczeństwa.

Od tych uniesień duszy, tyle namiętnych, a tak przecię bogobojnych, że stopniowo w łagodne przechodzą dumania, jakby drogą ku temu najodpowiedniejszą, wprowadza nas poeta w mogilnik, usiany wspomnieniami osób wielce jego sercu drogich, a których jednak, choć sam dość wątłego istnienia, przeżył i opłakiwać musi. I jakbądź osamotniały, nie narzeka on jednak nazbyt rozgłośnie — tęsknie tylko rozważa tych osób na ziemi pobyt w zasługi obfity, i raczéj pozostałych żałując, z tamtemi wcześnie radość rajską zdaje się podzielać. Wygląda to, jakby przypominanie ich sobie i westchnienia za niemi serdeczne, o zachodzie słońca, kiedy-to dzwonek na Anioł-Pański dźwięczy—a oni śpią cicho, w kwiatach i ciepłém tchnieniu. W istocie, coś jest sielskiego w téj muzie Sępa naszego żałosnéj—tu on się nawet, co mu rzecz nie zwykła, na prostotę zdobyć umie.

Już kiedyś, o „Fraszkach“ Kochanowskiego mówiąc, starałem się wykazać pożytek zwrócenia bliższéj uwagi na wysoką wartość téj tyle zasobnéj u nas literatury, że prawie nie ma poety, któryby czyjejś straty mniéj lub więcéj nie opłakał. Oczywiście, nie ma się tu na względzie epoki znacznie późniejszéj, w któréj, zarówno z ujmą sztuki jak obyczaju, cudacznie wielbiono osobistości, nie dorastające nieraz miary najzwyczajniejszych nawet ludzi; ale właśnie te czasy piśmiennictwa naszego najświetniejsze, w których godność natchnienia nastrajała się do ogólnego w życiu publiczném dostojeństwa. Tak tu się bowiem wydarza, że niejednokrotnie, dzięki tym tkliwym dowodom pamięci, przy lada poszukiwaniu, wychodzą na jaw posągowe postacie, o których nie koniecznie w dziejach jest głośno,

a niemniéj bez nich nigdy się nie uzupełnią dzieje narodowego obyczaju.

Otóż, tak samo, i z tym, że tak rzekę, mogilnym poezyi Sępa oddziałem, nie tylko wkraczamy w świat nam nieznany osobiście miłych sercu poety stosunków—ale się oraz przekonywamy, że opłakując ich utratę, wcale panegirystą nie jest; owszem, tak nawet bywa, że on tylko powszechne niemal boleści, z wezbranego serca, nader skromnym rytmem odczuwa.

Z tego powodu, warto jest bliżéj się przypatrzéć tym ludziom, których on płacząc, wysławia.

A najprzód, Zofia ze Sprowy Kostczyna.

Ta, kiedy zmarła (1), było to niemal klęską publiczną. Paprocki troskliwie zapisuje nawet godzinę jéj zgonu. Przedewszystkiém, nie podobna pominąć dostojeństwa rodu téj niepospolitéj pani. Wyszła ona z domu Odrowążów; matką zaś jéj była Anna, siostra Stanisława i Janusza, ostatnich książąt Mazowieckich. Twierdzi Paprocki, iż „od króla Augusta była żądaną do stanu małżeńskiego, chcąc jéj i to nagrodzić, aby była uczestniczką dziadowizny swéj albo (raczéj) babizny, z któréj była od jego przodków zgołocona. Ale ona, to wszystko wzgardzając, jako Pani bogobojna, dla słusznych przyczyn z tego się królowi i posłom jego wymówiła.“ Właściwie zaś, zdaniem jego: „dla jéj wielkich cnót a świętobliwych spraw i żywota,“ król się o jéj rękę ubiegał. I zaprawdę, uwierzyć temu nie trudno. Bo posłuchajmy jeno, co on daléj o niéj prawi. „Ta, naprzód była za Janem Chrzysztofem hrabią na Tarnowie (2). Po którego śmierci, będąc przez lat kilka wdową, tak świętobliwie żywot swój wiodła, że dla tego mogłaby być równana do onych wdów, które Pismo świętemi zowie. Była to matka wszystkich sierot i inszych ludzi, którzy ratunku potrzebowali, wielka zapomożycielka; wiele ubogich panienek, tak ślacheckiego jako i inszego stanu, w małżeńskie stany rozdała, posagi po nich dawała, i dóbr swoich ojczystych udzielała...“ I daléj „Wiele znacznych, a prawie świętych spraw jest téj to pani godnych wiecznéj pamięci, które są wspomnienia godne dla inszych, aby, wzór z niéj biorąc, takim kształtem żywoty swe trawiły, tak ze strony służby miłego Boga, jako i w stanie małżeńskim życia i wielkiego posłuszeństwa, o czem tu na ten czas (w obecnéj chwili) krótkości folgować się musi (3).

---

(1) Na rok przed naszym poetą.

(2) Temu przypisane są „Szachy“ Kochanowskiego.

(3) Portret téj dostojnéj niewiasty znajduje się w zbiorach galeryi Wilanowskiéj. Zeszła ona ze świata, mając zaledwie lat czterdzieści.

To wszystko kiedy zważymy, słowa téż o niéj naszego poety bynajmniéj nam się przesadnemi nie wydadzą.

Kto był, kto twego ześcia z ziemie nie żałował?
Duchowieństwo, ubodzy, sieroty z wdowami,
Jako po matce własnéj, zalali się łzami.
Także i stan ważniejszy i gmin pospolity,
Albo dali wzdychania albo płacz obfity...
...Płakałby nieprzyjaciel—aleś go nie miała.

I daléj znowu:

Patrząc na twoje cnoty, a wzrok ku naszemu
Obracając wiekowi do złego skoremu,
Kształcie (1) panien, wdów, mężczyzn i bez równéj żono—
Dziwno nam, iżeć umrzeć kiedy dopuszczono!

I w innym jeszcze napisie (jest ich pięć):

Twój grób widzimy Pani, zacnych królów plemię,
I cnót świętych przybytku! z dziwem: czemu ziemię
Bóg tobą lub ozdobił, lubo osierocił?...

O małżonku zaś téj znakomitéj pani, Janie na Stymberku z Rostkowa, powiada Paprocki, jako: „dla wielkiéj stateczności w sprawach, także i godności, w *interregna* (2) był kandydatem *Regni*;“—a tak, po dwakroć, jak tego godna była (a co oby się było stało!), mogła być królową. Mąż przeżył ją tylko o rok jeden.

W dalszym ciągu tego grobowego pamiętnika, napotykamy jeszcze trzy epitafy na zgon Zofii Kostczanki (3), która umarła w dni parę po śmierci swéj macochy. Wszakże i te, raczéj ku téj saméj nieodżałowanéj pani, uwielbienia poety są świadectwem. Bo oto jak w jednym z nich opowiada zmarła wojewodzianka swego krótkiego życia koleje:

Zwyczaje, dom, urodę, kiedym była żywą,
Kto znał moje, musiał mię sądzić za szczęśliwą.
I samam na fortunę narzekać nie śmiała,
I na onczas, gdym wdzięcznéj matki postradała.

---

(1) Wzorze.

(2) To jest, jak się zdaje dwa razy: po Zygmuncie Auguście i po Henryku.

(3) Urodzona z Jadwigi Przerębskiéj, pierwszéj żony wojewody Sędomirskiego. W tym względzie pomyłka jest u Paprockiego, który twierdzi, że z Przerębskiéj było tylko dwóch synów.

Bowiem ojciec nie dał znać sieroctwa, i trochę
Potrwawszy, równą matce dał mi Bóg macochę.
A snać-ci by był Tenże chciał wieków przedłużyć,
Mogłam lepiéj, niż matki, jéj dobroci użyć.

W innym znowu powiada niby do macochy: Czemuś mię wyprzedziła?

Czy mi chcesz być przewodnią? Nie było potrzeba—
Wiem ja z twojéj nauki, gdzie droga do nieba.

Z kolei ku rodzinie Starzechowskich przejdźmy.

Ci, jak się już wyżéj wzmiankowało, z Kostkami w bliskiém powinowactwie byli. A mianowicie, iż Wojciech, starosta Wyszogrodzki, miał za sobą cioteczną siostrę Zofii Kostczynéj (1). Aleć zaprawdę, godni byli tak świetnego połączenia. Pochodzili oni od Wojciecha „wielkiego męża" (jak go zwie Paprocki), którego „braci kilku w Sokalską bitwę zabito"—a ten miał sobie zlecony Bar pograniczny „przeto, aby się przy nim miasteczko przespiecznie sadziło." Był on kasztelanem a potem wojewodą Bełskim. Syn jego Jan, którego właśnie opłakuje Szarzyński „prawy pan i obrońca Rzeczypospolitéj, był wielki chlebodawca ludziom rycerskim, które i znacznie opatrował. Wielki a znaczny ratunk przeciwko poganom z niego one kraje (to jest Podole, którego był Wojewodą) miały." Po tym zostało dwóch synów. A najprzód, tylko co wspomniany starosta Wyszogrodzki. „O tego dobroci, hojności przeciwko ludziom stanu każdego, by się wszystka prawda wyliczyć miała, wielką-bym ci w tem zabawę uczynił"—tak prawi Paprocki.—„Pomagając chudym do dobrego mienia, ratując ich wedle możności i panosząc, nałożył na to więcéj, niż przez sto tysięcy (2); ojciec wszystkich chudych pachołków był to wieku mojego; mało żadnemu dać nie umiał... W interregna wiele a pożytecznie Rzeczypospolitéj służył—po króla Stefana do Węgier jeździł... potrzeby żadnéj za tego króla nie omieszkał." Stanisław zaś, drugi syn wojewody, podkomorzy Przemyski, „dobry, cnotliwy, a bardzo pożyteczny sługa i stróż Rzeczypospolitéj, był (jak się już wyrzéj rzekło) człowiek uczony, ludzie uczone miłował i przy sobie je bawił." Więc i ci dwaj, podobnie jak powyżéj Kostkowie, z których jeden rycerskiemi sprawy a drugi naukami się bawił, rzec można, podziałem pracy wzajemnie się dopełniali—taka to snadź w owym czasie, może i mimowolna, w możnych rodzinach, ku tem

(1) Z domu Łaska, urodzona z Odrowążówny, siostry rodzonéj ojca Zofii.

(2) Po dzisiejszemu do miliona.

większemu pożytkowi rzeczy publicznéj, zdarzała się zmowa. — To tedy wszystko gdy na uwagę weźmiemy, powtarzam, żadną miarą Sęp, ludzi podobnych opłakujący, panegirystą nikomu się nie wyda; owszem, wielką nawet powściągliwość w tym razie u niego uznamy; bowiem niewątpliwie, w tym złotym sztuki naszéj okresie, nawet żal głęboki pod miarą jeszcze głosić umiano. Nie tak-to w późniejszéj dobie, kędy za lada jurgielt, na cześć nic nie sławnego chlebodawcy zawstydzano największych starożytności bohaterów: że ci nawet ani marzyć mogą o dorównania jego chwale. W obecnym razie, stosunek Sępa, do tych, których on wielbi, o wiele nawet jeszcze szlachetniéj się przedstawia, gdy zważymy, że on nigdy, od nikogo z takich, nic oprócz chléba duchowego, jako żywo nie wziął (1). Zaczem téż i dzieląc z niemi ich boleści, widocznie, raczéj potrzebie serca własnego był posłuszny, niżby go o jakąś spłatę zaciągniętych zobowiązań posądzać się godziło. Znać to nawet ze sposobu, w jaki on się z tego wywięzuje.

Jakoż i w tym razie, poprostu powiada tylko, naprzód w synów imieniu (Epitaphium D. Joanni Starzechowski):—Ten tu oto kamień grobowy (choć woleliby sami cię pod nim zastąpić), synowie smutni ci kładą, Starzechowskich imię na nim pisząc, które jest godne na marmurze być wyryte. Z tobą broń twoja dzielna i dłoń z szczodrości znana. O ty Podole sieroce! jakże ty z owéj straty jęczysz!— Od siebie zaś, w inném miejscu:—Niestety! nie było ci znaczono,

...by dłużéj służyły
Wdzięcznéj ojczyźnie twe sprawy poczciwe,
Które tak długo będą pamiętliwe,
Jak mądrym w radzie, tak mężnym we zbrojéj,
Dokąd, dzielności poruczone twojéj,
Szerokie potrwa Podole....

Prócz owych dwóch, znajdujemy tu jeszcze cztery inne napisy dla Marcina Starzechowskiego, dziecięcia, która żyło zaledwie godzin trzydzieści. W tych przebija serdeczne współczucie niemal rodzinnego smutku. Nie wiadomo, którego z dwóch braci Starzechowskich dotknęła ta strata,—ale snadź był to potomek męzki wielce upragniony, jak to wnosić można z następnych słów poety:

Długa nadzieja, radość krótka, żal płaczliwy
Rodziców swoich, leżę tu..

(1) W zbiorze Finkla, jest tylko ślad zaciągniętéj przez niego pożyczki w ilości 847 zł. na rok jeden, u niejakiego Kiernera, domownika rodziny Starzechowskich.

Streszczając wreszcie uwagi moje o tym dziale poezyi Sępa, raz jeszcze nacisk na to kładę, że z nich, niby z pamiętnika rodzinnego, stosunki jego społeczne dokładnie widnieją;—dla domu Kostków uczucie synowskie tu przeważa, dla Starzechowskich zaś braterskie.

§ 6. Duma o Herburcie, o Strusie, i o Bolesławie Śmiałym. Pochwały króla Stefana.

Przy owem, tak wysoce właściwém Sępowi, usposobieniu elegijném, nic dziwnego, że i tych parę poematów, które mu u mniéj go znających miano bohaterskiego poety zjednały, swym nastrojem, podobnież pod rodzaj epitafów podchodzą. W najlepszym razie, po dzisiejszemu się wyrażając, przystałaby im nazwa dum, w znaczeniu zwłaszcza, jakie im nadał Niemcewicz. Jest takich dwie.

Pierwsza *o Fridruszu* (Herborcie) *który pod Sokalem Zabit od Tatarów.*

Młodzieniec ten dziwnie popędliwego męztwa a małéj rozwagi, tak świadczy Bielski, z garstką nieliczną na Tatarów z zamku wypadłszy, znagła zewsząd obskoczony, nie widząc innéj rady, drogo życie sprzedać postanowił. „Rozpuściwszy tedy koń ze wszego skoku, dobrowolnie, jako jeden Kurcyusz Rzymski, skoczył między Tatary z drzewem (włócznią), bił się z niemi póki mógł sobą władać, a tam od nich rozsiekan.“ Poeta nasz tak rzecz o nim zaczyna:

Umysł stateczny i w cnotach gruntowny
Kto ma od Boga, żywie świętym równy;
Nie tylko wytrwa gniew szczęścia surowy,
Ale i łaską (1) wzgardzić jest gotowy.

Tysiąc jest tego przykładów—ale najżywszy, sam Fridrusz *serdeczny.* Ten bowiem

....jako z działa śmiertelnego
Kamień (2), płomienia gwałtem siarczystego
Z hukiem wyparty, jako przez wiatr rzadki
Leci przez ciała, dając im upadki—
Tak mężny Fridrusz, gniewy szlachetnemi
Zapalon, z zamku, z krzyki rycerskiemi
Wypadł, i przeszedł zastęp niezliczony,
Swą i Tatarską prawie krwią zjuszony.
Tam zaś, by tygrys, gdy swe baczy dzieci

---

(1) Tegoż szczęścia.

(2) Z działa śmierć niosącego kula kamienna (takich bowiem wówczas jeszcze u nas używano).

Między myśliwcy, choć strzał tysiąc leci,
Wpada w pośrodek, nie o ratunk dbając
Ale o pomstę, szkodzi i konając.
Taki był on mąż....

O nim to słusznie:

.....rzecze człowiek serca wspaniałego:
Z lepszém ojczyzny szczęściem, Wieczny Panie!
Racz mi naznaczyć tak prędkie skonanie.

Druga duma, opiewa zgon zaszczytny *Strusa* (Stanisława), *który zabit na Rastawicy* również *od Tatarów.* Klęskę tę zbliża poeta z porażką pod Kannami, podobnie jak i męztwo swego bohatera z niezłomną odwagą rzymskiego Emiliusza. Godna bowiem uwiecznienia

Sława tego, który z samém nielękliwie
Potkał się nieszczęściem, i stałą krwawemu
Pokazał zwycięzcy twarz....
Bo gdy mu ktoś radził głupie sprzyjaźliwy,
Aby jako drudzy zbiegł w chwile złośliwéj,
Rzekł:—ty folguj czasom chceszli, a ja mojéj
Sławie będę godził. Nie tylko we zbrojéj,
Jest śmierć i na łożu. I tak pierzchliwego
Śmierci grzbiet jest odkryt, jak piersi śmiałego.
Nie wydam swych przodków (1)! Za Rzeczpospolitą
Upadek, ofiarą, da Bóg, znamienitą—

Tylko co to powiedział, podobien lwu zewsząd obskoczonemu, który wszystko w koło siebie wytraciwszy, zdaleka jeszcze tak jest straszny, że

....wszyscy natrzeć serca nań nie mają,
Tylko mu zdaleka rany podawają,
On zemdlon, ostatniéj już pomsty pożąda,
I w kimby ząb martwy zostawić pogląda.

Tak się właśnie sprawił on Strus, którego nasz poeta poprostu tylko „poczciwym i nietrwożnym“, podobnie jak poprzedniego „ser-

---

(1) Nie zdradzę. Tego Strusa, we Fraszkach Kochanowskiego (49 ks. III) znajdujący się nagrobek, zaczyna się od słów następnych.

Nie nowina to Strusom na wszelaką trwogę
Ciały swemi zawalać złym pohańcom drogę.
Tak dziad zginał, tak ociec, tak moi stryjowie—
Tenże upad i mojéj naznaczon był głowie....

decznym" nazywa. Poprzednio już zaznaczyłem, to jego uznania godne, w najżywszych nawet uniesieniach, stylowe pomiarkowanie.

Do działu tego należy również bardzo piękna duma łacińska nad grobem Bolesława Śmiałego, jakbądź nosi ona skromną tylko nazwę epitafu. Oto jéj przekład. „A więc tak chciały losy, przemożny bohaterze! niegdyś królu i niezmierna chwało narodu Sarmatów!—abyś oto, zdala od ojczyzny, odrzucony, spoczywał w lichym prochu, podłym chwastem porosły, wśród gór bezdroży! Niestety! jakże to szczęście niestałe nikomu do końca nie służy! Otóż, co spotkało tego, którego umysłu oraz niezwyciężonéj prawicy bitne Germany bały się jak ognia—do którego rękę wyciągała ludna ziemia Pruska—i któremu, na wszelkie sposoby zapalczywie się broniąc, po siedmioletniéj wojnie, uległ wreszcie Kijów. Również i tobie, Pannonio świetna! wygnane narzucił pany—także potężnego jego zuchwalstwa zniszczona doznała Bohemia.—Cześć tobie z wielkiego umysłu, ale cześć jeszcze większa: żeś ty, głosowi ojczyzny powolny, słusznym zaprawdę pałając gniewem, ukarał świętokradcze gniazd ojczystych kalanie!—Jakim przeto umysłem dobrowolne wygnanie i poświęcone przyjąłeś ubóstwo, takim obyś był i odwrotne zniósł losy, które cię popchnęły ojczystemi następnie wzgardzić prawami, żelazo ci srogie krwią świętą napawając! Aniby teraz niesławne puszcze ukazywały narodom kości twoje w lichéj porzucone mogile,—ale raczéj Sarmacya-by je cała zewsząd oglądać mogła kunsztownym okryte marmurem, usypawszy nad niemi kopiec, wierzchołkiem przenoszący Karpaty."

Czytającemu tę dumę, koniecznie nastręczyć się musi spostrzeżenie, wykazujące w bardzo dodatniem świetle obywatelskie naszego Sępa uczucia.

Już bowiem w samym wyborze tego przedmiotu widnieje cecha niepodległości sądu, ponad uprzedzeniami wieku swego znacznie górującéj. A toć-że on tu, ni mniéj ni więcéj, tylko, tem tkliwém wspomnieniem, wyraźnie pragnie oczyścić z rdzy wiekowéj, słońcem niegdyś błyszczącą zbroję, jednéj z najwspanialszych w przeszłości naszéj postaci. Zdobył się tu nawet na odpowiednią siłę wyrażeń i rytmu, czego w przekładzie zaledwie ślad słaby zachować się dało...

W ogóle, wielką on miał skłonność godnie wielbić wszystko, co wzniosłe. Ztąd nic dziwnego, że go téż i król Stefan wielce przemożnie za serce ciągnie. Nim się on niewymownie cieszy, wszechstronnie niby oglądając sobie tę kosztowność, i tak ją sławiąc, jak tylko może i umie. Sądzę, że i tu również panegirystą on się nam nie wyda. Po zgonie bezdzietnym ostatniego z Jagiellonów, a daléj po

tych dwóch bezkrólewiach, przegrodzonych mięsopustném zjawieniem się Henryka (na czem pewnie cała młodość Sępa spełzła), wiemy to przecię, jak dalece opatrznościowem był zjawiskiem ten mąż niezłomny, o którym słusznie powiedziano, że przed nim nierząd „jako gołąb' przed sokołem, od gniazda do gniazda ulatował.“ Oto wiersz, ułożony prawdopodobnie zaraz po wstąpieniu na tron tego króla. W nim zdaje się Sęp wypowiadać nieomylne całego narodu otuchy, od owych czasów niemal nową erę znacząc.

Niebo koroną, mężnym ojczyzna go zowie,
A my go wyznawamy królem, Sarmatowie.
Bóg, ojczyzna, postronni, tak go zdobią społem;
Że mu inszym nie trzeba sławić się tytułem;
Lecz nam tuszy ten umysł każdéj cnoty żyzny,
Iż go ojcem nazowiem téj nowéj ojczyzny!

W innym (łacińskim), stanowiącym niby napis pod portretem króla, dary mądrości w nim wysławia:—Oto jest—powiada—rysów bohatera nader wierne powtórzenie. Co za majestat! co za bojowa postawa! Jednak zbłądziłbyś, sądząc go z téj powierzchowności w obyczaju srogim. Przeciwnie, nic nadeń łagodniejszego—a do tego uczoność jego znając, rzekłbyś bez wahania, że to raczéj Minerwy, niźli Marsa uczeń.

Ale nadewszystko w pieśni VII go wielbi.—Królu! (tak mówi) ciebie

....Łaski swojéj
Pan naczyniem uczynił, w pokoju, we zbrojéj;
Ale szczęście przejrzane (1) iż ma każda strona,
Tu cię Bóg wzniósł, gdzie jeszcze nie próżna obrona (2)
Dzielność twoja być może, królu niezmożony!
Królu i z twéj natury, nie tylko z korony!
Bo kto ciebie nie mniejszy? prawie bez równości
W radzie, w mowie, w dowcipie, w umysłu mierności!
Kto równie sprawiedliwy? kto łaskawy? Ale
Twe własności kto zduża (3) śpiewać, doskonale
Morski huk głosem przemódz może...

Lecz nadewszystko

....we zbroi zdasz się najpiękniejszy.

Boś ty uosobiony i porządek, i rozwaga, i męstwo błyskawiczne, i czujność, i cierpliwość—

---

(1) Przeznaczone.
(2) Nie próżną obroną.
(3) Kto potrafi.

Tyś jest przedni: król, hetman, rycerz pieszy, konny...
Za twym przykładem, wytrzymać łatwo: i zimna, i słoty,
I głód, i bezsen, i proch (1), i błota, i lasy...,
Tyś wskrzesił naszą sławę...
O! bodaj późno, w Niebie, twojéj godną cnoty
Koronę gotowano!...

Jak zaś rozumiał powołaną wyżéj sławę, widziéć to można z pieśni IV (o Cnocie szlacheckiéj), gdzie powiada:

Droga ku sławie, w sławnym urodzenie
Domu, nie sama sława. Przeto w cenie
Kto chce być, (2) porzuć nikczemne zabawy—
Nie na herb przodków patrz—ale na sprawy!

Da pospolite prawo nieskończone
Imię swym stróżom; dadzą obronione
Granice, zbroją koronne poczciwą,
Od zdradnych sąsiad, chwałę wiecznie żywą (3).

§ 7. Próby poezyi miłosnéj.

Z pozostającego jeszcze działu rozmaitych pomniejszéj wartości drobiazgów, bądź co bądź, wyróżniają się, dla zasługi swéj nowości, dwie próby poezyi miłosnéj—ale to już wyłącznie Kochanowskiego królestwa. On ją stworzył, on téż w niéj tak swobodnym jest mistrzem, że tylko naśladować go było można; ale iść z nim o lepszą. ani sposób. Sęp i tu, jak i gdzieindziéj, o własnych siłach kroczy, ale widocznie zakłopotany, nie swój, nie u siebie. Forma tych jego usiłowań jak zawsze gładka, poprawna—jednak, czego gdzieindziéj u niego nie spotkać, mitologii tu nader dużo, a z nią i szumu klasycznego podostatkiem. W jednéj z tych poezyi, sprowadza z Cypru królowę wdzięków, ażeby się naocznie przekonała, że nie byłoby przyszło do nieszczęść Trojańskich, gdyby, zamiast trzech bogiń, Parys był ujrzał kogoś, o wiele od nich wszystkich piękniejszego. W końcu wyznaje, że właśnie temu komuś

...k'woli,
Serce go boli.

Druga, wyraźnie już (choć być może równie jak i poprzednia) wyśpiewana jest na cześć (k'woli) panny Jadwigi Tarłówny. O téj,

---

(1) Kurzawę.

(2) Kto chce być ceniony.

(3) Prawo zapewni nieśmiertelne imię tym, którzy go strzegli; mężna zaś granic koronnych od zdradliwych sąsiadów obrona da sławę poczciwą wiecznie żyjącą.

czytamy u Paprockiego, jako „w stanie panieńskim była szczęścia takowego, dla pięknych spraw a obyczajów, że panowie postronni z Węgier, z Wołoch, starali się o nią do stanu małżeńskiego; jakoż, już była od króla Augusta obiecana Bogdanowi wojewodzie Wołoskiemu, czego Pan Bóg obronił, dopuściwszy różne nieszczęścia na onego pana (1).“ To wszystko o niéj wiedząc, równie tu, jak i przy epitafach było, o panegiryzm posądzać Sępa nie będziemy. Dodamy wszakże, iż panna bardzo też powabna być musiała. Śpiewa bowiem o niéj:—że jest jak Diana czysta, jak Wenus piękna, wdzięczna jak Charyty, jak Minerwa roztropna; wielbi ją także „gdy liliana ręką bije w struny.“ Zresztą, mimo całego klasycznego przyboru, igranie tu i obrazy w stylu czysto włoskim, jak się to już wspomniało poprzednio.—Niech sobie kto chce mordercze wysławia boje, tak mówi poeta—ja oto śpiewać wolę

....wojny pustego
Spokojne dziecka, które zawżdy swoję
Na rozpalonéj skale ostrzy zbroję (2),
Albo płacz śmieszny nieważnéj ciężkości,
Która przy trudnéj (3) tuż chodzi miłości—
A zawsze ciebie naprzód przed innemi
Panno!....

I wreszcie w zakończeniu

Ozdobo ziemie—szczęśliwy! szczęśliwy!
Komu cię Pan Bóg naznaczył życzliwy,
Komu cię Hymen słowy statecznemi,
I pochodniami przyłączy wiecznemi!

Jakoż, wyszła niebawem za Hieronima Sieniawskiego, wojewodę Ruskiego,—ale bodaj czy to nie ona tą była, ku któréj serce naszego Sępa rozbolało...

§ 8. Usprawiedliwienie zdania o Sępie współczesnych. Zestawienie go raz jeszcze z Janem Kochanowskim.

I oto wszystko już, co nam po Sępie zostało. Nie wiele to—szkoda, że nie więcéj, cóż robić—bądź co bądź, lwa, jak to mówią, nawet po śladach szpon jego poznasz. Więc kiedy z baczeniem pilném raz jeszcze roztrząśniemy sobie w myśli całéj téj szczupłéj po Sępie puścizny bogactwo, to koniecznie, myślę, słuszność przyznamy

(1) Mianowicie: iż go wygnał z hospodarstwa Iwonia.
(2) Broń.
(3) Pełnéj trudu.

zarówno temu, który o nim twierdzi, że gdyby był dłużéj pożył, znamienity mógł być z niego poeta; jak i temu, który go za najprzedniejszego po Kochanowskim uważa; jak i temu wreszcie, który go z nikim nie porównywając, poprostu przednim, to jest od razu znamienitym zowie. Gdyż zważmy tylko, żeć ten człowiek żył w czasach ogólnego dorobku, kiedy to taki nawet, jak Jan Kochanowski, pracownik, na to co zdziałał, półwiekowego niemal potrzebował wysiłku. Jeśli tedy, równie od niego, jak i od nikogo, nic nie wziąwszy, w tym nader krótkim życia swego zakresie, tyle i tak okazale, jak się to widziało, z głębin ducha swego wysnuł,—to jużci wnioskować można, że w dalszym swoim pochodzie, gdyby mu ten nie był przecięty, ciągle ku górze idąc, istotnie mógł dosięgnąć szczytu.

Czy go zaś po Kochanowskim za najcelniejszego uważać się godzi? w tym przedmiocie, dla próby, zbliżmy z sobą chwilowo obie te potęgi. Poprzednio już, wyróżniliśmy w dziale pieśni Sępa jedyny psalm, będący dosłownym przekładem. Na tém tedy wspólném polu, postawić ich obok siebie możemy.

PSALM LII.

Quid gloriaris in malitia, qui potens es in iniquitate.

Kochanowski.

Co się chlubisz niewstydliwy
Z niecnot swoich? jest Bóg żywy,
Który świat i ludzkie rzeczy
Ustawicznie ma na pieczy.

Myśli twoje są zdradliwe,
I postępki niewstydliwe,
Język ostry brzytwie równy,
Nieprzyjaciel dobrym główny (1).

Niecnotę cnocie przekładasz,
Imo prawdę kłam powiadasz,
A cokolwiek ludzi gubi,
To samo twe ucho lubi.

Przeto cię też Bóg na ziemi
Nie zcierpi między żywemi,
Ale cię i z domem twoim
Wykorzeni w gniewie swoim.

Sęp.

Czemu się chlubisz tyranie
Z twoich praktyk złością możnych?
Pańska dobroć nie ustanie
Pilnować ludzi pobożnych.

Ostrzejszy nad naostrzoną
Brzytwę język twój, pilnuje
Nieprawdę zmyślać szaloną;
I na dobre potwarz knuje.

Milszać złość, niż cnoty święte—
Milszyć kłamca, niż prawdziwy—
Rado oko twe przeklęte
Patrza zdrady zaraźliwéj.

Przetoż cię Pan Bóg wyrzuci
Z pośrodka ludu swojego,
Starwszy cię na proch, wywróci
I dom twój z gruntu samego.

---

(1) Największy dobrym ludziom nieprzyjaciel.

A dobrzy patrząc z daleka
Na upad złego człowieka,
Będą się tym więcéj bali,
Ale będą się i śmiali.

—Otóż (rzeką) on, co w złocie
I co ufał w swéj niecnocie,
A w Bogu nie kładł nadzieje—
Dziś widzim: co się z nim dzieje.

A ja, jako osobliwy
W domu pańskim krzak oliwy,
Kwitnąć będę, bom na wieki
Wdał się do pańskiéj opieki.

Miéj dziękę, dobrych obrońca,
A złych zkaźca (3)! ja do końca
Chcę czekać Twéj łaski świętéj,
U twych wiernych zawżdy wziętéj.

Na to patrząc ukrzywdzony,
Zlęknie się pańskiéj możności,
A iż nagle zły skażony (1),
Rozśmieje się w przespieczności (2).

Rzecze: Onoż on, co w złocie
Ufał, w mocy, w chytréj sprawie,
Z placzliwych się śmiał w kłopocie,
Zapomniawszy Boga prawie.

A ja, drzewo jak oliwy,
W ogrodzie pańskim wszczepiony,
Kwitnąć będę nielękliwy,
W nadzieję z Nieba obrony.

A Ciebie przed wszemi, Panie,
Wyznam skaźcą nieprawości,
I mając w tobie ufanie,
Zniosę wszelkie doległości!

Porównywając te dwa przekłady, przedewszystkiem zaznaczyć wypadnie, że język u Sępa wygląda o wiele naszych czasów bliższy, co zresztą dziwić nie powinno, praca bowiem Kochanowskiego przynajmniej o jaki lat dziesiątek może być dawniejszą (4), w owych zaś czasach nadzwyczaj skrzętnéj około języka roboty, lat nawet kilka widoczną stanowić może różnicę. Ale co już na dobre osobistym Sępa jest nabytkiem, czy też wrodzoną właściwością, to nieposlednia swoboda formy, umiejętność władania lirycznemi zasobami, tychże wielka obfitość, smak czysty, wdzięk stylowy i w ogóle siła poetyczna, bardzo uderzająca przy prostocie Kochanowskiego, która, jak w obecnym razie, dość jest nawet prozy bliską. Nie chcę daléj posuwać porównania: Kochanowskiemu ze wszechmiar, jak wiemy, współzawodnik nie przystoi. Obecnie, chciałem jedynie wykazać, że jeśli kto kiedy godzien był do miary stanąć z tym olbrzymem, to tylko Sęp ten ledwie dorywczo nam znany, gdyby był—jak powiedziano—lat swych dalszych dożył. Jednak, i takiemu jakim nas doszedł, sądzę, że bez wahania dać możemy miejsce tuż po Kochanowskim, boć i to przecię zaszczyt już nie mały.

---

(1) Z tego zaś, że nagle zły został pohańbiony.
(2) Ukrzywdzony rozraduje się, czując się bezpiecznym i rzecze....
(3) Pohańbiciel.
(4) Trzecie wydanie psałterza, podług prof. Przyborowskiego, nosi już datę roku 1578.

§ 9. Streszczenie poglądów i zakończenie.

Streszczając wreszcie wszystko to, cośmy dotąd o osobie Sępa i jego skromnéj działalności do powiedzenia znaleźli, raz jeszcze przyznać wypadnie, że się nam ta postać, na tle swojéj epoki, bardzo wyjątkowo przedstawia.

W istocie, jestto dziwne zjawisko ten człowiek tak głęboko uczuciowy, w pośród gwarnego obyczaju ziemiańskiego, pół obozowego pół dworskiego—ten tak chroniący się w siebie, wpośród ludzi, którzy całkiem na zewnątrz żyli—ten taki bierny, wpośród działalności wszelkiéj—ten tak trwożnie pobożny w czasie, kiedy się hasłem niemal stało wiarę swą probierzem rozumu na różne sposoby doświadczać. Być może, właśnie ujemne działanie tych wszystkich wpływów cofnęło w siebie ten umysł wrażliwy; ale najprędzéj podobno dopomogło mu w tém, z życiem jego zrosłe, a tak w epoce owéj wyjątkowe, marzycielskie usposobienie.

Już na świat przyszedł w warunkach z przyszłą jego dolą całkiem sprzecznych, w otoczeniu zaprzątnień przyrodzie jego ducha po prostu wstrętnych, sumienie jego mocno niepokojących, zresztą tuzinkowych, poziomych i zapewne niezbyt przyjaźnie przez ogół cenionych. Następnie, nauka i wychowanie przesadziły umysł jego w grunt odpowiedni, w którym on co prędzéj chciwe zapuścił korzonki, wybujał i zakwitł. Zawiązane tam stosunki wyrobiły mu położenie towarzyskie, o wiele wyższe nad sferę, w której się urodził. I oto, do zaścianka ojcowskiego znowu mu wracać przyszło, wykolejonemu i podobnemu do orła ze złamaném skrzydłem. A był i tak już do zniechęcenia skłonny—więc czyliż dziwno, że nie tylko z okolicznościami ale i z sobą walczył, i bywał różnie targany? Bowiem w szkole, w któréj się kształcił, przykładem własnym uczono go zaparcia się siebie. Więc wyniósł stamtąd uczucie czyste i ducha ofiary, sam już z urodzenia mając w sobie nieuleczoną do ideału tęsknotę. A tu i prozę kłopotów powszedniego bytu znalazł, zewsząd w koło siebie dojmującą; i pewnie tysiączne braki duchowe tego, co już był nawykł uważać za niezbędną życia potrzebę; i także ten rubaszny żywot ziemiański, swéj swobody nadmiarem rażący jego pańskie wydelikacenie.

Z téj to przyczyny, spotykamy w nim, nie łatwe do pogodzenia z sobą, prac duchowych objawy. Cichy jest i jednocześnie namiętny, skupiony w sobie a razem na zewnątrz uwagi pełen, spokojny w swém rozmarzeniu a niesforny w ciekawościach, głęboko pobożny a oraz—rzecz dziwna—wątpiący. Któż odgadnie jego refleksyi genezę, a dopieroż jéj przebieg i zwroty? W jedném miejscu bardzo znacząco

wyznaje, że jest „rozdwojony w sobie.“ Indziéj, niemal śladem Salomonowego grzesznego upadku, mimowolnie wydziera mu się z piersi wykrzyk bolesny:

Niech moja łódź, gdzie pędzi wola Boża, bieży,
I przy brzegu, który mi Bóg naznaczył, stanie...
Jeśli nie jest bezportne ludzkie żeglowanie.

A przecież, tak on pogodnie zwykle po za grób spogląda, tak mu tu na ziemi nie sporo i tak mu pilno gdzieś daléj. Rzekłbyś: z własnym demonem za bary się on jąwszy i nie mogąc mu dać rady, do stóp krzyża przypada, i obejmuje go z rozpaczą, i ratunku woła, na gwałt w dzwonek Loretański bijąc, który, według wiary prostaczéj, burze zażegnywa. Bo też i te jego bezwiednie zdradliwe szemrania, mruczą już tylko, na podobieństwo oddalającéj się, a może już nawet przyciszonéj nawałnicy. Pilnie je nawet w ducha głębiach przydusił—tak przynajmniéj sądzi — ale cóż z tego? — niecierpliwy bywa, a pokusa nie śpi...

Jest-to niezmiernie ciekawy okaz obłożnie choréj duszy, zmuszonéj własnym swoim być lekarzem. Spowiada ona głuche cierpienia i zaleca odpowiednie im balsamy, ale wołającym na pustyni głosem, który jednak, potęgą swoją poprzez trzech wieków śpiącą ciszę sięga.

Tak jest, Sęp w swoim czasie był anomalią osobliwszą—i dziwże tu, że go szczupła tylko garstka bliskich rozumiała i że się lat dwadzieścia na wydobycie z ukrycia wyrobów jego ducha zbierano? W obecnéj chwili już on podobno także nie dzisiejszy; ale nie dawno temu, kiedy jeszcze poezyi naszéj wielka tryjada w pełni przyświecała, nie był on jéj obcy. Z tych jeden szczególnie, swym duchem lecącym w nieskończoność, wydaje nam się bardzo mu pokrewny. Każdy zgadnie, że tu mowa o autorze Przedświtu. Bo nawet i tęsknoty Sępa, i jego spokój ten taki wypłakany, i myśli ciąg i ich wymowa, są również jak u tamtego jakieś wielkopańskie. W tym względzie, dość go zbliżyć z Janickim. Syn ludu, także jak on przedwczesnym zagrożony zgonem, więcéj jednak fizycznie niż moralnie cierpi, silnie ziemi się trzyma, umieraćby w żaden sposób nie chciał; paniątko zaś pieszczone, na podobieństwo zemdlonego kwiatu, w biernéj pokorze skroń schyla, obrachunek sumienia czyni, ostatnią swoją wolę przekazuje, i niczego nie żałując, ze świata się wybiera. I tamten jest realistą, u którego nic niedopowiedzianém nie zostało—ten zaś mistyk, ale dający dużo do myślenia. Więc nawet po dzisiejszemu na zimno go sądząc, przyznawszy mu, że miał wyobraźnię gorącą, duszę tkliwą, serce kochające, jeszcze i to za zasługę mu się policzy, że jego muza ego-

tyczną nie jest, że zamiast coby miał, jak wielu innych mniéj od niego moralnie udręczonych, osobistemi tylko cierpieniami drugich zaprzątać, on raczéj zbiorowe boleści odczuwa, głęboko źródła się ich dobadywa i w świadomości siebie ulgę dla nich obmyśla. Więc tu uznać znowu należy poglądu jego jasnowidztwo, równowagę myśli, poczucie rozsądnéj miary i w ogóle właściwości, nie tylko w jego czasach, wyjątkowe.

I wydaje mi się to nie tyle ze stanowiska sztuki osobliwém, że on taki w sobie skończony, gdyż zaprawdę, nieprzeparty prąd postępu owych czasów, z tajemniczych społeczeństwa pracowni, wydobywał na wierzch ludzi od razu gotowych; ale doprawdy godne jest dla mnie podziwu to jego takie przedwczesne rozmarzenie się i tęsknota, będące, jak wiadomo, jedną z cech tak zwanéj naszéj romantyczności—a także ten w nim pierwiastek czysto abstrakcyjny, to uzdolnienie do uczuciowéj refleksyi, nie znane i nie odczuwane ani przed nim, ani za jego życia, ani nawet po nim, aż chyba w czasach, których już pamięć nasza sięga. Bo, że Kochanowski, w danéj chwili, bolesne Treny z duszy swéj wypłakał, że w nich głębie własne przepatrując, z padołu niedoli do nieba tęskni, stało się to, jak wiemy, wyjątkowym ducha uciskiem; ale nie było, jak u Sępa, wrodzonego usposobienia, a daléj pracy wewnętrznéj, wynikłością.

I kiedy nad tem dumam, Grottger mimowolnie staje mi na myśli. Temu, nawet uśmiechała się młodość, miłość, rozkoszne wrażenia, rozgłos szeroki. A przecież, serce miał rozbolałe, i mówiono o nim: przy bogactwie podobném, skąd on taki smutny? I podziwiano w nim ogrom zasobów piękna, z których nazbyt krótkiéj rozrzutności nie jeden mniéj nawet zwyczajny człowiek miałby do syta jeśli nie nad miarę, i z żalem obliczając szczupłe po nim dziedzictwo, zapuszczano się w domysły:—jak on to wysoko byłby wybujał, gdyby mu lata nie zostały skrócone?—

Tak to i o Sępie prawią współcześni:—by był doszedł lat swych, byłby całkiem znamienity.—A tym-czasem, prawdopodobnie, oba oni, w tym niedługim pozornie przeciągu, całość życia swego wyżyli; w tem zaś, jak mniemamy, niedopowiedzianém swojem słowie, wyrzekli wszystko, co tylko do wypowiedzenia mieli.

Felicyan.

OBRAZ FILOZOFII SPÓŁCZESNEJ.

W NIEMCZECH I HOLANDYI.

Gdyby kto, pół wieku temu, odważył się twierdzić, że naród niemiecki jeszcze niéma swojéj filozofii, albo że filozofia, którą jego metafizycy dotychczas uprawiali, niewiele warta, byłby się naraził na zarzut obskurantyzmu i odesłanoby go napowrót do szkoły. Nie trzeba nawet cofać się myślą o pół wieku; Niemcy dotychczas mają się za naród najfilozoficzniejszy na świecie i lada drobnostkę, traktują *gründlich und wissenschaftlich*. Sądzą oni, że inne ludy powinny się jeszcze długo uczyć, nim narodowi filozoficznemu choćby do kolan dorosną. W tém poczuciu własnéj wyższości znać dużo arogancyi, ale jest też sporo i prawdy. Życie umysłowe Niemiec rozwija się bujnie we wszelkich kierunkach, ku czemu sprzyja wiele korzystnych warunków, o których nie potrzebujemy tu mówić. Zajmuje nas w téj chwili tylko jeden kierunek, albo raczéj jedna gałąź téj pracy umysłowéj, mianowicie, spekulacya filozoficzna.

Otóż, co do filozofii spółczesnéj w Niemczech, trzeba wyznać, że lubo niemasz żadnego systematu, któryby był panującym i przeważnym, ani zapału takiego np. jaki się objawiał przed pół wiekiem; jednakże obfitość dzieł i rozpraw filozoficznych rozmaitego kierunku jest niewyczerpana. Wprawdzie są-to po większéj części reprodukcye dawniejszych systematów, szczególniéj zmodyfikowanego kantyzmu; ale praca nie ustaje, poszukiwanie prawdy i dróg do niéj wiodących nie słabnie. Niektórzy sądzą, że należy wrócić wprost do Kanta, inni go dopasowują do nowszych teoryj naukowych, inni chcą wracać jeszcze poza Kanta. Chwilowy rozgłos Hartmanna już przycichł, gwiazda jego blednieje, chociaż autor coraz nowemi książkami stara się ugruntować zbyt chwiejny pesymizm i swoję filozofią „wyzwolenia“ (*die Erlösungsphilosophie*). Materyalizm Büchner'ów

i Vogt'ów, tak głośny niedawno jeszcze, nie budzi obecnie ani tego zajęcia, ani takiéj opozycyi, jakie, lat temu dwadzieścia mniéj więcéj, były widoczne w literaturze niemieckiéj. I w Niemczech górę nad wszystkiemi prądami wzięły nauki fizyczne i przyrodzone, osobliwie teorya rozwoju: umysły znużone abstrakcyami zażądały strawy konkretniejszéj i posilniejszéj. Zwrot ten objawił się i w spekulacyi filozoficznéj; ci, co o jéj potrzebie i słuszności nie zwątpili, zaczęli ją wprowadzać na inne tory, wiązać z nauką, i dali jéj nazwę filozofii *umiejętnéj*. Podobne dążenie i prawie równocześnie spotykamy we Francyi, Anglii i Włoszech; metafizycy zmiarkowali, że jeżeli rozbrat filozofii z naukami daléj potrwa, jeżeli piasków metafizycznych nie użyźnią trochą empiryi, staną się niepotrzebni w rzeszy uczonéj.

Wyrazem tego dążenia do zbudowania filozofii umiejętnéj stały się pozakładane świeżo pisma peryodyczne: we Francyi *Revue philosophique* (1876), w Anglii *Mind* (1876), a w Niemczech *Vierteljahrsschrift für wissenschaftliche Philosophie* (1877). To ostatnie wydawane pod redakcyą R. Avenarius'a, liczy śród swoich spółpracowników lepsze naukowe siły niemieckie, między którémi spotykamy Wundt'a, E. Zeller'a, Schäffle'go i wielu innych, mniéj znanych za granicami Niemiec. Dawniejsze pisma peryodyczne uprawie filozofii w Niemczech poświęcone, ujrzawszy nowego spółzawodnika, podniosły protest, zwłaszcza przeciwko zarozumiałości téj nowéj filozofii, nazywającéj się „umiejętną", jak gdyby stara spekulacya była „nieumiejętną." Zarzucać filozofii niemieckiéj w drugiéj połowie XIX wieku, że dotychczas była nieumiejętną, toż-to herezya nie do darowania! Tak przynajmniéj osądził jeden z przedstawicieli filozofii idealno-realnéj *H. Ulrici*, któremu Avenarius dał w kilku artykułach owego kwartalnika porządną odprawę. Inni spółpracownicy tegoż pisma, jak np. F. Paulsen, zaczęli rozważać stosunek filozofii do umiejętności i okazali, że filozofia dawniejsza, począwszy od Arystotelesa, zawsze łączyła się z umiejętnościami i z nich życie swoje czerpała; że dopiéro od Kanta zaczęła stronić od nauki i doświadczenia, budując systemata z *czystego rozumu* i *à priori*.

Wzięto też w obronę *doświadczenie* (*die Erfahrung*), na które filozofia spekulacyjna patrzyła i dziś jeszcze patrzy, jako na źródło wiadomości gminnych, przydatnych, co najwięcéj, w stajni lub kuchni. Rozmaite znaczenia tego chwiejnego terminu (doświadczenie) roztrząsnął inny spółpracownik kwartalnika, mianowicie, Göring, w artykułach zatytułowanych *Ueber den Begriff der Erfahrung*. Słowem, pismo, o którém mowa, stale i wiernie dotrzymuje obietnicy, co do uprawiania filozofii „umiejętnéj", gdyż w ciągu lat czterech

pomieściło długi szereg rozpraw oryginalnych z rozmaitych gałęzi nauk filozoficznych, nie poprzestając na oderwaném ich traktowaniu, lecz posiłkując się wszędzie rezultatami nauk doświadczalnych.

Tym sposobem widzimy w rozwoju najnowszéj metafizyki niemieckiéj dość dziwne zjawisko, tj. pobratanie się z doświadczeniem i z *nieczystym* rozumem. Było to jednak nieuniknionéni; przed filozofią stała alternatywa: albo zwinąć chorągwie i przenieść się do muzeum starożytności, albo znów się skojarzyć z umiejętnościami i na nich oprzéć. Wybrano drugą alternatywę i jak sądzimy, uratowano spekulacyą filozoficzną od pośmiewiska wśród ludzi uczonych. Jeszcze wprawdzie i w téj umiejętnéj filozofii niemieckiéj dużo widać kantyzmu, jeszcze się poważnie rozprawia i łamie głowę nad tém, jak Kant rozumiał *das Ding an sich;* zawsze jednak już inny duch wieje, przynajmniéj w pracach tego kierunku, o którym mówimy.

W niniejszém sprawozdaniu o filozofii spółczesnéj w Niemczech, korzystamy z artykułu najznakomitszego jéj przedstawiciela, Wundt'a, uzupełniając go tu i owdzie wiadomościami zkądinąd czerpanemi, zwłaszcza co do samego autora i dzieł ogłoszonych po wydrukowaniu jego rozprawy w *Mind* (zeszyt VIII — 1877).

Kto przedsiębierze opisać główne prądy spółczesnéj filozofii niemieckiéj, mówi Wundt, ten powinien być przygotowany na zarzut ułożony w formie pytania: „Czy istnieją takie główne prądy? Czyliż raczéj nie należałoby powiedzićć, że są liczne drobne strumyki, z których każdy bieży swojém łożyskiem?“ Na pierwszy rzut oka takby się zdawało i pod tym względem spółczesna filozofia niemiecka wielce się różni od filozofii w pierwszéj połowie bieżącego wieku. Wówczas istniały wyraźnie różniące się od siebie szkoły, do których się zaciągał każdy zwolennik filozofii. Teraz zdaje się, że każdy pisarz dotykający przedmiotów filozoficznych ma swój własny system; a jeżeli który z nich trzyma się dawniejszych mistrzów, takich jak Kant, Herbart lub Schopenhauer, czyni to z rozmaitémi zastrzeżeniami, by nikt nie wątpił o jego oryginalności. Niejaki A. Spir wystąpił niedawnemi czasy z projektem wiecznego pokoju między filozofami, i roztrząsał na seryo warunki jego; ale zdarzyło mu się to samo, co się zdarzało i w polityce, mianowicie, że projekta pokoju nigdy się częściéj nie pojawiają jak w czasie wojny. Wynikiem projektu była gorąca polemika i rzeczy zostały po dawnemu.

Rozbrat opinij spotykany w spółczesnéj filozofii niemieckiéj można przypisać dwóm okolicznościom: z jednéj strony upadkowi sy-

stematów spekulacyjnych tak długo panujących, które wyrugował nowy pogląd na świat powszechnie przyjęty, a z drugiéj przeniesieniu filozofii z murów akademickich do większych kół publiczności, w szeregi ludzi ukształconych. Jakoż, na początku tego stulecia systemata filozoficzne najprzód ujrzały światło dzienne na katedrach uniwersyteckich i zyskały sobie gorliwych zwolenników między uczącą się młodzieżą, nim je publiczność w drukowanéj szacie poznała. Tak np. Fichte rozwinął swoję spekulacyą najprzód wobec audytoryum akademickiego; tak również kolejne fazy systemu Schellinga wzięły początek z odczytów uniwersyteckich; nareszcie i Hegla odczyty filozoficzne były bądź streszczeniem całego jego systematu, bądź niektórych części; albowiem umiał on nawet historyą filozofii wcisnąć w kleszcze swojéj dyalektyki. To samo stosuje się i do Herbarta, który na odczytach akademickich wykładał własny systemat metafizyczny, będący oraz podstawą jego psychologii. Uczniowie naśladowali mistrzów i tym sposobem metafizyka stała się głównym przedmiotem instrukcyi filozoficznéj w uniwersytetach niemieckich. Zagarnęła ona w swoję służbę psychologią, etykę, estetykę i filozofią natury; logikę również traktowano bądź jako część metafizyki, bądź jako propedeutykę do niéj. Na historyą filozofii mało zwracano uwagi. Na co zresztą przydać się może wiedza historyczna, jeżeli wszelka i cała prawda mieści się, jak sądzono, w czterech ścianach szczegółowego systematu? Dopiéro mistrzowski, lubo jednostronny wykład tego przedmiotu przez Hegla zapewnił mu trwałe stanowisko w kursach akademickich.

Przyjrzyjmy się teraz nieco wykładom filozofii po uniwersytetach niemieckich, rozumiejąc pod tą nazwą nietylko szkoły wyższe we właściwych Niemczech, lecz wszystkie, gdzie w użyciu jest język niemiecki. Otóż widzimy najprzód, że nie masz nigdzie żadnego głośniejszego metafizyka, któryby, jak to było niegdyś, gromadził koło siebie setki słuchaczów i stanowił szkołę; powtóre, statystyka lekcyj pokazuje, że największą stosunkowo liczbę godzin zajmują wykłady historyi filozofii, następnie logiki, późniéj psychologii, a dopiéro na końcu etyki i metafizyki. Ta przewaga historyi filozofii nadawana, jest faktem znaczącym, albowiem wskazuje zużycie się metafizycznych systematów i zupełny przewrót w spółczesnéj instrukcyi filozoficznéj. Dawniéj trzymała prym metafizyka; profesor filozofii powinien był mieć swój własny systemat, a jeżeli go nie miał, zaciągał się pod chorągiew głośniejszego mistrza i objaśniał go słuchaczom. Teraz metafizykę traktują historycznie i krytycznie, to znaczy, że ją mają za umiejętność przebrzmiałą. Równocześnie zwolennicy filozofii zajmują się więcéj logiką i psychologią, to jest nauka-

mi, które dzięki uznanéj niewielkiéj liczbie zasad i faktów stoją niejako po nad systematami, i pociągają ku sobie swojém praktycznéni znaczeniem. A znowuż z tych dwóch ostatnich nauk przewagę ma logika, co można-by tém objaśnić, iż łatwiéj obchodzi się bez metafizyki niż psychologia. Jeżeli zaś oba te przedmioty razem wzięte mniéj liczą godzin i słuchaczów, niż historya filozofii, pochodzi ztąd, iż je wykładają w wyższych klasach gimnazyów. Nie znaczy to, żeby uczniowie kończący gimnazya dobrze się zapoznali z logiką i psychologią; lecz ponieważ w gimnazyach zbrzydzili je sobie z powodu scholastycznéj metody, w jakiéj słuchali wykładu, więc w uniwersytecie nie okazują do nich ochoty. Zaczyna się tedy między nauczycielami budzić przekonanie, że filozofia powinna być przedmiotem studyów uniwersyteckich; nałóg jednakże, równy *sile bezwładności*, jeszcze się opiera téj reformie. Ile zaś gimnazyalne wykłady filozofii są warte, łatwo się przekonać z tego, co Wundt o sobie opowiada. Oto był on przed kilku laty świadkiem egzaminu z psychologii w pewném gimnazyum niemieckiém. Nauczyciel tego przedmiotu ułożył sobie kurs swojego pomysłu i dyktował go uczniom do nauki na pamięć. Odpowiedzi więc ich były płynne: o naturze duszy, o życiu, umyśle i wielu innych rzeczach, uczniowie prawili bez zająknienia. „A co, czy nie biegli są wychowańcy nasi w psychologii?“ zapytał go nauczyciel, po skończonym egzaminie. „Tak, odrzekł Wundt, przyznaję się, iż na żadne z tych pytań nie zdołałbym był odpowiedzieć.“

Filozoficzne wiadomości uczniów wstępujących do uniwersytetu ograniczają się zatém do kilku scholastycznych definicyj i prawideł logicznych, których się na pamięć wyuczyli. Nic więc dziwnego, jeżeli uważając te strzępki za filozofią, nie garną się do niéj w uniwersytecie. Uczeń w uniwersytecie niemieckim nie zapisuje się do szkoły dla nabycia wyższéj oświaty, ale przedewszystkiém dla studyowania jakiegoś chlebodajnego fachu; jest to *Brodstudium*. Chce on zostać lekarzem, prawnikiem, teologiem, pedagogiem i do tego zawodu sposobi się, ażeby mógł zdać egzamina. Tymczasem nauki nietylko wzrosły, ale i rozdrobniły się; ażeby lekarz, czy prawnik mógł im podołać, potrzebuje dużo pracy i czasu. Gdzież mu jeszcze myśleć o filozofii! Trzebaby więc albo filozofią uczynić przedmiotem obowiązkowym podczas egzaminów i zmusić uczniów do jéj studyowania; albo też musiałaby budzić szczególne ich zajęcie. Przymus, w znacznéj części, ustał bądź dla mnogości fachowych przedmiotów, bądź przez poszanowanie swobody. Nawet egzamina składane na doktorów filozofii, niekoniecznie pociągają za sobą znajomość tego przedmiotu; stopnie doktorskie otrzymują w wielu uniwersytetach

niemieckich tacy uczniowie, którzy praktycznie nic nie wiedzą o filozofii.

Z tego jednakże nie należy wnosić, jakoby obecnie upadło w Niemczech zamiłowanie filozofii, jakoby się chyliła do upadku. Najprzód bowiem w ostatnich latach liczba słuchaczów tego przedmiotu w uniwersytetach wzrosła, pomimo, że nowe regulamina akademickie zostawiają go po większéj części do woli uczniów, a powtóre, zyskała sobie filozofia po za uniwersytetami liczniejszych, niż niegdyś zwolenników. Niemcy i pod tym względem stali się teraz praktyczniejsi. Nie uważa się tam już za konieczne, by lekarz mający leczyć chorego, lub adwokat mający bronić sprawy, byli świadomi spekulacyj metafizycznych i znali się na filozofii medycyny lub prawa. Zostawiono do woli uczniów, studyować filozofią; a skutkiem tego wzmogła się jakość nietylko słuchaczów lecz i profesorów. Zdarza się téż, iż niejeden, co myślał tylko o chlebodajnéj profesyi, po wstąpieniu do uniwersytetu nabiera smaku do filozofii, lub téż zdobywszy chléb, poświęca się jéj z zamiłowania. Pociągnęło to za sobą swobodniejszy wyraz opinii, aniżeli bywało dawniéj, gdy filozoficzne rozprawy ograniczały się do ciała profesorskiego. Filozof, który się czuł pod cenzurą za swoje opinie polityczne lub religijne, którego promocya leżała w ręku tejże cenzury, dopasowywał często wykłady do tych wymagań z góry idących. Tymczasem badacz prywatny czuje się niezależnym, zwłaszcza przy znacznéj swobodzie słowa, która w Niemczech oddawna istniała. Ta emancypacya filozofii z pod rózgi urzędowéj, musiała korzystnie, lubo powolnie, oddziaływać na jéj rozwój. Teraz i w uniwersytetach filozofia liczy wielu przedstawicieli, którzy się nie czują skrępowani zajmowaném stanowiskiem w głoszeniu swoich opinij, dzięki większéj swobodzie zdania pośród saméj publiczności.

Z drugiéj strony, przeniesienie filozofii do szerszych warstw, stojących poza uniwersytetami, ma téż swoje *ale*. Oto, wynikł ztąd dyletantyzm filozoficzny, ponętniejszy i dostępniejszy na tém polu niż w innéj gałęzi nauk, podkopujący kredyt filozofii w oczach ludzi oddanych naukom ścisłym i szkodzący jéj tyleż, co dawniejsze obłędy metafizyczne Schellinga lub Hegla. Ponieważ dyletantyzm chwyta zwykle za najtrudniejsze zagadnienia, ztąd popularna literatura filozoficzna w Niemczech, bredzi jeszcze w metafizyce. Przeciwnie, w uniwersytetach, te wykłady są najchętniéj słuchane, które czy to historycznie czy krytycznie dążą do pogodzenia filozofii z naukami doświadczalnemi. Co się tyczy filozofi popularnéj, ta czerpie swoje natchnienie w dziełach Schopenhauera, który, jak wiadomo, zjadliwie powstawał przeciw rzemiosłowéj filozofii uniwersyteckiéj. Siedzi téż ona jeszcze po uszy w metafizyce.

Przechodząc teraz do skreślenia wybitniejszych kierunków filozoficznych w Niemczech, można osobno zastanawiać się nad filozofią poza-uniwersytecką i osobno nad uniwersytecką. Oczywiście, podział taki nie ma w sobie nic stanowczego, gdyż to, co się mówi i wykłada z katedr uniwersyteckich, przepływa rozmaitemi korytami do publiczności; a znów ludzie, nie należący do szkół jako profesorowie, lecz uprawiający filozofią z zamiłowania, oddziaływają ze swojéj strony na uniwersytety. Rozmaite kierunki filozoficzne obu tych działów, będą niżéj ogólnie scharakteryzowane.

Zacznijmy od filozofii poza-uniwersyteckiéj. Około połowy wieku bieżącego objawił się w filozoficznéj literaturze niemieckiéj ruch *materyalistyczny* spowodowany częścią przez bankructwo systematów metafizycznych, częścią przez agitacyą socyalną i polityczną. Człowiekiem, który najwięcéj przez swoje pisma na ten objaw wpłynął, był Ludwik Feuerbach († 1872), z początku uczeń Hegla, potém przeciwnik jego, lubo jeszcze posługujący się dyalektyczną metodą dawnego swojego mistrza. Feurbacha nie można zaliczać do właściwych materyalistów, jakkolwiek nikt tyle może, co on, nie przyczynił się do rozbudzenia spółczesnego materyalizmu niemieckiego. Człowiek jest, według jego pojęcia, miarą rzeczy, zarówno pod względem prawdy teoretycznéj jak i moralnego działania. W teoryi poznania, Feuerbach był sensualistą, to jest, za kryteryum prawdy uważał zmysły; pod względem etycznym, humanistą, to jest, uważał ludzkość i uczucia sympatyczne za cel działania, za kryteryum czynów indywidualnych, przeciwstawiąc humanizm wybujałemu egoizmowi. W poglądach swoich na teoryą poznania, na religią i moralność zbliżał się bardzo do A. Comte'a, chociaż w dziełach jego nie widać, by znał twórcę pozytywizmu francuskiego. Feuerbach jednakże tych swoich poglądów nie powiązał w skończony systemat i dlatego może, obecne pokolenie prawie o nim zapomniało.

Feuerbach wpłynął na Jakóba Moleschotta, którego uważają za przedstawiciela i niejako głowę materyalizmu niemieckiego. Dzieło jego *Der Kreislauf des Lebens* (1852), zawierające najbardziéj systematyczny wykład materyalizmu, torowało drogę popularyzowaniu tego kierunku przez Büchnera. Zapał dla wznowionych spekulacyj materyalistycznych w Niemczech tak się wzmógł, że książka Büchnera *Kraft und Stoff*, popularnie je tłómacząca, doczekała się czternastu wydań i przekładu na obce języki, a w téj liczbie i na polski. Porównywając dzieła innych niemieckich materyalistów, jak np.

Vogta i Czolbe'go, łatwo się przekonać, że popęd i naukową formę teoryi wzięli oni równie jak Büchner od Moleschotta (1).

W ostatnich latach prace Darwina doznały w Niemczech gorącego uznania i sprawiły, że niejeden z młodszych pisarzy zaniechał spekulacyjnych zaciekań i przerzucił się do obozu materyalistycznego. Nawet starsi, nieżyjący już, jak np. Ueberweg († 1871) i Dawid Straus († 1874), który niegdyś siedział u stóp Hegla, złożyli wyznanie wiary filozoficznéj w duchu Darwina, głosząc, że stwierdzone rezultaty nauk przyrodzonych, stanowią jedyne kryteryum naszéj wiedzy teoretycznéj. Należałoby tu jeszcze doliczyć głośnego dziś naturalistę Ernesta Häckla, gdyby nie to, że sam on wypiera się materyalizmu, uważajac go za równie bezzasadny jak i idealizm. Häckel należy właściwie do ewolucyonistów i najwięcéj się przyczynił do zapewnienia teoryi Darwina w Niemczech rozgłosu i uznania. Ewolucyoniści zapatrują się na wszechświat jako na wielki mechanizm złożony z atomów, przyczém samym atomom przyznają pewien stan wewnętrzny (?) będący zarodem i początkiem zjawisk, które psychicznemi nazywamy. Teoryą taką właściwiéj byłoby nazywać monizmem i tak ją nazywa Häckel, przeciwstawiąc pogląd ten dualizmowi. Trzeba jednak dodać, że w monizmie Häckla i innych tegoż kierunku pisarzy ma przewagę *pierwiastek materyalny* o tyle, że wszystkie zjawiska fizyczne podciągają pod proces mechaniczny atomów—a zaś objawy psychiczne tłómaczą zbyt ogólném zdaniem, to jest, jakiemiś stanami wewnętrznémi tychże atomów (2). Jeżeli znów większą wagę będziemy przywiązywali do *psychologicznéj strony* tego paralelizmu, o którym nas uczy wewnętrzne i zewnętrzne doświadczenie, przejdziemy nieznacznie na inne stanowisko. Takie właśnie stanowisko zajął Fryd. Zöllner.

Autor ten rozpoczął swój zawód od studyów około nauk ścisłych z zakresu fizyki i astronomii; powoli jednak zwrócił się do zagadnień filozoficznych, zwłaszcza do teoryi poznania. Upatruje on również, jak Häckel, nową własność w atomach „usiłując zredukować najprostsze i najelementarniejsze procesy natury do określonego związku z procesem czucia.“ Widoczne to w dziele *Ueber die Natur der Kometen*, *Beiträge zur Geschichte und Theorie der Erkenntniss*,

---

(1) Historya materyalizmu wogóle doskonale wyłożył A. Lange w dziele *Geschichte des Materialismus*, r. 1876 2 tomy (3 wydanie). Przełożono je na język francuzki i angielski. Obecnie wychodzi w tłómaczeniu polskiém.

(2) E. Häckel. *Anthropogénie*, traduit de l'allemand par Ch. Letourneau, r. 1877, str. 13. Tegoż: *Les preuves du transformisme*, traduit de l'allemand par J. Soury r. 1879, str. 66.

1872. Zöllner na pierwszém miejscu kładzie stronę psychiczną jako zawierającą w sobie głębszą przyczynę procesów materyalnych. Utrzymuje on, że to, co dzięki wewnętrznemu doświadczeniu nazywamy wolą, jest powszechną funkcyą materyi, czyli, że wola jest wszędzie przyczyną ruchu. Z tego powodu słusznie łączą Zöllnera jako filozofa z Schopenhauerem. Ale to zmieszanie naukowego monizmu z mistyczną doktryną Schopenhauera o woli będącéj naczelnym pierwiastkiem wszechświata, zachwiało sławą Zöllnera. Jest-to teorya nietylko jemu właściwa. Spotykamy ją u Rokitańskiego, a szczególniéj u Ewalda Heringa w dziełku *Pamięć jako funkcya materyi organizowanéj* (*Das Gedächtniss, eine Function der organisirten Materie* 1870). Tak samo pojmuje pamięć i Häckel w ostatniem dziele swojem *Die Perigenesis der Plastidule*, 1876. Wierzy on, że pamięć tkwi w organicznych molekułach, i za jéj pomocą tłómaczy zjawiska rozwoju.

Wymienieni powyżéj autorowie reprezentują jeden z główniejszych kierunków filozofii pozaszkolnéj, mianowicie, kierunek materyalistyczny całkowicie, lub częściowo. Naprzeciw niego stoi drugi, bardziéj idealistyczny, związany z imieniem Schopenhauera. Nazywamy go nie idealistycznym *wprost*, lecz tylko *bardziéj*, albowiem Schopenhauer w wielu swoich poglądach zbliżał się wielce do materyalizmu, pomimo idealistycznego początku swojéj filozofii.

Artur Schopenhauer (1788 † 1860) chciał być koryfeuszem filozofii pozauniwersyteckiéj i dlatego zjadliwie napadał na „katedralnych" filozofów, zarzucając im, że żyją *przez* filozofią, nie zaś *dla* niéj. Ubolewał nad Kantem, którego po Platonie i Goethe'm, najwięcéj cenił, że był profesorem filozofii, a nawet téj okoliczności przypisywał wszystkie wady i braki w systemacie mędrca królewieckiego. Następców i zwolenników Kanta traktował po kozacku. Fichtego nazywał próżnym pęcherzem, Hegla szarlatanem, a Herbarta waryatem. W sądach swoich był nadzwyczaj zmiennym i kapryśnym brak logiki zastępował nieraz dosadnemi wyrażeniami, jakie mu kwaśny humor nasuwał. Zarówno dary natury, jak i nabyte uzdolnienie, stanowiły w nim dziwną mieszaninę; najmniéj jeszcze kula jego sąd estetyczny. Od takiego temperamentu nie można oczekiwać jakiejkolwiek konsekwentności w doktrynie. Ale gdzie szwankuje jako filozof, tam lepiéj wychodzi jako pisarz i stylista, który osobę swoję na czoło wysuwa i nią czytelnika zajmuje. Schopenhauer był jeżeli nie najświetniejszym, to najjaśniejszym z metafizyków niemieckich. Pisał też, w porównaniu z innymi, niewiele, dzieła jego bowiem razem zebrane czynią zaledwie sześć niewielkich tomów (1).

(1) Arthur Schopenhauer's *Sämmtliche Werke*, 1876 (2 wydanie).

Byłoby jednakże mylném, gdyby pośmiertną sławę Schopenhauera przypisywano tylko zaletom jego stylu. Zapomniany i lekceważony za życia, doczekał się w naszych czasach niepospolitego rozgłosu. Wpływu jego filozofii należy więc szukać gdzieindziéj, niż w zdolności pisarskiéj. Przyczyna tego leżała głębiéj, mianowicie w tem, że filozofia jego trafiała w usposobienie czasu i ludzi, przystawała do ich myśli i uczuć. Etyczne, nie zaś teoretyczne, jego poglądy zyskały mu sympatyą ludzi ukształconych. W istocie, filozofia Schopenhauera pociągała nietyle *zasadą woli*, uważanéj na pierwiastek kosmiczny, wszechświatowy; ani téż zasadą *dostatecznego powodu* (ratio sufficiens) stanowiącą fundament naszéj wiedzy, lecz przedewszystkiém *pesymizmem*, który niekoniecznie zostaje w związku z innemi jego poglądami.) Jak Schopenhauer utrafił w ducha czasu, w potrzeby chwili, pokazuje między innemi i to, że podobny nastrój umysłowy ożywiał i innych, zupełnie różnych od niego metafizyków, jak np. Schellinga (w ostatnim peryodzie jego filozofii) i Baadera, mistyka i teozofa. Godne jest uwagi, że Schopenhauer wielce sympatyzował ze średniowiecznym ascetyzmem. Filozofia romantyczna, którą Schelling i Baader odzieli w szatę religijnego zapału, przybrała u Schopenhauera strój świecki. Nie znaczy to, żeby metafizyka jego była mniéj, niż tamtych, mistyczną, lecz, że stanowi dziwną mieszaninę mistycyzmu z jasną stosunkowo teoryą poznania. Kombinacya ta tłómaczy w części powodzenie jego filozofii, gdyż sam, czysty mistycyzm, nie zdołałby ludzi naszego wieku do siebie przyciągnąć: chcąc by w nim smakowali, trzeba go przynajmniéj pozornie z umiejętnościami pogodzić i wiedzą przyprawić. Otóż Schopenhauer, pomimo niektórych dziwacznych swoich wyskoków (jak np. przeciw Newtonowskiéj teoryi barw) był wcale nieźle obznajmiony z naukami przyrodzonemi, zwłaszcza z fizyologią, a do tego strzegł się budowania natury trybem Schellinga lub Hegla.

Przez lat dwadzieścia o filozofii Schopenhauera było zupełnie cicho; dopiéro dwaj uczniowie Hegla, na którego on najzawzięciéj piorunował, zwrócili na nią uwagę; mianowicie, Erdmann w dziele swojém *Geschichte der neueren Philosophie* (1853) i Frauenstädt († 1879) który stał się najwierniejszym jego apostołem. Kiedy w r. 1844 wyszło powtórne wydanie głównego dzieła Schopenhauera *Die Welt als Wille und Vorstellung*, zaczęli do niego zaglądać dziennikarze i powieściopisarze, naród wielce pomocny w szerzeniu nowych doktryn, który i w tym razie także ocalił od śmierci i autora i jego pesymistyczne na świat poglądy. Schopenhauer nadawał się bardzo tym propagatorom światła, tak dla wielostronnych wiadomości, jakie w dziełach jego znajdowali, jak i dla estetycznych teoryj, najmniéj

jeszcze podległych zarzutom. Ich romantyzm, znalazł w filozoficznym romantyzmie Schopenhauera teoretyczne niejako uzasadnienie, i oni to głównie wskrzesili zapomnianego i na poły umarłego filozofa wraz z jego nauką. Przyznaje to i duchowy potomek Schopenhauera Edward Hartmann, wspominając wdzięczném sercem dziennikarzy takich, jak R. Gottschalk, D. Ascher, H. Lorm i innych (w przedmowie do dzieła *Philosophie des Unbewussten)*. Tym sposobem zbliżyliśmy się do najgłośniejszego obecnie w Niemczech metafizyka Hartmanna i o nim z kolei trzeba kilka słów powiedzieć.

Karol Robert Edward von Hartmann urodził się w Berlinie 1842. W siedmnastym roku życia ukończył gimnazyum i wszedł do służby wojskowéj, mianowicie do artyleryi, gdzie zostawał do r. 1863. Już w gimnazyum zaczął rozważać najtrudniejsze zagadnienia metafizyczne, jak np. o wolnéj woli, przyszłym stanie człowieka i t. p. Podczas pobytu w wojsku, godziny wolne od zatrudnień służbowych. poświęcał na czytanie powieści angielskich, a szczególniéj dzieł filozoficznych; i wtenczas-to założył pierwsze fundamenta swojego systematu, w którym zamierzył sobie pogodzić pesymizm z optymizmem. Pod koniec r. 1864 rozpoczął pisanie najgłośniejszego swojego dzieła *Die Philosophie des Unbewussten*, które dokończył w r. 1867, lecz ogłosił je dopiéro w r. 1869. Od tego czasu wyszło ośm wydań; przetłómaczono je na język francuski i angielski. Autor w krótkim czasie stał się głośnym. Sami Niemcy nie mogą się nadziwić téj poczytności najsłabszego z dotychczasowych systematów metafizycznych. Nie brakło poważnych krytyków, uczących Hartmanna, że ani nauk przyrodzonych, ani metody indukcyjnéj nie zna. Nic to nie pomogło. Wydawca nie mógł nastarczyć żądaniu. taki był popyt; aż nareszcie książka urosła we dwa tomy i doczekała się stereotypowego druku (1).

Już sam tytuł Hartmannowego dzieła nie daje się na nasz język dobrze przetłómaczyć. Jakie bowiem w umyśle czytelnika może wywołać pojęcie tytuł: *Filozofia nieświadomości?* Dotychczas rozumiano, że filozofia tam się poczyna, gdzie wschodzi *świadome siebie*

(1) Nieznajomość nauk przyrodzonych, któremi się Hartmann lubi posługiwać, wykazał mu ziomek jego Oskar Schmidt. Co do tego czytać: *Les sciences natureiles et la Philosophie de l'Incoscient*, par Oscar Schmidt, traduit de l'allemand par J. Soury. 1879. Co do innych poglądów Hartmanna zasługuje na uwagę ocena ich w dziele *Pessimism*, by James Sully, 1877. Str. 111 i daléj. Treściwy, krytyczny i jasny przegląd ciemnéj metafizyki Hartmanna ogłosił H. Vaihinger pod tytułem: „*Hartmann. Düring und Lange*, ein kritischer Essay.“ 1876. U nas pisał o *Filozofii nieświadomości* sprawozdanie, H. Goldberg w *Bibl. Warszawskiéj* za r. 1873.

myślenie; ale mówić o filozofii *nieświadomości*, to już zakrawa na igraszkę wyrazową. Dlatego też tytuł trzebaby po naszemu zmodyfikować i powiedzieć: *filozofia tego*, *co jest nieświadome (das Unbewusste)*. Ale i ta zmiana niewiele pomaga. Ciemne zostało ciemném. Hartmann uosobił, że tak powiem abstrakcyą i na początku wszechrzeczy postawił *nieświadomość*, która, jak niegdyś absolut Schellinga i Hegla, wszystko z siebie zradza. Przechodząc od tytułu do treści dzieła, dajemy głos Wundtowi. Oto co on pisze o Hartmannie.

Edward Hartmann pierwszy usiłował wprowadzić poważne zmiany w systemacie Schopenhauera; że nadszedł czas i potrzeba zmian takich, świadczy powodzenie dzieła Hartmanna, oraz liczni naśladowcy, którzy do takich samych prawie, jak i on, doszli wniosków. Metafizyka *nieświadomości* ma też swoich poprzedników i Hartmann sam wylicza ich, powołując się zwłaszcza na fizyologów, którzy chcieli pewne procesy tłómaczyć za pomocą *nieświadomych* działań umysłu. Bardziéj jednak podobno wpłynął na niego Schopenhauer, niż owi fizyologowie. Hartmann zamierzył sobie pogodzić metafizykę Schopenhauera z wynikami nauk przyrodzonych, i téj okoliczności należy przypisać początkowy oklask dla tego przedsięwzięcia. Doktryna Schopenhauera wywierała już silny pociąg na wielu; ale ponieważ za dni naszych nauki ścisłe zyskały doniosły głos w świecie, zatém każdy chciałby z niemi być w zgodzie. Filozofia tedy, obiecująca pogodzić spekulacyą z naukami przyrodzonemi, musiała być wielce pożądaną.

Metafizyczny systemat Hartmanna dąży do przezwyciężenia dualizmu woli i poznania, w jakim zostawiła je filozofia Schopenhauera. Schopenhauer uważał nieświadomą wolę za transcendentalny kosmiczny pierwiastek, który staje się przedmiotowym (objectifies itself) najprzód dla naszego podmiotowego poznania, a następnie dzięki procesom mózgowym, stwarza świat, który poznajemy. Tymczasem podług Hartmanna, wola i poznanie stanowią nierozdzielną jedność w tém, co jest nieświadome (the Unconscious).

Hartmann, rozpatrując najrozmaitsze czynności ciała i umysłu, spotyka wszędzie coś niewiadomego, tajemniczego, coś co się nie daje wyprowadzić z warunków przez doświadczenie dostarczonych, a zatém powinno być odniesione do jakiejś nieświadoméj umysłowéj zasady. Na poparcie tego twierdzenia rozważa w pierwszéj części swojego dzieła czynności nerwów, instynkt, *siłę leczebną, vis medicatrix*, rozwój organiczny, poczucie estetyczne, miłość płciową, mowę, mistycyzm, historyą—z czego znać wielkie oczytanie się, ale na nieszczęście bez najmniejszego krytycznego zmysłu w ocenianiu źródeł,

z których czerpał swoje fakta. Kładzie on bez wahania tuż obok siebie staranne badania uczonych i spirytystyczne mrzonki zapaleńców lub mesmerycznych szarlatanów. Ten brak zupełny zmysłu krytycznego widoczny jest już we wstępie do dzieła, gdzie sobie cel swoich rozmyślań zakreśla, Tu więc stara się usprawiedliwić wprowadzenie przyczyn celowych, twierdząc, że gdy znane przyczyny nie wystarczają do objaśnienia pewnego zjawiska, można przypuścić istnienie warunków nieznanych. Ponieważ zaś według jego zdania, jest mnóstwo zjawisk przyrodzonych, których z przyczyn materyalnych wyjaśnić niepodobna, trzeba więc przypuścić istnienie przyczyn *celowych*. Dowodzeniu temu nadał Hartmann formę matematyczną, mianowicie rachunku prawdopodobieństwa; rozumuje zaś tak, że gdyby Laplace o tém wiedział, przewróciłby się w grobie. Ale przez to właśnie zarówno w tem miejscu, jak i w innych, gdzie się powołuje na swoje „naukowe powagi,“ otumania słabe umysły mniemaną ścisłością.

Świadomość jest, według Hartmanna, wyższym stopniem rozwoju nieświadomości. Nie jest ona, jąk u Schopenhauera, produktem woli, lecz wyrabia się przez wiedzę, poznanie, zrywając z wolą i dziwiąc się potém téj swojéj niezależności. Z tym jego poglądem na świadomość łączy się nauka pesymizmu. Nieświadomość stoi wyżéj ponad wszelkiém przeczeniem, nic nie doświadcza i nie cierpi, nigdy się nie nuży, nigdy nie wątpi, nigdy nie błądzi, ani się myli. Dopiéro ze świadomością rozpoczyna się poczucie niezadowolenia, niesmaku, które coraz bardziéj wzrasta, im umysł więcéj traci złudzeń, im bardziéj dojrzewa. Schopenhauer próbował dać swojemu pesymizmowi podstawę metafizyczną; mówił więc, że twórcza potęga woli była zawsze hamowaną i dlatego zużywała się w nieustannéj, bezskutecznéj walce. Hartmann zaś i tu postanowił trzymać się metody nauk indukcyjnych. Utrzymuje więc, że gdy przeprowadzimy starannie statystykę przykrości i przyjemności doznawanych, okaże się, iż suma przykrości jest w życiu człowieka większą od sumy przyjemności. Że rachunek jego nie bardzo ścisły, zaledwie potrzebujemy ostrzegać. Pierwszy rzut oka na powagi, któremi się zastawia, pokazuje, jak subjektywną jest owa statystyka, jak nie daje najmniejszéj objektywnéj podstawy dla powziętéj z góry naprzód opinii.

Hartmann należy do najpłodniejszych pisarzy tegoczesnych. Nietylko bowiem dostarcza artykułów do rozmaitych czasopism, lecz jeszcze oprócz głównego swojego dzieła, ogłosił kilka mniejszych; między któremi dużo hałasu narobiły dwa: *Rozkład chrystyanizmu* (*Die Selbstzersetzung des Christenthums und die Religion der Zukunft* 1875), oraz *Prawda i błąd w Darwinizmie* (*Wahrheit und Irr-*

thum im Darwinismus, 1875). Pierwsze z nich zwrócone głównie przeciw postępowym teologom protestanckim, lubo trzeba wyznać, że się nie godziło tak na nich uderzać, gdy się głosi poglądy bardzo pokrewne tym, jakie wyraził Biedermann w swojéj *Dogmatyce chrześciańskiéj*. Ale z ludźmi naukowymi walka *filozofii nieświadomości* całkiem się nie udała. Nie bardzo się troszcząc o główne dzieło Hartmanna, tém bardziéj nastawili uszy, gdy zaczął prawić o darwinizmie. Szczególniéj Oskar Schmidt, głośny profesor zoologii w Strassburgu, poddał naukowe podstawy *filozofii nieświadomości* niemiłosiernéj, i trzeba wyznać, gruntowéj krytyce, w książeczce: *Przyrodnicze podstawy filozofii nieświadomości* (*Die naturwissenschaftlichen Grundlagen der Philosophie des Unbewussten*, 1876) (1). Nie trzeba jednak sądzić, że Hartmann nie zna słabych stron swojéj filozofii, albowiem jeszcze przed ukazaniem się krytyki Schmidt'a sam napisał bezimienną jéj krytykę pod tytułem: *Nieświadomość ze stanowiska fizyologii i teoryi pochodzenia*, uważana, (*Das Unbewusste vom Standpunkte der Physiologie und Descendenztheorie* 1872). Krążyła wieść, że Hartmann sam był autorem téj krytyki. Jakoż, w późniejszém swojém dziele *Neukantianismus, Schopenhauerianismus und Hegelianismus*, 1877, przyznał się do tego. Hartmann więc nie uważa się za nieomylnego, a przyzwoity ton, jakim swoim przeciwnikom odpowiada, stanowi zupełny kontrast ze zgryźliwym tonem Schopenhauera.

Ostatniemi czasy Hartmann wydał jeszcze *Fenomenologią świadomości obyczajowéj* (*Phänomenologie des sittlichen Bewusstseins* 1879) oraz rozprawę mniejszéj objętości, mającą za cel historyczne uzasadnienie pesymizmu pod tytułem: *Zur Geschichte und Begründung des Pessimismus 1880*. O téj ostatniéj pracy wystarczy, gdy powiemy, że autor uważa Kanta za ojca pesymizmu i stara się naukę swoję uczynić przystępniejszą większym kołom publiczności za pomocą wykładu i rozbioru takich np. pytań: czy pesymizm może być naukowo uzasadniony? Jakie jest znaczenie cierpień, przywiązanych do życia ludzkiego? Do zrozumienia poglądów Hartmanna książeczka to przydatna, nie zawiera jednak nic takiego, o czémby autor gdzieindziéj już nie pisał. Ale poprzestając na téj krótkiéj wzmiance o rzeczonej rozprawie, nie możemy równie ogólnikowo zbyć pierwszego z dwóch dzieł powyżéj przytoczonych t. j. owéj *Fenomenologii sumienia*.

Pozwalamy sobie w tém miejscu *świadomość obyczajową* (das sittliche Bewusstsein) nazywać wprost *sumieniem*, gdyż w naszym języ-

---

(1) Cytowane powyżéj w tłómaczeniu francuskiem przez J. Soury.

ku wyraz *sumienie* bywa stosowany w sferze etycznéj umysłu i lepiéj rzecz oddaje niż *świadomość obyczajowa*.

Autor w przedmowie nazywa tę swoję pracę drugiem „głównem dziełem“ rozumiejąc pod pierwszém *Filozofią nieświadomości*, i dodaje, że ma ono stanowić prolegomena do wszelkiéj etyki w przyszłości, tak jak swojego czasu Kant pisał prolegomena do wszelkiéj metafizyki. Nie jest to więc całkowity systemat etyki, lecz zaledwie wstępna część do niego. Wszakże wstęp ów liczy 871 stronic dużego formatu i zapewne obudzi w niejednym czytelniku pytanie, ile téż tomów będzie obejmował całkowity wykład etyki? Nie kusząc się o zgadywanie przyszłości, zobaczmy, co w sobie zawiera samo dzieło.

Główném zadaniem Hartmanna jest wykazać, jakie koleje przechodzi, w jakich zjawiskach i faktach obyczajowych występuje świadomość obyczajowa, zanim się urobi na istotne, rzetelne sumienie: ztąd nazwa dzieła *Fenomenologia sumienia*. Przygotowanie do odpowiedzi mieści się w części pierwszéj i znacznie mniejszéj dzieła, obejmującéj rozbiór „pseudomoralności“ tj. zasad, na których niegdyś, a często i dzisiaj jeszcze, ród ludzki opiera czyny swoje moralne. Chociaż moralność ta była nierzetelną (*das pseudomoralische Bewusstsein*), stanowiła przecież niezbędną propedeutykę do obyczajowości istotnéj, prawdziwéj; w tém-to tkwiła względna jéj słuszność i usprawiedliwienie. Ta pseudomoralność rządziła się dwiema zasadami: egoizmem i powagą (*die Autorität*); ztąd téż autor nazywa ją inaczéj egoistyczną i heteronomiczną. Pierwsza miała, według Hartmanna, przewodniczyć życiu ludów starożytnych, zwłaszcza Greków i Rzymian; druga, wiekom średnim. Człowiek w świecie starożytnym zakładał sobie, jako cel życia, osiągnienie szczęścia tu, na ziemi; a gdy się przekonał, że go osięgnąć niepodobna, przeniósł je do innego,-zaziemskiego świata, egoizm ziemski zastąpił niebieskim. Ponieważ zaś sam z siebie nie mógł wiedzieć, jaki jest kodeks, według którego żyjąc, mógłby osięgnąć owo szczęście zaziemskie, musiał się poddać *powadze* i zdaniu innych, decydujących o tém według objawienia. Wola jego przestała być autonomiczną, stała się heteronomiczną, poddała się powadze, która rządziła nią w postaci władzy rodzicielskiéj, kościelnéj i państwowéj. Ale na każdym z tych stopni człowiek przekonywał się, że cudza powaga nie wystarcza do określenia, co jest złém lub dobrém moralnie, i zaczął owe powagi krytykować i stopniowo odzyskiwać straconą autonomią woli.

Po załatwieniu się ze wstępną częścią, Hartmann rozpoczyna wykład właściwy swojego przedmiotu, t. j. rozważa, na czém polega prawdziwe sumienie (*das ächte sittliche Bewusstsein*). Tu autor roz-

trząsa następujące punkta: pobudki, cele i podstawę moralności. W porównaniu z resztą, najwięcéj miejsca poświęcił rozbiorowi „pobudek,“ które nazywa zasadami podmiotowemi i w takim porządku analizuje: moralność dobrego smaku, czyli zasady obyczajowo-estetyczne (*die Geschmacksmoral*); moralność uczuciowa (*die Gefühlsmoral*); moralność rozumowa (*die Vernunftmoral*). Pod każdą z tych zasad naczelnych grupują się podrzędniejsze w liczbie 26. Dodajmy tu nawiasowo, że to wyliczanie zasad obyczajowych zyskano nie przez analizę psychologiczną, wykazującą postępowy i konieczny rozwój coraz wyższych stopni sumienia, lecz przytoczono je jako regestr faktów świadczących, że rozmaici ludzie powodowali się lub powodują którąś z owych zasad w postępowaniu swojém. Z kolei następuje rozbiór „celów“ moralności, czyli wykład przedmiotowych zasad obyczajowych. Człowiek przekonawszy się, że za cel życia nie może brać swojego, jednostkowego szczęścia, postanawia dążyć do uszczęśliwienia innych i w tém szczęściu ogólném upatruje cel swego życia. W języku szkoły nazywa się to eudemonizmem społecznym. Przedstawicielami téj zasady etycznéj byli, między innymi, Bentham i St. Mill. Hartmann nie podziela téj doktryny, a chociaż nie szczędzi pochwał Mill'owi, sądzi przecież, że gdyby ją wprowadzono w życie, doprowadziłaby do najnieznośniejszéj równości i miernoty, wysuszając w ludziach najdzielniejsze pobudki spółzawodnictwa. Może ona zaledwie wystarczać teraźniejszemu pokoleniu, ale nie stanowi najwyższego celu obyczajowego działania i dla tego należy ją uzupełnić przez inny cel przedmiotowy, przez rozwój cywilizacyjny, który autor nazywa *das evolutionistische Moralprinzip oder das Prinzip der Culturentwickelung*. Należy myśléć nietylko o szczęściu obecnych pokoleń, lecz i o przyszłych, albowiem ludzkość jest ciągle rozwijającym się organizmem; a jak nieraz trzeba szczęście indywidualne poświęcić dla dobra ogólnego, tak téż i szczęście obecnie żyjących ludzi musi być poświęcone przyszłéj pomyślności rodu ludzkiego. Jest to może najzdrowsza myśl w etyce Hartmanna, lubo także nie nowa na świecie. Wiąże się ona z całą jego teoryą filozoficzną, opartą na ideach postępu i powszechnéj celowości. Dążenie zatém do szczęścia ogólnego okazuje się w jego etyce jako środek budzący sumienie ludzkości i prowadzi je na wyższy szczebel obyczajowy zwany ładem wszechświatowym, *das Moralprinzip der sittlichen Weltordnung*. Dopiéro będąc na tym stopniu poznania, gdy cały świat pojmujemy jako system celów, gdy dobrowolnie poświęcamy własne szczęście lub szczęście niższego rzędu dla szczęścia wyższego rzędu; dopiéro wtenczas stajemy się prawdziwie moralnymi. Wszakże i te przedmiotowe cele moralności wiszą jeszcze w powie-

trzu, póki się nie oprą na zasadach bezwzględnych, głoszących *tożsamość* jednostek i absolutu. Tu już wchodzimy na pole czystéj metafizyki obyczajów. Zasady moralności podmiotowe nie mogą dostarczyć ogólnych prawideł obyczajowych, gdyż zależą od natury jednostki; z drugiéj strony, zasady czyli cele przedmiotowe, nie wynikając z natury jednostki, nie mogą na nią wywierać dość skutecznego parcia i wpływu; kombinacya obu rodzajów zasad także nie pomoże; mogą one dopiéro wtenczas skutecznie wpływać na życie ludzkie, gdy się okaże, iż cel świata jest identyczny z celem jednostki. Tym sposobem na „podstawę" moralności (*Urgrund der Sittlichkeit*) składają się cztery zasady: *monistyczna*, głosząca tożsamość treści jednostek (*das monistische Moralprinzip oder das Moralprinzip der Wesensidentität der Individuen*); *religijna*, wyrażająca tożsamość jednostek z absolutem (*das religiöse Moralprinzip oder das Moralprinzip der Wesensidenittät mit dem Absoluten*); zasada *absolutnéj celowości* (*das absolute Moralprinzip oder das Moralprinzip der absoluten Teleologie als der des eigenen Wesens*); nareszcie zasada *odkupienia* czy *wyzwolenia* (*das Moralprinzip der Erlösung oder das negative absolut-eudaemonistische Moralprinzip*).

Z powyższego wykładu widać, że przedmiotowe zasady obyczajowego życia i działania redukują się do dwóch: że obowiązkiem naszym jest przykładać się do szczęścia ogólnego, oraz poświęcać szczęście niższego rzędu, dla szczęścia wyższego szczebla.

Ale życie człowieka jest tylko ułamkiem ogólnego życia, a cel jego—cząsteczką celu ogólnego. Jeżeli tedy pojęcie eudemonizmu zastosujemy do absolutu, a rozwój świata i człowieka uznamy za drogę konieczną, po któréj absolut zdąża do swojego uszczęśliwienia; zrozumiemy oraz konieczność skombinowania eudemonizmu społecznego z zasadą ewolucyi, rozwoju, nakazującą ofiarę i zaparcie się samego siebie, by absolutowi ułatwić zdobycie szczęścia. Ogół, absolut, Bóg Hartmannowski, dąży do swojego uszczęśliwienia przez boleści i zawody jednostek ludzkich, dlatego téż autor nazywa ten stan absolutu wprost *die Unseligkeit Gottes* i prawi o boleści Boga (*der Gottesschmerz*); że zaś my wszyscy i każdy z osobna stanowimy treść absolutu, więc też razem z nim czekamy swojego odkupienia czyli wyzwolenia (*die Erlösung*). Słysząc ten finał, zdawałoby się, że przemawia chrześcianin z pierwszych wieków naszéj ery, gdy będąc ściśniony ze wszech stron, wołał: *cupio dissolvi!*

Zalety i wady dawniejszych pism Hartmanna okazały się i w tém, najbardziéj wykończoném. Do zalet możnaby zaliczyć pewną żywość i barwność stylu, co u niemieckich metafizyków rzadko się zdarza. To, co w jego etyce jest zdrowe i krytykę wytrzyma, nic

jest oryginalném: jest bowiem mieszaniną pojęć stoickich z teoryą rozwoju, powleczoną panteizmem bezdennym, w którym jedna tylko pesymistyczna brzmi nuta, *chcę być rozwiązan*! To zaś, co jest niby nowe, cała strona czysto naukowa a zwłaszcza metafizyczna, do której autor najwięcéj wagi przywiązuje, lubo także nie nowa, ale tyle słabych punktów zawiera, że dość je wskazać, by każdy dostrzegł chwiejności fundamentu. Jakoż, absolut cierpiący i absolutna teleologia są, zdaniem naszém, temi słabemi punktami, które gdy się zachwieją, całą budowę w przepaść pociągną. Alboż można myśléć o absolucie tak sam-na-sam, nie odnosząc go do czegoś, z czémby się dał porównać? Wszakże jakikolwiek akt myślenia wymaga dwóch terminów, z których jeden pomaga do określenia drugiego, a tém samém go ogranicza—i już po absolucie! Rzecz to dawno już znana i rozstrzygniona: absolut nie ożyje, póki logika czuwać będzie nad sidłami tkwiącemi w wyrazach ogólnych.

Ze strony filozoficznéj krytykowali doktrynę Hartmanna głównie *Haym* w *Rocznikach Pruskich* (Tom 31; to samo w osobnéj książce 1873), oraz *Kirchmann* w dziełku: *Ueber das Prinzip des Realismus*, 1875. Zresztą, książka Hartmanna wywołała całą literaturę, mnóstwo prac rozmaitych, częścią łączących się z pojęciami *filozofii nieświadomości*, częścią probujących dalszego jéj rozwoju. Wszystkich tych utworów wyliczać tu niepodobna; dość zauważyć, iż jedni autorowie przyjmują bez zastrzeżeń naukę Hartmanna, drudzy kombinują z nią Hegla, inni pragnęliby zawrócić do Schopenhauera. Bezwarunkowym stronnikiem Hartmanna jest *A. Taubert*, o czém świadczy rozprawa jego: *Der Pessimismus und seine Gegner* 1873; daléj, *Du Prel*, który napisał dziełko *Der gesunde Menschenverstand* etc 1872. *Maurycy Venetianer* usiłował rozwinąć filozofią Hartmanna w książce: *Der Allgeist*: *Grundzüge des Panpsychismus* etc. 1877: wyróżnia się on prócz tego żwawą polemiką przeciw Kantowi i Schopenhauerowi. *Jan Volkelt* dąży do pogodzenia filozofii Hartmanna z filozofią Hegla, w książce zatytułowanéj *Das Unbewusste und der Pessimismus*, 1873. *Ludwik Noiré* stara się godzić filozofią Schopenhauera z naukowym monizmem i teoryą rozwoju. *Juliusz Bahnsen* zawraca wprost do Schopenhauera. Pierwszy z nich wydał książkę pod tytułem: *Der monistische Gedanke*, 1875; drugi dwutomowe dzieło: *Beiträge zur Charakterologie* 1872. Zresztą, filozofia Schopenhauera liczy jeszcze wielu stronników, którzy w dziełach niekoniecznie filozoficznych reprodukują jego poglądy, sztukując je poglądami Hartmanna i innych pesymistów. Z takich ochotników pesymizmu odznaczył się między innemi *Fryderyk Nietzsche* w Bazylei, w rozprawach rozmaitéj treści, zatytułowanych ogólnie *Unzeitgemässe Be-*

trachtungen 1874—76. Tak Nietzsche, jak i podobni jemu łączą pesymizm z mistycyzmem i zbliżają się do teoryi emanacyjnéj szkoły nowo-aleksandryjskiéj. U téj sekty pesymistów szczególnéj czci doznaje kompozytor muzyczny Ryszard Wagner, w którego *Nibelungach* miała się, ich zdaniem, objawić wola, jako pierwiastek kosmiczny. Najgodniejszém atoli uwagi dziełem tego odradzającego się schopenhaueryanizmu jest *Filozofia wyzwolenia* (*Philosophie der Erlösung* 1876). Autor jéj, niejaki *Mainländer* (podobno pseudonim) posunął pesymizm do ostateczności. Twierdzi on, że Bóg był początkową jednością świata, ale przestał nią być, odkąd świat rozprysnął się na mnóstwo szczegółowych rzeczy. Bóg chciał, ażeby była *nicość*, ale istota jego nie dozwoliła, by się wnet stała nicość; świat tymczasem dążył do rozpryśnięcia się na *wielość* istot, które uderzając o siebie i walcząc, dążą do nicości. A więc nie chęć czyli wola życia, jak utrzymywał Schopenhauer, lecz chęć śmierci powoduje zmianę zjawisk, tak, że ta dążność do unicestwienia się coraz jest bliższą dokonania, gdyż w téj wzajemnéj walce wszystkich rzeczy z sobą, suma ogólna siły coraz jest mniejsza. W mniemaniu tego autora, najwyższą moralną powinnością człowieka jest zaprzeczenie (negacya) bytu, któreby przecięło dalszą możność życia indywidualnego. Możnaby to osiągnąć przez zaniechanie związków dających początek życiu.

Mamy tu więc pesymizm zaprawiony aleksandryjską emanacyą i nieledwie żydowską kabałę. Do tego rezultatu prowadzi wszelka spekulacya, któréj brak naukowego gruntu, która słucha fantazyi i krewkiego temperamentu, zamiast doświadczenia.

Filozofia wykładana z katedr uniwersyteckich, czyli filozofia akademicka okazuje także rozmaite prądy, kierunki, będące dalszym ciągiem dawniejszych szkół i echem zmarłych mistrzów. Kant, i Herbart znów zmartwychwstają; oprócz nich mają pobożnych czcicieli i Schleiermacher i Krause i Beneke. Filozofia Schleiermachera zyskała sobie po jego śmierci stronników nietylko między teologami lecz i wśród świeckich autorów. W miarę tego jak zaczęto tracić zaufanie do spekulacyjnéj metody Hegla, nabrali znaczenia tacy dawniejsi filozofowie, którzy trzymali środek między idealizmem i realizmem. Filozoficzne dzieła Schleiermachera, jako zbyt aforystyczne co do formy, nie mogły posłużyć za oparcie dla szkoły w ścisłém znaczeniu słowa; niemniéj jednak w jego duchu pisali H. Ritter, historyk filozofii; Fr. Harms i Ueberweg, znany autor *Logiki* i treściwego *Zarysu historyi filozofii*. Krause znów dla swojéj filozofii prawa, znalazł wzięcie u prawników; Beneke'go naśladowali pedagodzy.

Oprócz wspomnionych kierunków, spotykamy jeszcze jeden, mianowicie polegający na godzeniu filozofii z obecnym stanem umiejętności w ogóle. Tu również dają się wyróżnić uczniowie Hegla, Herbarta i Kanta, oraz eklektycy zbierający potroszę ze wszystkich systematów.

Ze wszystkich dawniejszych głośnych systematów, najmniéj stosunkowo ma wiernych zwolenników szkoła Hegla. Za takiego uchodzi Karol Ludwik Michelet, który rozpoczął ogłaszać systemat filozofii i pomijąc dawniejsze dzieła, wydał niedawno początek owego systemu, obejmujący *Logikę i filozofią natury* (*Logik und Naturphilosophie*) 1876—7 (2 tomy). Inni, dawniejsi stronnicy Hegla, nieżyjący już L. Feuerbach i D. Strauss nie pozostali mu wierni, a nie mogąc sobie dobrać nowego systematu, zwrócili się przeważnie do historyi filozofii. Lepsi spółcześni autorowie, piszący o historyi filozofii, wyszli ze szkoły Hegla, ale i oni, o tyle nabrali w oczach ludzi uczonych znaczenia, o ile się zdołali otrząsnąć z formalizmu Heglowskiego systematu. Erdmann wyzwolił się stopniowo z pod tego wpływu, w miarę tego jak się posuwał w wykładzie Historyi filozofii nowożytnéj; Kuno Fischer i Edward Zeller odrazu zajęli niezależne stanowisko. K. Fischer napisał *Historyą nowszéj filozofii* (*Geschichte der neueren Philosophie*) oraz uzupełnienie tegoż dzieła pod tyt: *Bakon i filozofia doświadczalna* (*Bacon und die Erfahrungsphilosophie*); Zeller zaś wydał *Historyą filozofii greckiéj* (*Geschichte der griechischen Philosophie*), tudzież *Historyą filozofii niemieckiéj od czasów Leibnica* (*Geschichte der deutschen Philosophie seit Leibnitz*): są to dzieła wzorowe pod względem wykładu historycznego. Obaj wszakże ci autorowie różnią się w pojmowaniu swojego zadania. Kuno Fischer usiłuje wniknąć całkowicie w ducha opisywanego systematu i potém odtworzyć go swobodnie. Zeller znów dociera do gruntu przedmiotu metodą ściśle filologiczną, żeby następnie mógł podać wierny jego obraz.

Trudno pomyśléć o większéj umysłowej różnicy jak ta, która dzieliła Hegla od Herbarta. Obaj oni wprawdzie rozpoczynają od metafizyki ontologicznéj, twierdząc, że doświadczenie powinno się oprzéć na pojęciach spekulacyjnych, zamiast coby one miały zeń wypływać; ale kiedy w Heglu widzimy zuchwałą spekulacyą, która wszelkie granice poznania przekracza, Herbart gubi się w pracowitém badaniu pojęć, a wykazując ich sprzeczność, zdaje się raczéj tamować, niż pomagać w rozwiązaniu zagadnień filozoficznych. Różnica ta odbija się i w ich szkołach. Kiedy bowiem Hegliści okazali się zdolnymi do ogarnienia całkowitego rozwoju myśli filozoficznéj, Herbartystom brak zupełnie zmysłu historycznego: z szeregów ich nie wyszedł żaden celniejszy historyk filozofii. Za to mocniejsi byli,

w psychologii, która stanowiła najsłabszą stronę Heglistów; ale i tu znów trzeba dodać, że byli tém lepszymi psychologami, im się bardziéj wyzwolili z pęt Herbartowskiéj metafizyki. Tak np. *Empiryczna psychologia* Drobisch'a dlatego właśnie że się zajmuje rozbiorem doświadczenia wewnętrznego bez żadnych metafizycznych przypuszczeń, lubo była napisana w duchu surowego krytycyzmu Herbarta, stanowi jedną z lepszych książek, chociaż bacząc na czas jéj wyjścia (1842) nie odpowiada już dzisiejszemu stanowi umiejętności. Dwóch nadto spółczesnych psychologów oparło swoje prace na filozofii Herbarta, ale z większą jeszcze niezależnością, mianowicie Hermann Lotze, którego *Medyczna psychologia* była zwiastunką dzisiejszéj psychologii fizyologicznéj, a znów *Mikrokosmos* pobudził większe koła do filozoficznych studyów; oraz Teodor Waitz, który zyskał sobie uznanie podręczném dziełem o psychologii *Lehrbuch der Psychologie*, a jeszcze bardziéj swoją *Antropologią* ludów żyjących w stanie natury (*Anthropologie der Naturvölker*). Od Herbarta téż wyszedł pierwotny popęd do badań, które M. Lazarus nazwał *Psychologią narodów* (*Völkerpsychologie*). Badania te mają na celu poznanie psychologicznych objawów, społeczności ludzkiéj, mianowicie języka, obyczajów i zwyczajów, mitów itp. Lazarus celuje w tym kierunku badań, jak tego są dowodem świetne jego rozprawy zebrane w dziele *Życie duszy* (*Das Leben der Seele*) 1876 (2 wyd.). Tenże uczony założył z H. Steinthalem osobne czasopismo poświęcone pracom tego rodzaju, pod tyt. *Zeitschrift für Völkerpsychologie und Sprachwissenschaft.* Steinthal bardzo liczne zamieścił w niém artykuły, dotyczące psychologii mowy i mitologii, oraz wydał wysokiéj wartości osobne dzieła jako to: *Ueber den Ursprung der Sprache*, *Ueber die Typen des Sprachbaues*, *Ueber die Manden-Negersprache*, i nareszcie *Wstęp do psychologii i lingwistyki* (*Einleitung in die Psychologie und Sprachwissenschaft*). Oprócz psychologii, uprawiali herbartyści pedagogikę i estetykę. Tę ostatnią wyłożył Zimmermann na podstawie filozofii Herbarta w dwóch dziełach: *Aesthetik*, 1856, (2 tomy) i *Studien und Kritiken zur Philosophie und Aesthetik*, 1870. Oba mają wartość głównie dla historycznéj strony przedmiotu. Lotze, który w psychologii i metafizyce trzymał się Herbarta, odstrychnął się od jego zasad w estetyce, jak to znać z jego dzieła o historyi sztuki: *Geschichte der Aesthetik*, 1868. Wpływ Herbarta znać i na Fechnerze, zwłaszcza w książce *Vorschule der Aesthetik* 1876.

W rozwoju filozofii zdarzają się czasami zwroty ku przeszłości, jak to widzimy po zachwianiu kredytu metafizyki Hegla i Herbarta. Niektórzy zaczęli się cofać aż do Arystotelesa. Popęd ku temu wyszedł od Trendelenburga, który i z katedry, i w dziele swojem *Lo-*

gische Untersuchungen znaczny wpływ na ten eklektyczny kierunek wywierał. Po Arystotelesie przyszła koléj na Kanta. Zaczęto go na nowo studyować i tym sposobem powstała szkoła nowo-kantowska. Młodsi zwłaszcza rycerze podnieśli hasło: zawracać do Kanta! W szeregu tych wojowników odznaczył się najprzód Otton Liebmann, który wydał książkę pod tytułem *Kant und die Epigonen*, 1865; ale najwięcéj do wskrzeszenia filozofii Kanta przyczynił się Hermann Cohen. Ważniejsze jego prace są: *Kant's Theorie der Erfahrung*, 1871, oraz *Die systematischen Begriffe in Kant's vorkritischen Schriften*, 1873. Cohen, równie jak cała szkoła nowo-kantowska, odznacza się między innemi i tém, że usiłuje rezultaty naukowe dzisiejszych umiejętności wśrubować w formuły terminologii kantowskiéj i czasami bywa jaśniejszy od samego Kanta, którego język nie grzeszył jasnością i precyzyą. Cohen założył sobie wyprostować pogodzić rzeczywiste lub pozorne sprzeczności filozofii Kanta; argumenta jego mogą być nawet przekonywające dla tych, co nie mają swoich mocnych przekonań; jemu przedewszystkiém zawdzięcza nowo-kantyzm większy rozgłos w naszych czasach. Trzeba jednak wyznać, że póki ci nowi kantyści wołają, żeby zawracać *do* Kanta, póki nie cofną się *poza* Kanta, ruch ten jako nieuznający konieczności ciągłego rozwoju i niehistoryczny, nie może mieć przed sobą przyszłości. Prawowierny nowo-kantyzm musi poprowadzić do reakcyi, jak to widać na dziele *Kant's Psychologie*, którego autor Jürgen Bona Meyer wskrzesza teoryą dziś już porzuconą o odrębnych władzach umysłu, a wskrzesza dlatego, że Kant jéj hołdował. Niektórzy z nowo-kantystów próbowali rozwijać daléj system Kanta, i stosować go do rozmaitych sfer doświadczenia, jak np. A. Krause, który pod kategorye kantowskie podciągał najrozmaitsze formy pojmowania i czucia. Do tego zmierza dzieło jego *Die Gesetze des menschlichen Herzens wissenschaftlich dargestellt als die formale Logik des reinen Gefühls*, 1876. A znów Classen chciał całą fizyologiczną optykę wcisnąć w ramy téj filozofii i napisał *Physiologie des Gesichtssinns*. 1876. Wielka bystrość i niemały trud łożony na te pokuszenia godne są uznania; szkoda tylko, że zostały napróżno użyte: potworzono nowe sztuczne klasyfikacye, zamiast dążyć do tłómaczenia zjawisk.

Tymczasem zaczęła się objawiać opozycya przeciw temu spóźnionemu zapałowi dla kantyzmu. Nawet w saméj nowo-kantowskiéj szkole zrozumiano, że trzebaby psychologią Kanta pogodzić z nową psychologią, a zwłaszcza z naukami przyrodzonemi, co poprowadziło do rozległych ustępstw z prawowierności. I tak, A. Stadler, który poprzednio starał się godzić teleologią Kanta, z teraźniejszemi pojęciami biologii, zrzekł się potém jednego z głównych punktów kantowskiéj teoryi poznania, mianowicie wywo-

dzenia kategoryj z form sądu, lubo obstawał jeszcze za metafizycznem tychże kategoryj znaczeniem. Odnoszące się do tego przedmiotu dzieła A. Stadlera są: *Kant's Teleologie und ihre erkenntnisstheoretische Bedeutung*, 1874; oraz *Die Grundsaetze der reinen Erkenntnisstheorie in der Kantischen Philosophie*, 1876.

Widoczna jest również swobodniejsza krytyka filozofii krytycznéj w szeregu nowszych prac tych autorów, którzy zostawiając na boku pytanie o prawdziwości lub nieprawdziwości doktryn Kanta, usiłują historycznie wykazać ich pokrewieństwo i początek. Tak postąpili Fr. Paulsen, F. Schultze i K. Dieterich. Pierwszy rozbierał teoryą poznania w dziele *Versuch einer Entwicklungsgeschichte der Kantischen Erkenntnisstheorie*, 1875; dwaj drudzy oceniali pisma Kanta ze względu na ich wartość umiejętną. Tu więc odnosi się dzieło Schultze'go *Kant und Darwin, ein Beitrag zur Geschichte der Entwicklungslehre*, 1775; oraz Dictericha *Kant und Newton*, 1877. Inni zaczęli poszukiwać źródeł nauki Kanta u poprzedzających go pisarzy lub jego nauczycieli i spółczesnych. I tak, J. Bona Meyer odkrył, że Kant pożyczył klasyfikacyi władz umysłowych od wolfianisty Tetensa. B. Erdmann wykazał, co filozof królewiecki winien był nauczycielowi swojemu M. Knutzen'owi, a znów J. H. Witte zajął się skreśleniem życiorysu Salomona Maimona, pierwszego z krytyków Kanta. Pfleiderer pisał o filozofii Hume'a, która tak wielki wpływ wywarła na *krytykę czystego rozumu* i inne dzieła Kanta. Po takich odkryciach dało się słyszéc hasło: Cofać się po za Kanta! Więc znów ukazał się szereg dzieł mniéj więcéj ważnych, z których jedne pisały o Kancie, drugie poprawiały jego doktryny, osobliwie teoryą poznania. Do tego zmierza dzieło A. Riehla *Der philosophische Kriticismus und seine Bedeutung für die positive Wissenschaft*, 1876. Autor jest bardzo zamiłowany w Kancie, ale stara się oddać sprawiedliwość i późniejszym filozofom. Bardziéj oddalił się od Kanta Göring w dziele zatytułowaném *System der kritischen Philosophie* 1874—1876 (2 tomy). Göring zbliża się w swoich zapatrywaniach do Hume'a i St. Milla. Stanowczym i niepobłażliwym krytykiem filozofii kantowskiéj okazał się E. Laas w dziele *Kant's Analogien der Erfahrung*, 1876.

Tak więc zbliżyliśmy się w tym przeglądzie do usiłowań mających na celu utworzenie nowéj filozofii, mniéj lub więcéj niezależnéj od dawnych systematów. Usiłowania, o których mowa, szły w dwojakim kierunku: *idealistycznym* i *realistycznym*. Idealistyczny wiąże się z Kantem i o nim tylko co podaliśmy wyżéj wiadomość. A. Lange, jeden z najzdolniejszych przedstawicieli téj idealistycznéj filozofii przyznaje w swojéj *Historyi Materyalizmu*, że komentarze Cohena

nad filozofią Kanta wywarły wpływ na niego. Nie wszystkie jednak doktryny Kanta podziela; sądzi on, że tak zwana transcendentalna estetyka powinna się oprzéć na psychologii, a zaś analitykę trzebaby przerobić zgodnie z rezultatami umiejętności. Niemniéj jednak trzyma się w gruncie Kanta i uważa stanowisko jego za niezależne tak od dogmatycznéj metafizyki, jak i od materyalizmu. Z pobudek wszakże etycznych uważa ten negatywny rezultat za niedostateczny. Pragnie więc świata idealnego po za tym światem zjawisk i uważa go za istotę rzeczy. Metafizyka, która taki świat idealny tworzy, błądzi: utwory jéj są złudzeniami, ale złudzenia są konieczne. Goniąc ideał, człowiek czuł zawsze i zawsze czuć będzie potrzebę metafizyki. W pojęciu Lange'go, metafizyka i poezya są ściśle z sobą związane; on téż najwięcéj sympatyzował z Schillerem, który był równocześnie kantystą i poetą. Kant wprawdzie wyparłby się takiego ucznia, sądził on bowiem, że poezya nie ma nic do czynienia z filozofią, równie jak z buchalteryą; jednakże Lange'go można rozumiéć, bacząc zwłaszcza na jego studya około historyi filozofii. Skoro bowiem metafizyką zajmujemy się tylko dla interesu historycznego, rozważając przebrzmiałe systemata; to jeżeli w przyszłości zostało dla niéj jakieś znaczenie, może ono być jedynie takie, jakie jéj Lange naznaczał. Tę samę myśl spotykamy w niewielkiéj, ale cennéj książeczce R. Avenarius'a: *Philosophie als Denken der Welt gemäss dem Prinzip des kleinsten Kraftmaasses*, 1876. Autor dowodzi w niéj, że każdy systemat filozoficzny dąży do ogarnienia wszechświata jak najprostszym sposobem.

Kierunek realistyczny łączy się nietyle z Kantem, ile raczéj z Locke'm, Hume'm i A. Comte'm. Ci, którzy pragną być oryginalnymi, filozofują na własną rękę. I tak J. H. Kirchmann, w dziele *Philosophie des Wissens*, 1874, broni realistycznéj teoryi poznania, i o tyle przypomina Czolbe'go, który przypisywał byt przedmiotowy zmysłowym wrażeniom; za to znów różni się od sensualizmu tém, iż przyjmuje pierwotne formy myślenia, spółdziałające z wrażeniami zmysłowemi w powstawaniu wiedzy czyli poznania. Bliższym sensualizmu i materyalizmu jest Eugeniusz Dühring budujący „filozofią realną,“ mającą zbić doktrynę Kanta o subjektywnych formach myślenia. W *Kursie filozofii*, (*Cursus der Philosophie*, 1875) Dühring dowodzi, że przestrzeń i czas są formami naszych zmysłowych wrażeń dlatego jedynie, iż mają byt przedmiotowy, realny, podobnie jak inne ogólne stosunki, takie jak np. przyczynowość, że przysługuje im realna istność, że nie są tylko w głowie naszéj i w pojęciach. Dühring okazał nadto bystre oko na niektóre ontologiczne aberracye myśli i skrytykował je wyśmienicie w swojéj *Przyrodzonéj dyalektyce* (*Natürliche Dialektik*, 1865). Jest on

gruntownym znawcą nauk ścisłych, tak, że jego *Historyą ogólnych zasad mechaniki*, *Kritische Geschichte der allgemeinen Prinzipien der Mechanik* 1873 i 1876, wyżéj cenią niż pisma filozoficzne. Próbował téż sił swoich i w ekonomii politycznéj, jak o tém świadczy jego *Cursus der National und Socialökonomie*, 1873. Niektórzy, jak Vaihinger, mają go za teoretyka optymizmu, tak jak Hartmanna stawią na czele pesymizmu (1). Bądź-co-bądź, zarówno ci autorowie, którzy myślą o jakiéjś realnéj filozofii, jak i ci, co pragną daléj rozwijać kantowską naukę w kierunku idealnym, zgadzają się na to, że jeszcze nie nadszedł czas na jakiś zwrót stanowczy, że wszystko, co zrobiono, stanowi dopiéro przygotowania do niego.

Nad zbudowaniem filozofii nowéj, opartéj na umiejętném doświadczeniu, pracuje dziś najczynniéj i, śmiemy twierdzić, najskuteczniéj, *W. Wundt*, który pisząc o innych, nie mógł mówić o sobie i dziełach swoich. Na zakończenie więc niniejszego artykułu o spółczesnéj filozofii niemieckiéj załączamy o nim niektóre wiadomości.

Wilhelm Wundt urodził się r. 1832; obecnie jest profesorem uniwersytetu lipskiego. Z początku poświęcał się głównie fizyologii, późniéj dopiéro zwrócił się do uprawy filozofii. Niektóre jego dzieła fizyologiczne i psychologiczne mamy tłómaczone na język polski, mianowicie: *Fizyologią* (tłómaczył Dr. A. Stockman, Warszawa, 1871); *Odczyty o duszy ludzkiéj i zwierzęcéj* (tłómaczył Masłowski. Kraków, 1874—1875 tomów 2). Nazwisko więc uczonego fizyologa nie jest obce w naszéj literaturze. O fizyologicznych dziełach Wundta nie mamy potrzeby szczegółowo mówić w tém miejscu; jeżeli zaś zwracamy na nie uwagę, to dlatego, żeby pokazać, jak był przygotowany do traktowania zagadnień filozoficznych. Dopiéro po wielu latach umiejętnych studyów przystąpił do wykładu psychologii, któréj oprócz wspomnionego wyżéj dzieła *O duszy ludzkiéj* i t. d. poświęcił jedno z najsumienniéj opracowanych dzieł swoich pod tytułem: *Zarysy psychologii fizyologicznéj*, *Grundzüge der physiologischen Psychologie*, 1874 (2). Dzieło to zwróciło na autora uwagę uczonych francuskich i angielskich, i łącznie z innemi jego pracami, zapewniło mu najwy-

---

(1) W powyżéj cytowaném dziele: *Hartmann, Dühring und Lange.*

(2) Nowe wydanie tegoż dzieła, znacznie przerobionego, wyszło w 2 tomach pod takim że tytułem w r. 1880. Porównane z pierwszém wydaniem, okazuje się w istocie, jak tytuł zapowiada, przerobioném. Autor niektóre rozdziały, jak np. o rozwoju woli, pełniéj rozwinął, dodał nowy rozdział o doświadczeniu wewnętrznem i skorzystał ze wszystkich świeższych badań, dokonanych w zakresie fizyologii i psychofizyki.

datniejsze stanowisko w spółczesnéj filozofii niemieckiéj. Do jakiéj szkoły zaliczyć Wundta? Mówi on sam o sobie, że wiele zawdzięcza Kantowi i Herbartowi; jednakże nie przeszkadzało mu to polemizować z obu tymi filozofami. Sądząc autora z dzieł jego, możnaby powiedziéć, że nienależy do żadnéj szkoły metafizycznéj i że duchowo spokrewniony jest z kierunkiem filozoficznym, który mianują filozofią doświadczalną, empiryczną. Sam tytuł głównego dzieła *Psychologia fizyologiczna* znamionuje ten kierunek doświadczalny; gdy się w nie bliżéj spojrzy, widzimy, że tytuł odpowiada treści. Psychologia długi czas w Niemczech, równie jak i w innych krajach pomimo, że ją nazywano *empiryczną*, była tylko opisem tak zwanych władz, czyli zdolności umysłowych i posługiwała się metodą *wewnętrznéj* obserwacyi. Otóż ta wewnętrzna obserwacya każdemu obserwatorowi co innego okazywała i ztąd psychologii brakło ciągle podstawy umiejętnéj, niezależnéj od subjektywnych mniemań autorów. Nastąpiła tedy zwykłą koleją rzeczy reakcya; poczęto się zwracać do zewnętrznéj, dostępniejszéj badaniu, strony człowieka, ażeby poznać wewnętrzną. Innemi słowy, zaczęto badać wrażenia zmysłowe, układ nerwowy, ruchy refleksyjne; zaczęto analizować czucia i świadomość, ażeby dojść elementarnych pierwiastków, z których się rodzą. Tym sposobem do psychologii zastosowano metodę używaną w innych naukach a zasadzającą się na obserwacyi zewnętrznéj i klasyfikacyi, tudzież na doświadczeniach, gdzie takowe były możebne. Najwięcéj pod tym względem zasłużyli się fizyologowie, którzy nie byli obcy i filozofii. Dlatego téż nowéj téj psychologii dano nazwę psycho-fizyki, psychologii empirycznéj, opisowéj, lub jak Wundt, psychologii fizyologicznéj. Nie znaczy to, jakoby obserwacyą wewnętrzną odrzucali, gdy bez niéj trudnoby nawet myśléć o jakiéjkolwiek psychologii; ale chcieli dać przez to do zrozumienia, że gdy umysł i czynność jego są nam dostępne jedynie przez skutki zewnętrzne, w których się przejawiają, zatem trzeba obserwować, analizować i klasyfikować te skutki zewnętrzne, ażeby sobie urobić jakie takie pojęcie ich przyczyny wewnętrznéj, to jest umysłu. Zaniechano tedy pytania, czém jest umysł sam w sobie, jaka jego natura i gdzie jego siedziba w organizmie ludzkim, uważając pytanie to za zbyteczne i prowadzące do niedających się sprawdzić przypuszczeń metafizycznych. A tak prawie równocześnie w Anglii, Francyi i Niemczech, dzięki fizyologom, nadano badaniom psychologicznym inny kierunek. W Niemczech jeszcze przed Wundtem na tę drogę weszli, między innemi, znakomity fizyolog Jan Müller, E. H. Weber, Helmholtz, Fechner i inni uczeni, którzy wprawdzie tylko częściowo potrącali o zagadnienia

psychologiczne, niemniéj jednak głębiéj od psychologów z powołania wniknęli w naturę czucia i wrażeń zmysłowych, a co ważniejsza wskazali psychologii drogę czyli metodę badania. Chociaż więc Wundt nie był bez poprzedników, on jednak sam ogarnął cały zakres pytań psychologicznych i starał się je nietylko obserwować i klasyfikować, lecz także *wyjaśnić*: slusznie zatém może być uważany za najznakomitszego psychologa w spółczesnéj literaturze filozoficznéj niemieckiéj. Owoc swoich badań złożył w główném i bardzo cenioném dziele *Grundzüge der physiolog. Psychologie.*

Jako niepospolity fizyolog, połowę dzieła poświęcił na wykład fizyologii mózgu i nerwów, czyli fizycznéj strony umysłu; tym sposobem uczynił przysługę dla tych, którzy zajmując się psychologią, nie mieli sposobności czynić sami doświadczeń w muzeach lub gabinetach fizyologicznych, a co istotniejsza, wnioskom i poglądom swoim dał podstawę umiejętną. Rezultaty, do których doszedł, tak oto streszcza w ostatnim rozdziale rzeczonego dzieła.

„Badania psychologiczne prowadzą wszędzie i zawsze do zagadnień metafizycznych. Ale ogół faktów i praw doświadczalnych, zyskanych przez owe badania, stanowi tylko część warunków potrzebnych do odpowiedzi na te zagadnienia. Reszty musi dostarczyć filozofia przyrody i krytyka poznania; albowiem pojęcia doświadczenia wewnętrznego są zależne od pojęć doświadczenia zewnętrznego i powinny być razem z niemi poddane krytyce co do swojego początku i praw do bytu. Dotarłszy do kresu naszego założenia, chcemy zwrócić uwagę na niektóre punkta, które wyniki psychologii fizyologicznéj do owego ogólniejszego przedsięwzięcia zbliżają.

„Można uważać za dowiedzione twierdzenie, że wszystko cokolwiek się w naszéj świadomości dzieje, ma swoję cielesną podstawę w określonych procesach fizyologicznych. Proste wrażenie, syntetyczna przemiana wrażeń na wyobrażenia, kojarzenie i odżywanie na nowo wyobrażeń, nareszcie pojmowanie i objawy woli, wszystko to odbywa się w towarzystwie fizyologicznych procesów nerwowych. Co się tyczy innych cielesnych objawów, szczególniéj téż prostych i złożonych refleksów (odruchów), nie zjawiają się one w świadomości; ale niemniéj stanowią istotne warunki wstępne, poprzedzające świadome, czyli w ściślejszém znaczeniu psychologiczne fakta.

„Zasada twierdząca, że zachodzi ścisły związek i wzajemne całkowite oddziaływanie między umysłem a ciałem, pomimo, że ją nieraz starano się ograniczyć, została rozciągniona z nieprzepartą siłą do całéj sfery doświadczenia wewnętrznego. Oddawna próbowano ją metafizycznie rozmaitemi sposoby objaśnić i wytłómaczyć.

Z gminnych wyobrażeń przeniesiony do filozofii dualizm, starając się wytłómaczyć stosunek umysłu do ciała, trojako objaśniał wzajemne ich na siebie oddziaływanie. Według jednych, umysł przyjmował od organizmu cielesnego wrażenia nakształt uderzanego ciała i w poruszeniach swoich tak samo na nie oddziaływał. Ale system oparty na *fizycznym wpływie* trudno było obronić, gdy się przekonano o stanowczéj różnicy między cielesnemi a duchowemi zjawiskami. Umysł bowiem sam musiałby posiadać własności cielesne, gdyby mógł od ciała odbierać uderzenia i takich-że ciału udzielać. Biorąc na uwagę tę trudność, którą i przy wzajemném oddziaływaniu na siebie substancyj cielesnych upatrywał, Kartezyusz objaśniał każdorazowy wpływ umysłu na ciało i odwrotnie, za pomocą boskiego zrządzenia *nadprzyrodzonéj pomocy*. Taki systemat, który wszelki fakt psychologiczny objaśniał za pomocą bezpośredniego cudu, nie zadawalniał Leibnica, lubo i on uznawał, że pierwszéj przyczyny tego związku między umysłem i ciałem, niepodobna wytłómaczyć. Według niego związek ten pierwiastkowo zrządzenie boskie raz-na-zawsze określiło. Procesy cielesne i wyobrażenia zostają związane z sobą za pomocą *harmonii przedustawnéj* (*harmonia praestabilita).* Teraz więc każdorazowy cud zastąpiono jednorazowym. Gdy zatém dualizm wyczerpnął wszelkie możliwe sposoby, mające tłómaczyć ów związek, i nie natrafił na sposób zadawalniający, złożył tém samém dowód własnéj niemocy i poprowadził z konieczności do poglądów monistycznych.

„Z pośród tych poglądów, materyalizm, starszy wiekiem od systematów dualistycznych, pojmuje stronę umysłową jako pewną formę, lub jako pewien produkt przejawów cielesnych. Ma on górę póki dowodzi zależności wyobrażeń i myśli od warunków fizyologicznych, póki walczy przeciw pospolitemu dualizmowi. Sam atoli nie podał objaśnienia zjawisk psychologicznych, a nadzieja, żeby mu się to kiedykolwiek mogło udać, znika i rozbija się o niewzruszone podwaliny krytyki poznania. Fakta zachodzące w świadomości są podstawami wszelkiéj naszéj wiedzy. Doświadczenie zewnętrzne jest zatém tylko pewnym, osobnym działem doświadczenia wewnętrznego, a chociaż to ostatnie potrzebuje koniecznie bytu przedmiotowego, jednakże forma, w któréj ten byt pojmujemy, zależy od natury świadomości. Czucie jest podmiotową formą, którą na wrażenia zewnętrzne oddziaływamy; czas i przestrzeń polegają na prawach podmiotowych rządzących syntezą wyobrażeń; nareszcie pojęcia przyczynowości i substancyi, których ciągle do tłómaczenia zjawisk natury potrzebujemy, są psychologicznego początku.

„Idealizm korzysta z tych rezultatów krytyki poznania. Ponieważ doświadczenie zewnętrzne stanowi składową część wewnętrznego, zatém według idealizmu, świat jest refleksem, odbiciem świadomości. Idealizm ma górę, póki zwalcza pretensye materyalizmu. Ale jak tylko sam probuje wytłómaczyć przyrodę, rozbija się o twardą rzeczywistość, która wprawdzie nosi na sobie ślady podmiotowych wpływów, oddziaływających na jéj pojmowanie, niemniéj jednakże wyraźnie świadczy o istnieniu bytu przedmiotowego, bez którego ani wyobrażenia, ani pojęcia nigdyby się w nas zrodzić nie mogły. Tym sposobem musimy wyznać, że nietylko do poznania natury potrzebujemy zewnętrznych bodźców, lecz że te stanowią warunki naszych form pojmowania. Przestrzeń i czas, przyczynowość i substancya nigdyby jako pojęcia nie mogły się w nas zrodzić, gdyby świat przedmiotowy nie służył za pobudkę do ich utworzenia. Otóż tym rozmaitym źródłom poznania pragnie *realizm* zadość uczynić. Jeżeli realizm chce być w zgodzie z rezultatami krytyki poznania, musi przyznać pierwszeństwo doświadczeniu wewnętrznemu. A tak filozofia przerzuca się z czystego realizmu do realizmu idealnego (*Idealrealismus*).

„Realizm szukając takiego pojęcia substancyi, któreby odpowiadało zarówno wewnętrznemu jak i zewnętrznemu doświadczeniu, wpadł na pomysł istot prostych, które oddziaływając zewnętrznie na siebie, wyobrażają obokleżność materyi atomistycznie pojmowanéj, a zaś wewnętrzną swoją naturą mają służyć za podstawę jednolitości, którą świadomość okazuje. Ztąd powstały owe systemata monadologiczne, według których, dusza czyli umysł jest jedną z pomiędzy wielu takich prostych, niezłożonych istot składających ciało i świat zewnętrzny, różniącą się jedynie od nich swoją wyższą wartością, lub korzystniejszém położeniem, jakie dzięki szczególnym połączeniom swoim zawdzięcza. Ale już na Leibnicu, twórcy monad, okazało się, jak łatwo podobne poglądy wpadają w gminny dualizm wraz ze wszystkiemi jego sprzecznościami, jak tylko chcą wytłómaczyć problemat o wzajemném oddziaływaniu umysłu i ciała. U Leibnica, dusza jako panująca monada, jest tak nieskończenie wyższą od poddanych sobie monad ciała, że Wolff potrzebował tylko mały krok uczynić, aby się całkiem do dualizmu cofnąć, zwłaszcza, że hipotezę przedustawnéj harmonii będącéj najzupełniejszym dualizmem, Leibnic mu przygotował. Herbart bardziéj na seryo zabrał się do rozwiązania problematu o wzajemném oddziaływaniu umysłu i ciała. Filozofią natury i psychologią wyprowadzał on także z podobnych wzajemnych uderzań i samozachowania się owych niezłożonych istot. I on

przecież pojmował duszę, jako jedyną, z pośród wielu poddanych jéj istot, istotę prostą. Na samozachowaniu się jéj wobec uderzeń, jakie od innych monad odbiera, zasadzał wyobrażenia; ze stosunków zachodzących między temi wyobrażeniami wyprowadzał wszystkie fakta doświadczenia wewnętrznego. Hipotezę taką byłoby jeszcze najłatwiéj pogodzić z tém, co wiemy o systemacie nerwowym, jak tego już Kartezyusz próbował. Przypuszczał on, że dusza powinnaby mieć swoje siedlisko gdzieś w mózgu, np. w szyszynce (conarium), że do tego punktu powinnyby się zbiegać ze wszech stron włókna nerwowe, które będąc pobudzone, komunikowałyby jéj wszystko, co się w innych częściach mózgu dzieje. Hipoteza ta jest wszakże tak dalece sprzeczną z faktami fizyologicznemi, że w nowszych czasach nikt jej nie podnosił, ani z niéj korzystał. Radzono tedy sobie wobec trudności przypuszczeniem, że dusza ma ruchomą stolicę w mózgu. Powinnaby zatém podróżować z miejsca na miejsce, ażeby na nią mogły oddziaływać rozmaite okolice mózgowe. Teraźniejsze wiadomości fizyologiczne wymagałyby nietylko znaczniejszego rozszerzenia zakresu tych wędrówek duszy, niż się twórcy teoryi domyślali, ale doprowadziłyby do przypuszczenia, że dusza równocześnie znajduje się w rozmaitych punktach. Albowiem, gdy powstaje wyobrażenie, składają się na nie tysiączne elementarne wrażenia, ktorych niepodobna umiejscowić w jednym i tym samym punkcie organu centralnego. Gdybyśmy zaś spytali o przyczynę, dla któréj monada duchowa miałaby się zjawiać właśnie w tych miejscach, gdzie jéj potrzeba, ażeby mogła odebrać działanie ciała, nie ma odpowiedzi. A tak i w téj hipotezie milcząco przypuszcza się pomoc nadprzyrodzoną lub harmonią przedustawną.

„Ażeby tych trudności uniknąć, rodzi się pytanie, czy zasada, z któréj się te wszystkie myśli rozwinęły, jest niewzruszoną. Zkąd-że bowiem czerpiemy przekonanie, że dusza jest istotą prostą? Oczywiście z tego, że dostrzegamy jednostajny związek stanów i procesów odbywających się w świadomości naszéj. Zamiast pojęcia *jedności* podstawiono pojęcie *prostoty (Einfachheit)*. Ależ istota jednolita *(einheitliches Wesen)* nie jest to samo co prosta (einfaches Wesen). Wszakże i organizm cielesny stanowi jedność, jest jednolity, a przecież składa się z wielu organów. Tak również i w świadomości spotykamy mnóstwo kolejnych i spółczesnych stanów, które-to mnóstwo wskazuje, że i podstawa ich jest wieloraką *(Vielheit der Grundlage)*.

„Dusza więc jest jednością, jest jednolitą (*eine Einheit*). Ale ta jedność opiera się nie na prostéj substancyi, lecz *prawdopodobnie* na

związku wielu prostych istot. W bycie swoim wewnętrznym jest ona podobną jednością, jak dla oka naszego, organizm cielesny; a całkowite oddziaływanie duszy na ciało i odwrotnie, prowadzi z konieczności do przypuszczenia, że *dusza stanowi byt wewnętrzny okazujący podobną jedność, jaką zewnętrznie widzimy na ciele do niéj należącém.* Do głównych organów ciała, do centralnych organów układu nerwowego przywiązane są objawy duszy. Jak cielesne, tak i duchowe, psychiczne funkcye są między rozmaite centralne okolice rozdzielone tak, że wszelkiéj zmianie zewnętrznéj odpowiada zmiana stanu wewnętrznego. Jednakże pojmowanie tego wewnętrznego stanu czyli świadomość, dopiéro tam staje się możebne, gdzie ów związek będący podstawą zewnętrznego i wewnętrznego organizmu, zawiera w sobie warunki do samodzielnego odnawiania procesów i wiązania stanów (umysłu) teraźniejszych z dawniejszemi. I dlatego są istoty, które nie dochodzą do rozwoju świadomości i nie wszystkie organa należące do istot obdarzonych świadomością, biorą w nié udział.

„Takie pojmowanie problematu o wzajemném oddziaływaniu umysłu i ciała prowadzi niechybnie do metafizycznego przypuszczenia, że świat układa się z istot prostych w rozmaitych związkach z sobą będących, a u których zmianom zewnętrznym zawsze towarzyszą zmiany stanów wewnętrznych. Ale te stany dopiéro wówczas przekształcają się na czucia i wyobrażenia, gdy związki istot prostych są o tyle liczne, by stanom wewnętrznym mogły zapewnić trwałość i łączność. Otóż taki stan rzeczy, o ile wiemy, rozpoczyna się w sposób przygotowawczy już u zwierząt, ale dopiéro w świadomości ludzkiéj dochodzi swojéj pełni. Tym sposobem świadomość ludzka stanowi splot centralny rozwoju natury, w którym świat sam niejako przychodzi do siebie.

„Chociaż atoli ten genetyczny pogląd na fakta psychologiczne prowadzi do uważania świadomości ludzkiéj za produkt rozwoju natury; z drugiéj jednak strony, badanie psychologiczne budzi przekonanie, że świadomość ludzka stanowi fundament, na którym wszelkie poznanie spoczywa. Najbliższym rezultatem tego samopojęcia (*Selbstauffassung*), które pewniejszém jest dla nas, niż pewność o istnieniu świata zewnętrznego, pojmowanego tylko przy pomocy naszéj świadomości, rezultatem wynikającym z powyższego jest to, że się czujemy jako jednolita istota (*einheitliches Wesen*). Świadomość nasza tylko nieskończenie mały punkt świata w swoim bycie wewnętrznym ujmuje. Nie możemy przypuścić, żeby świat zewnątrz nas będący nie miał takiego bytu wewnętrznego. Jeżeli jednak chcemy go sobie wyobrazić, możemy o nim myśléć jedynie pod formą własnéj świa-

domości, oraz pod formą świadomości opartéj na pierwszéj, a stanowiącéj świadomość ludzkości wogóle: innemi słowy, możemy go sobie wyobrażać jako jednostajny, jednolity związek, dzielący się na samoistne jedności (*Einheiten*) rozmaitego stopnia, które się według celów wewnętrznych rozwijają. A tak, doświadczeniu psychologicznemu może czynić zadość jedynie monistyczny pogląd na świat, pogląd, który indywidualności zapewnia byt, nie rozpuszczając jéj w czczéj formie monady, do któréj jedynie przy pomocy nadprzyrodzonéj rozmaitość rzeczy przenika. Nie jako byt prosty, lecz jako uporządkowana jedność wielu pierwiastków, jest dusza ludzka tém, czem ją Leibnic nazywał: zwierciadłem świata" (1).

Wysłuchawszy uważnie tego tłómaczenia, mającego objaśnić wzajemne oddziaływanie umysłu i ciała, nie możemy wyznać, żeby tajemnicza zasłona otaczająca ten stosunek, została nieco uchylona. Wundt dobrze krytykuje poglądy dualistyczne, hipotezy idealistów i materyalistów; ale jego *genetyczny* pogląd także nie tłómaczy tego, o co chodziło. Chociażbyśmy bowiem duszę ludzką pojmowali nie jako istotę *prostą* lecz jako *jedność*, kiedy organizm umysłowy porównywamy z cielesnym i jedność widomą w ciele przenosimy na umysł, czynimy tylko porównanie, które o tyle mniéj jest ścisłe, o ile umysł bardziéj do ciała niepodobny. Dlatego jesteśmy przekonani, że to nie ostatnie słowo w téj sprawie a i autor sam nie uważa swojego poglądu za ostateczny, gdy skromnie mówi, że *prawdopodobnie* (*vermuthlich*) tak się rzeczy mają, jak je sobie wyobraża.

Dzięki niepospolitym pracom fizyologów i antropologów a szczególniéj Wundta, psychologia spółczesna w Niemczech weszła na drogę, która musi doprowadzić do lepszych rezultatów, niż dawniejsze metafizyczne zaciekania nad istotą duszy i legionem władz, jakie w niéj usadowiono. Za to w zakresie logiki, mniéj widzimy usiłowań do odnowienia téj gałęzi nauk filozoficznych. Nie brak atoli i na tém polu faktów rokujących lepszą przyszłość. Do takich faktów zaliczamy *Logikę* (*Logik* 1873—1878) Chrystyana Sigwarta. W dwóch dużych tomach, autor wyłożył zwyczajną logikę syllogistyczną i metody umiejętne, przyczém sporo miejsca poświęcił opracowaniu indukcyi, korzystając z dzieła Stuarta Mill'a. Cieszy się też, że jego teorya indukcyi bardzo jest bliska takiejże teoryi Stan-

---

(1) „*Grundzüge der physiologischen Psychologie.*" Str. 858 i daléj ad finem, wydania z r. 1874.

leya Jevons'a, wyłożonéj w jego dziele „Principles of Science." Widać zatém, że Niemcy tracą wiarę w swój monopol do uprawy filozofii i oglądają się na innych zwłaszcza na Anglików. Dzieła St. Mill'a, H. Spencer'a, A. Bain'a mają w Niemczech i czytelników i tłómaczy; Anglicy ze swéj strony tłómaczą lepsze dzieła filozoficzne Niemców, co obu narodom na pożytek wyjść musi.

Przegląd niniejszy zamykamy wzmianką o wyjściu nowéj *Logiki* (*Logik, eine Untersuchung der Prinzipien der Erkenntniss und der Methoden wissenschaftlicher Vorschung*, von W. Wundt. I-ster Band. 1880). Tak więc Wundt wypróbowawszy siły swoje na psychologii i wzbogaciwszy ją gruntownėm dziełem, czyni obecnie to samo dla logiki. Tom pierwszy, który w roku przeszłym wyszedł, zawiera wykład teoryi poznania (*Erkenntnisslehre*). Drugi ma obejmować wykład metod umiejętnego badania. Taż sama gruntowność i spożytkowanie rezultatów, osiągniętych przez innych badaczy na tém polu, jaka cechuje *Psychologią*, wyróżnia też korzystnie i *Logikę* Wundta.

Przyjrzyjmy się z kolei dziejom filozofii w Holandyi (1). Potomek oszczędnych i gospodarnych obywateli, Holender, uważany średnio, czyli jak mówią, przeciętny, słusznie ocenia wartość nauki ścisłéj i zdrowéj, ale czystéj teoryi wogóle nie ufa, ażeby nie zwichnęła doskonałéj jego równowagi umysłowéj, i nie naraziła na niebezpieczeństwo spokojnego rozwoju spraw ludzkich. Już nieboszczyk profesor von Heusde twierdził, że Holendrzy szukają w filozofii prostoty, zdrowego rozsądku, a szczególniéj dobrych zasad, któreby ich nie pokłóciły z wyznaniem religijném. Ztąd też filozofią cenią jako umysłowe ćwiczenie, którego z umiarkowaniem należy używać, nie zaś jako zadanie życia skierowane do poszukiwania prawd fundamentalnych. Uważają zatém za wystarczające do tego celu krótkie zapoznanie się z istniejącemi teoryami i ich brakami, dając za wygraną ścisłéj konsekwencyi, jako niepodobnéj do osiągnięcia, a naród poprzestaje na téj lub owéj formie protestantyzmu. Z drugiéj strony, rozchodzi się w Holandyi dużo utworów literatury francuzkiéj, angielskiéj i niemieckiéj; ztąd w narodzie czuć mieszaninę najrozmaitszych mniemań, sprawiających niezgodę wśród niewielkiego

(1) O filozofii spółczesnéj w Holandyi pisał profesor Land z Lejdy w kwartalniku *Mind* z r. 1878. Za nim więc idziemy w niniejszym artykule opuszczając to, coby nie mogło zajmować naszego czytelnika.

i wogóle spokojnego społeczeństwa. Katolicyzm i kalwinizm, pozytywizm, toryzm i radykalizm mają swoich wytrwałych stronników, tak że może nie ma na świecie teoryi, któraby nie liczyła zwolenników w teraźniejszém królestwie Niderlandzkiém. Z tego wszakże wynikło to, co i w Anglii, mianowicie; że z częstych i ostrych sporów, z téj ciągłéj walki na słowa, skorzystała swoboda zdania a ludzie myślący uniknęli ostateczności.

Ażeby dać chociaż krótki obraz rozwoju spółczesnéj filozofii w Holandyi, trzeba wprzód nadmienić nieco o szkołach wyższych, gdzie i jak ją wykładają.

Po zmianie wyznania religijnego w XVI w. Wilhelm książę Oranii skłonił stany holenderskie do ustanowienia w Lejdzie szkoły wyższéj, obejmującéj wydziały: teologiczny, lekarski, prawny i sztuk pięknych (1575). W dziesięć lat potém stany Fryzyi uchwaliły zaprowadzenie podobnéj szkoły we Franekerze; wkrótce za tym przykładem poszła Groninga (1614). Szkołę w Harderwijku podniesiono do stopnia uniwersytetu na mocy uchwały stanów Geldryi (1648). Kolegium w Utrechcie otrzymało przywileje akademickie od stanów prowincyonalnych (1636). Prawie równocześnie zyskały takież prerogatywy szkoły w Deventerze i Amsterdamie. Nie miały one jednak prawa udzielać stopni naukowych, i dopiéro ustawa o uniwersytetach z r. 1876 zamieniła drugą z nich na uniwersytet prowincyonalny, a pierwszą zniosła. Tymczasem po rozmaitych przejściach szkoły wyższe w Harderwijku i Franekerze zostały zniesione (1818 i 1843). Inne jeszcze kolegia, zwane athenaea, istniały przez pewien czas w Nimwedze, Dordrechcie, Bois-le-Duc, Bredzie i Middelburgu.

Wszystkie te szkoły zależały od rozmaitych władz, a ztąd brakło w nich jednostajnego planu nauczania. Ustawa uniwersytetu lejdejskiego była najliberalniejszą i nie wkładała na uczących żadnych religijnych lub filozoficznych ograniczeń. We Franekerze wszyscy profesorowie musieli podpisywać wyznanie wiary kościoła presbiteryańskiego; w Gronindze zaniechano tego dopiéro w r. 1801. Utrecht wkrótce poszedł za tym przykładem. W statutach obu tych szkół zastrzegano, ażeby: „Filozofowie od filozofii Arystotelesa nie odstępowali, i żeby obrońców niedorzecznych paradoksów i wynajdywaczów nowych dogmatów, różniących się od nauki Arystotelesa, nie tolerowano.“

Nad uniwersytetami połączonych Niderlandów czuwali kuratorowie, ludzie wysokiego stanowiska, którzy mieli często prawo podług swojego widzimisię powoływać i usuwać profesorów; nie należeli oni nigdy do ciała uniwersyteckiego, lecz działali w imieniu najwyż-

széj władzy. Zdarzało się nieraz, że kuratorowie ci stawali w obronie swobodnéj nauki, broniąc szkoły od wdzierstwa kleru kalwińskiego. Tak np. kuratorzy w Lejdzie odrazu oświadczyli, że nie myślą dopuścić do szkoły inkwizycyi genewskiéj. Kiedy synod zebrany w Dordrechcie domagał się zaprowadzenia kuratora duchownego, któryby czuwał nad wydziałem teologicznym w Lejdzie, władza miejscowa nie przystała na to.

W szkołach wyższych holenderskich brakło życia akademickiego podobnego, jak istniało w kolegiach angielskich, lub w Kolonii i Lowanium; *bursy* czyli *ekonomie* istniały głównie dla kandydatów do stanu duchownego przeznaczonych. *Regens* i wiceregens powtarzali z uczniami burs to tylko, co wykładali profesorowie dla wszystkich uczniów. Zresztą, nie brakło prywatnych nauczycieli, od których uczniowie brali lekcye. We wtorki i soboty nie było publicznych odczytów, tylko dysputy, w których brali udział profesorowie i uczniowie pod kierunkiem jednego z nauczycieli urzędowych.

Najstarszy wydział filozoficzny, inaczéj sztuk pięknych zwany, w Lejdzie, liczył sześciu zwyczajnych profesorów, mianowicie: logiki, fizyki, matematyki i trzech języków uczonych. Na etykę patrzano podejrzliwie, jako na naukę pachnącą pogaństwem; metafizyka także nie miała kredytu, albowiem humaniści i protestanci uważali ją za płód średniowieczny i kościelny, do którego wstręt czuli. Pozwalano wszakże na ich wykład, jako przedmiotów za planem będących, a około połowy XVII w. weszły do programu szkolnego. Każdy uczeń, a szczególniéj przyszły teolog powinien był zaczynać studya od humaniorów i filozofii. Filozofia zaś ta była zmodyfikowaną nieco kopią scholastycznéj, dostrojoną do wyznania protestanckiego. Arystoteles stanowił jedyne źródło i powagę w kwestyach filozoficznych, osobliwie co do logiki; obok niego dzieła Cycerona i Piotra Ramus'a, używały wielkiéj wziętości. Nauczyciele przybywali z rozmaitych stron i rozmaitych trzymali się doktryn. Jedynym głośniejszym filozofem był B. Spinoza, ale ten ani w szkole nie uczył, ani do narodu holenderskiego należał. Zasłynął téż Arnold Guelinx, stronnik Kartezyusza, urodzony w Antwerpii. Wykładał on filozofią w uniwersytecie lowańskim przez lat 12 z wielką chwałą, poczém przeniósł się do Lejdy i tu został profesorem nadzwyczajnym (1665). Kiedy ku końcowi XVIII w. filozofia Kanta zasłynęła w Europie, znalazło się i w szkołach holenderskich kilku jéj zwolenników; wogóle jednak nie można powiedzieć, żeby trwalszy wpływ na umysły zyskała. Po wojnach napoleońskich dekret królewski z r. 1815 przekształcił nieco uniwersytet lejdejski, zaprowadzając więcéj jedności

między wykładami, które zaczęto prowadzić w języku narodowym dlatego, że po łacinie coraz mniéj rozumieli przybywający na nowo uczniowie. Filozofia jednak nie miała wielkiego u nich miru; uważano ją za resztki średniowiecznéj scholastyki; etykę uznano za zbyteczną, gdyż zastępowała ją teologia moralna, a metafizyka stopiła się z historyą filozofii. Z pośród jakiego tuzina profesorów wykładających filozofią w rozmaitych szkołach, niektórzy zalecali Krausego (Nieuwenhuis), inni Hegla (de Greuve). Van Heusde († 1839) wskrzesił filozofią Platona, a chociaż nie bardzo wniknął w tego filozofa, umiał słuchaczów zachęcić do wykładanego przedmiotu.

W Utrechcie od r. 1846 wykładał filozofią jeden z więcéj znanych holenderskich uczonych Opzoomer, który pożyczał wielu poglądów od Comte'a i St. Mill'a dostrajając je do gustu protestanckich słuchaczów i wymagań. Jako przywódca „nowożytnéj" partyi w kościele, jako biegły znawca prawa cywilnego holenderskiego i dający baczne oko na to, co się działo w literaturze europejskiéj, Opzoomer zostawił po sobie przedewszystkiém to wspomnienie, że budził życie umysłowe i pismami sięgał poza szkołę. Z jego szkoły wyszedł van der Wijck, profesor w Gronindze (od r. 1863), który założył sobie zaznajomić Holendrów ze spółczesną psychologią angielską.

Zewnątrz uniwersytetów, filozofia także bardzo słabo była i jest reprezentowana. Między 1828 a '30, i późniéj między '36 a '37 wychodziło w Hadze pismo czasowe poświęcone uprawie filozofi Hegla. Comte, zarówno oryginalny, jak i zreformowany przez Littré'go, liczył kilku wielbicieli. Nie brakło téż zawracających do starożytności. Tak A. J. Vitringa wznowił emanacyjnyą doktrynę Plotyna, a znów van Vloten pracował nad Spinozą, głosząc jego mniemania i prorokując, że się staną filozofią przyszłości. Między teologami również krążą najrozmaitsze mniemania odnośnie artykułów protestantyzmu, żadna jednak doktryna nie ma stanowczéj przewagi u nich; są to eklektycy lub sceptycy, tytułujący się filozofami „chrześciańskimi." Rzadziéj się oni spotykają, niż w przeszłym wieku, jest ich jednak jeszcze sporo między starszém pokoleniem pastorów.

Od r. 1878 zaczęło obowiązywać prawo wydane 1876, mające na celu reformę wyższego nauczania. Szkoła gramatyczna, czyli gimnazyum ma, według téj ustawy, być zakładem, w którym się udziela nauka w średnim zakresie, obejmującym to, co dawniéj nazywano *propaideia*. W uniwersytecie utrzymano pięć wydziałów dawniejszych; jedynie wydział teologiczny uwolniono od nacisku kościelnego, zostawiając wykład dogmatów seminaryom. Zamiast dawniejszych stopni naukowych *Philosophiae Theoreticae magister*, *Literarum*

Humaniorum Doctor, odtąd mają udzielać specyalne stopnie, np. doktor filologii klasycznéj, semickiéj lub holenderskiéj, a także filozofii. Ażeby ten ostatni otrzymać, młodzieniec, który skończył gimnazyum, będzie słuchał logiki, psychologii oraz historyi filozofii greckiéj i rzymskiéj, poczém zdawszy egzamen otrzyma stopień kandydata. Po odbyciu późniéj egzaminu z historyi filozofii średniowiecznéj i nowożytnéj, a także metafizyki i obronieniu rozprawy, zostanie doktorem filozofii. Wogóle, prawo z r. 1876 nie odpowiedziało życzeniom tych, co się spodziewali gruntowniejszego wykładu filozofii.

F. K.

KOMETA.

POWIEŚĆ.

(*Dokończenie*).

XXXI.

Nazajutrz był dzień mglisty, posępny. Popielata mgła napełniła powietrze, które przez to miało woń niemiłą, odrażającą. Na zwierzęta działała ta mgła jak narkotyk usypiający. Psy i koty pozwijały się w kłębki i spały nieprzerwanie. Czasami tylko sen jaki niedobry zamącił im roskosze tego letargu, wtedy wysuwał kot ostre pazury z łapek aksamitnych, a pies po prostu warczał i szczekał przez sen półgłosem. Kanarki w klatkach spały także, a nawet na gzymsach nie było wróbli, które zwykle zaraz z rana dopominają się swojéj dziesięciny od mieszkańców miasta.

Dzień taki jest dla społeczeństwa dniem niedobrym. W takim dniu rodzą się lub dojrzewają wszystkie złe rzeczy w różnych warstwach, zacząwszy od podziemia a skończywszy na poddaszu. Stróża w wilgotném podziemiu kusi w takim dniu, aby wlazł do piwnicy gospodarza, gdzie stoi wino w butelkach... restaurator, który mieszka na dole, dolewa w takim dniu wodę do piwa... pani Alicya, zajmująca apartamenta pierwszo-piętrowe, czyta romans francuski i przychodzi do przekonania, że mogłaby być podobną do bohaterki, gdyby tylko pan Karol był więcéj bohaterem... mecenas z drugiego piętra przyjmuje w takim dniu brzydką sprawę i obiecuje ją świetnie bronić... a mieszkający na trzeciem piętrze kantorzysta, układa wtedy plan okradzenia kasy swego pryncypała, przepędzenia wesołego wieczorka w „café-chantant“ i następnéj podróży do Ameryki. Na poddaszu zaś mieszkająca szwaczka decyduje się w tym dniu porzucić dotychczasowego kochanka, pomocnika fryzyera a przejść pod

opiekę starego radcy z urzędu cłowego, który obiecuje rozjaśnić mgliste dni jéj żywota!...

Słowem wszędzie upadek... przeklęta mgła! Ale cóż ludzie winni, że w takim dniu ma powietrze za mało ozonu, za mało elektryki... czyli mówiąc innym językiem, za mało moralności publicznéj... Gdyby w takim dniu niezdrowym popełniono zabójstwo—jak świetnie mógłby obrońca zabójcę obronić! Sędziowie przysięgli, patrząc na chemiczny rozbiór zamkniętego w retortę w chwili zabójstwa powietrza nie mogliby obwinić człowieka, któremu do dostania się na poziom moralności brak było pewnych składników eterycznych...

Cóż w takim dniu robił pan Protazy?

W takim dniu mają emeryci pewne zatrudnienia. Bezżenni układają łamigłówki, logogryfy i tak zwane koniki dla ostatniéj stronnicy pisem brukowych, lub odczytują wydrukowane. Nic dziwnego, że w tych fabrykatach nie wiele sensu—bo w powietrzu niewiele ozonu i elektryczności!... Podczas wojny, czytają inni w takim dniu gazety polityczne, odgadują plany wodzów i zdobywają obozy oszańcowane!... Czasem grają w wista głośnego, bo jeżeli w takim dniu człowiek gadaniem się nie rozrusza, to skamienieje jak cement przy zetknięciu się z wodą!...

Pan Protazy był także emerytem, układał czasem łamigłówki i rebusy, czytał gazety a nawet w wista grywał, ale dzisiaj była mgła wyjątkowa, a zatrudnienia powyższe przy takiéj mgle nie smakowały. Trzeba było zająć się czemś innéin.

Zaraz z rana opanowała Protazego jakaś niewysłowiona nuda. Naciągnął szlafrok na siebie i spojrzał w zwierciadło. Nie podobał mu się sobowtór zwierciadlany. Był żółty jak cytryna z zielonkowatym odcieniem. Twarz miała dzisiaj więcéj zmarszczków niżeli w dni słoneczne.

Przeklęta mgła! pomyślał sobie—człowiek galopem się starzeje! Głupie to życie!

I zawołał na służącego.

Sebastyan jak zwykle stał już pod drzwiami z garnuszkiem, czekając pierwszego szmeru. Wszedł do pokoju.

— Cóż tam dzisiaj słychać?—zapytał pan Protazy swego dwudziestoletniego powiernika.

— Mgła panie jak mléko!—odpowiedział Sebastyan.

— Czy w nocy nic się nie stało?

— Jakoś spokojnie.

— Nie było nigdzie pożaru?

— Nie było.

— Nik nie powiesił się?

— Nic o tem nie mówią!

— Tam do kata! Strasznie nudno teraz na świecie! Gdyby choć gdzie wojna wybuchła... ale daleko!

W saméj rzeczy panu Protazemu było bardzo nudno. Miał on świetną przeszłość, lubił jak powiada Marcin Luter: winko, śpiew i kobiéty—dziś to wszystko wionęło jak mgła, a pedogra niepozwala nawet na kieliszek białego!... Cóż mu teraz po téj świetnéj przeszłości zostało?... Nic-mniéj niż nic, bo niesmak, zmora wspomnień i starość! A z tém wszystkiém pozostał sam.., sam na sam!

Każdy człowiek ma instynkt zachowawczy, który w największém nieszczęściu czemś go pociesza i coś mu obiecuje. Pan Protazy już niczego sobie nie obiecywał, ale tem się pocieszał, że są od niego nieszczęśliwsi. Pragnął ich widziéć lub słyszéć coś o nich choćby codziennie, choćby co godzina. Z prawdziwą rozkoszą wyczytywał w pismach, komu w nocy kamienica się spaliła, kto się zastrzelił, kto nogę złamał a komu żona uciekła. Fakta takie były dla niego prawdziwą biesiadą, bo wobec nich było mu jeszcze dobrze na świecie. Wyobrażał sobie z roskoszą rozpacz tych biedaków, tworzył nawet przy smacznéj kawie sceny dramatyczne i dziękował, że „nie jest takim jak tamci.“ Fejletony dzienników, opisujące z całą ponętą realizmu dokonywane zbrodnie, czytywał z wielkim zapałem. Draźniło go to roskosznie, jak draźni assafetyda przytępione podniebienie smakosza.

To też dzisiaj bardzo mu się smutno zrobiło, gdy mu Sebastyan nie mógł ani o pożarze ani o samobójstwie coś opowiedziéć.

— Świat, jak widać, już się starzeje!—rzekł do siebie poziewając—tak wszystko się starzeje! .. I jakże nie ma się starzeć, jeżeli nic człowieka rozerwać nie może. Człowiek jest jak drzewo, które potrzebuje, aby go wicher od czasu do czasu dobrze aż w korzeniach poruszał, inaczéj w zaciszu zwiędnie i uschnie!...

I skurczył się jak gąbka, któréj brak wilgoci. Włożył ręce w szlafrok i zaczął przechadzać się po pokoju. W tym ruchu higienicznym przeszkodziły mu zwierciadła. Co chwila widział w nich siebie, to z profilu, to z tyłu, to z przodu—a z wszystkich stron wyglądał więcéj na karykaturę niżeli na przyzwoitego człowieka. Miał plecy garbate, nogi chude i cienkie, kolana skrzywione i twarz pomarszczoną!...

— Przeklęta mgła!... Przeklęte zwierciadło! Kto wymyślił zwierciadła? Zwierciadła przyczyniają się do zepsucia całéj ludzkości! Gdyby młoda, piękna kobiéta nie widziała siebie w zwierciadle, nie byłaby zapragnęła awantury miłosnéj... Gdyby jasnowłosa Elmina nie była w zwierciedle oceniła swoich wdzięków na pięćkroć sto-

tysięcy, nie byłaby wyszła za bankiera, którego potém dla drugiego porzuciła!... Słowem, zwierciadło to wąż-kusiciel dla młodych a satyra dla starszych!... Głupi wynalazek! Gdybym był prawodawcą, kazałbym wszystkie zwierciadła potłuc!...

I usiadł po tym monologu na obdartym fotelu.

— Sebastyanie!

Sebastyan zjawił się z chmurą na czole.

— Czy nic a nic nie masz na dzisiaj nowego?

— Powiedziałem, że nic nie ma!

— Głupia sprawa! Że to naszym gazetom nie przyjdzie ta myśl do głowy, na której zagraniczne pisma pieniądze robią!... Sebastyanie, czyś widział ten obraz?

Pan Protazy rozwinął tutaj starannie arkusz papieru, na którym była rycina przedstawiająca starego, przeżytego człowieka, otoczonego komfortem i czytającego z roskosznym wyrazem na twarzy numer „Figara,“ na którym widać tytuł: *Scandal du jour!*

Była to kopia obrazu jednego z najznakomitszych francuskich malarzy. Artysta przedstawił w sposób mistrzowski moralnego i fizycznego bankruta, którego tylko skandal jaki może rozerwać... i usłużną literaturę, która z takiego bankructwa korzystać umie, dając stępionym podniebieniom taką strawę narkotyczną...

Stary Sebastyan patrzał na papier i na swego pana.

— Cóż tak patrzysz raz na mnie, raz na papier? — zapytał rozciekawiony pan Protazy.

— Bo ten jegomość na papierze, w téj białéj szlafmycy, coś do pana podobny. Czy to może portret...

— Głupi jesteś! Ten przecież starszy ode mnie i brzydki...

— No... nie starszy i nie brzydszy! Osobliwie, gdy się pan gniewa! To akurat jak dwie krople wody! A gdyś mnie pan wtedy w kark uderzył, to byłeś jeszcze starszy i brzydszy od tego!... Złość, gniew, zawiść... to robi bestyją z człowieka!...

Pan Protazy uśmiechał się dobrotliwie na taki koncept starego powiernika.

— Widzisz przyjacielu—ozwał się po chwili—człowiek musi się gniewać, jeżeli nie ma się czem rozerwać!

— Dlaczego się pan nie ożeniłeś?

— O tobym głupstwo zrobił!... Czy są takie kobiéty na świecie, które mężów swoich aż do śmierci kochają?

— Nie obrażał-by pan Boga! Przecież między samymi znajomymi można znaleść...

— Nie wierz, nie wierz temu! Nie każdy mąż chce się zaraz przed światem przyznać... i nie każda téż kobiéta jest tak naiwna, aby nie umiała ukryć się przed światem!...

— Musiały panu kobiéty bardzo dokuczyć!

— Znam je tylko lepiéj od ciebie!

— Ot!... Jakie pan kobiéty znałeś! Jeżeli tylko te, o których wiem, to... upadam do nóg!

— Wszystkie są podobne do siebie...

W téj chwili zaszeleściała na korytarzu suknia kobiéca. Sebastyan wypadł do sieni.

Pan Protazy nastawił ucha z ciekawością.

Głucha była cisza—nic nie słychać.

Za dobrą chwilę zjawił się Sebastyan.

— Cóż tam takiego?—zapytał pan Protazy.

— Ot nic...—odparł Sebastyan—a zresztą albo ja wiem co?

— Któż to był?

— Anusia, służąca od pani dyrektorowéj.

— Anusia?... Od pani dyrektorowéj?... Dlaczego nie od pana dyrektora?

— Bo pan dyrektor służącéj nigdzie nie posyła. Zresztą mówiłem z nią...

Pan Pafnucy odmłodniał i wyprostował się.

— Powiédz, powiédz—cóż to takiego?—zawołał z ciekawością.

— Powiadam panu, że sam nie wiem. Od wczoraj coś tutaj robi (tu wskazał na drzwi sąsiada), czego nie rozumiem!—dodał zniżonym głosem.

Pan Protazy rzucił się na fotelu.

— Coś się robi?... A co Anusia ma w tem?

— Właśnie w tem sęk, że nie wiem. Kobiéty, jak co robią, to nie robią głupio!... Od wczoraj do dzisiaj widziałem ją co najmniéj pięć razy na korytarzu. Raz przydybałem ją, jak podsłuchiwała pod drzwiami naszego sąsiada... mówiła, że ma list od pani!...

— List od pani?—krzyknął z radością pan Protazy i podskoczył do góry—list od pani... powiedziała!

— Tak powiedziała... któż tam wie, czy prawda?

Pan Protazy z fantazyą zapuścił ręce do szlafroka i stanął wspaniale na środku pokoju.

Stał tak czas niejaki i widocznie rósł do góry. Zgarbiony grzbiet jego prostował się pod wpływem jakiejś myśli roskosznéj, jak się prostuje zgięta noga zabitéj żaby pod prądem galwanicznym...

Uśmiechnął się roskosznie, potarł palcem po nosie, co oznaczało najlepszy jego humor, i rzekł po cichu:

— Słuchaj Sebastyanie: sowitą nagrodę dostaniesz za to, jeżeli się dowiesz... tylko sprytnie... jaki właściwie miała interes służąca pani...

Sebastyan skrobał się w głowę.

— A jeżeli obaczysz u niéj jaką kartkę... to tak... niby żartując... porwiesz... uciekniesz... dasz mi do przeczytania, a potém... możesz jéj oddać!... Rozumiesz?

Sebastyan ciągle skrobał się w głowę?

— A jeżeli mnie tak zwiążą, jak to pana związali?

Lekka chmurka przesunęła się po żółtéj twarzy emeryta.

— Nie bój się... ja tu będę czuwał! — odparł i pchnął z lekka powiernika swego do sieni!

Zatarł ręce z radości i usiadł na fotelu.

XXXII.

Widać z tego, że wiadomość o pojedynku nie dotarła jeszcze była do pana Protazego. Wiedziano już jednak o niéj tam, gdzie oprócz ucha, były także naprężone ukryte struny serca...

W małym pokoiku były trzy kobiéty. Najmłodsza z nich, jasna blondynka z niebieskiemi oczyma i łagodnym wyrazem twarzy leżała na sofie blada i mocno zmęczona. Starsza, szatynka, siedziała przy niéj i poduszką podtrzymywała jéj głowę. Najstarsza zaś krzątała się z kluczami po pokoju i mówiła od czasu do czasu z jakąś alteracyą.

— Nie... tu rzeczywiście trzeba głowę stracić—zawołała—aby płakać i mdleć za człowiekiem, który dla innéj życie swoje stawia na kartę!... Trzeba być istną waryatką!... Jeszcze Femci się nie dziwię, ona zawsze miała głowę przewróconą—ale tobie Elżbieto...

— Niechże ciocia tylko na mnie się gniewa, a Femci da spokój, bo ona więcéj potrzebuje spokoju niżeli kazania!...

— Matko boża!

Ciocia Andzia włożyła ręce do kieszonek fartuszka i stanęła przy sofie, patrząc z politowaniem na chorą.

Eufemia oddychała głęboko i powoli. Napływ krwi do serca był zanadto gwałtowny. Często blada jéj twarz marszczyła się jakby od bólu wewnętrznego...

Elżbieta przesunęła ręką po czole choréj.

— Miałam najlepsze chęci — ozwała się po chwili — któż wiedział, że tak się zakończy!... Od niejakiego czasu zwróciłam uwagę na tego człowieka. Mogłam wygodnie, osobliwie wieczorami widziéć go przez okno, którego prawie nigdy nie zasłaniał. Pracował po ca-

łych dniach i nocach. Gdy siedział pochylony nad pracą, gdy podparł głowę i myślał i gdy w końcu wstał, a zbliżywszy się do okna, w niebo spojrzał—miał w twarzy, w oku i wcałéj postaci coś tak szlachetnego, tak pięknego i niezwykłego, że trzeba było powziąć dla niego jak największą sympatyą!... I pomyślałam sobie: gdyby on mógł być mężem Eufemii!... Myśl ta zagłębiała się co raz więcéj w mojéj głowie — snułam na téj kanwie najrozmaitsze marzenia... robiłam z niego profesora... obiecywałam mu protekcyą męża.. Cóż w tém było niemożliwego?...

Ciocia Andzia milczała, pobrzękując kluczami. Po twarzy Eufemii przebiegał smutny uśmiech.

— I gdy już miałam rzecz w głowie—mówiła daléj Elżbieta—okazałam go Eufemii. Powiedziałam nawet żartobliwie, że na nią czasem patrzy, że zapewne mu się podobała!... Przyznaję się, że tu może zbłądziłam — bo myślałam, że Eufemia nie weźmie tego tak zaraz do serca. Tymczasem różne drobne wypadki popchnęły rzecz naprzód. Mąż mój, który w ostatnich czasach zdziwaczał, nic nie pomagał, przeciwnie przeszkadzał... i stało się nieszczęście.

— Zamiast w Eufemii zakochał się w innéj!... uzupełniła ciocia Andzia z ironicznym uśmiechem.

Elżbieta chwyciła ją za rękę.

— Słuchaj ciociu!—zawołała—mogę ręczyć moją głową, że ten człowiek, gdyby był zbliżył się do Eufemii i poznał ją, byłby się tak samo w niéj zakochał, jak się zakochał w tamtéj, która może jego szlachetnego zapału nie była warta!... Patrzałam na niego przez długi czas... Poświęcony pracy i naukom... zapłonął płomieniem do kobiéty, która umiała ten płomień rozdmuchać... szał swój nazwał miłością... i zrobił pomyłkę, za którą teraz może życiem zapłacić!...

Ręka Eufemii drgnęła w dłoni Elżbiety.

— Czy Anusia przyniosła jaką wiadomość? — zapytała ciocia Andzia.

— Jeszcze nie—odpowiedziała Elżbieta—chociaż pan Tomasz, przyjaciel jednego z sekundantów, przyobiecał mi dowiedzieć się...

— Cóż w takim razie zrobicie?

— Naturalnie, że żadnéj awantury robić nie będziemy, bo na nic-by się nie zdało. Idzie nam po prostu, aby w razie katastrofy, być w pogotowiu z pomocą, jak można najbliżéj... Wiesz ciociu, że należę do wydziału dobroczynności, który chorych w szpitalach odwiedza! Wezmę z sobą towarzyszkę...

Płacz wewnętrzny, spazmatyczny, zaczął poruszać wątłą pierś Eufemii...

Elżbieta i ciocia Andzia zbliżyły się do choréj.

XXXIII.

— Cóż?... Masz? Masz! — krzyczał pan Protazy, cały czerwony na twarzy, widząc wpadającego do pokoju Sebastyana. — Masz? Masz?... Trzymaj! Trzymaj dobrze!...

I o ile mógł zerwał się szybko z wytartego fotelu.

— Mam! Mam!—wołał nie mniéj zarumieniony Sebastyan, trzymając zamkniętą rękę do góry, jakby w niéj muchę trzymał.

— Powoli! Powoli — wołał pan Protazy, zbliżając się ostrożnie do zamkniętéj ręki.

W szale szczęścia wydawało się i panu i słudze, że to co się w zamkniętéj ręce mieści, jest czémś żyjącém, co może z ręki wylecić i uciec.

Pan Protazy sparł się na palcach do góry, aby być panem zamkniętéj, wysoko podniesionéj ręki Sebastyana. Nie tak łatwo jednak zgodził się na to Sebastyan. Wysunął rękę jeszcze wyżéj do góry.

— Zaczekaj pan—odrzekł—niech pierwéj opowiem, jak było!

— Dobrze, dobrze, opowiadaj i daj!—wołał drżący cały z radości pan Protazy.

— Przecież sam pan zawsze powiada, abym dwóch rzeczy nigdy na raz nie robił! Pierwéj opowiem!

Pan Protazy wyciągał obie ręce do uwięzionego specyału, jak dziecko, któremu piastunka z dala cacko pokazuje...

— Czatowałem w ciemnym korytarzu... Anusia kręciła się tam i nazad, jakby na kogoś czekała... Do tego pana, co to owéj nocy kazał związać...

— Mów daléj... mów prędzéj!

— Do tego pana przychodziła i wychodziła różna młodzież.. Mówili z sobą po cichu... całowali się i ściskali, jakby się na długi czas rozjeżdżali... Sam pan wygląda, jakby nie spał w nocy... ma oczy i policzki czerwone...

— Cóż daléj? Cóż daléj?—wołał pan Protazy, robiąc rękami ruch, jakby chciał pięść Sebastyana ułowić.

— Długo za kominem stałem... w tém przyszła Anusia zakaszlała na korytarzu... z pokoju wyszedł ktoś, kogo obaczyć nie mogłem... wcisnął coś do ręki Anusi.. i powiedział po cichu: Oddaj to pani dyrektorowéj!

— Pokaż! Pokaż!—krzyczał, podskakując pan Protazy.

— Otóż wtedy myślę sobie, co tu zrobić. Czy wziąć za kark Anusię i trochę krtań jéj przydusić, a potém z ręki wydrzéć to, co tam trzymała... czy nastraszyć ją tylko otworzonym nożem... czy wreszcie powiedziéć spokojnie, że za te kartkę mój pan dobrze zapłaci...

— Głupcze!.. Cożeś zrobił?

— Otóż właśnie, że nic niezrobiłem! Zanim się namyśliłem, Anusia w ciemności spostrzegła mnie... przestraszyła się... krzyknęła... i kartka wypadła jéj z ręki!

— Daj prędko! Daj!

— Jeszcze nie skończyłem. Porwałem kartkę... pobiegłem ciemnym korytarzem na strych... ztamtąd drugiemi schodami...

— Dawaj... Dawaj!

Sebastyan chciał jeszcze daléj opowiadanie ciągnąć, ale ręka zemdlała mu. Spuścił ją trochę na dół, a tego tylko było potrzeba panu Protazemu. Chwycił ją, ścisnął kościstemi palcami... a z ręki wypadł mały zwitek papieru...

Pobiegł z tym zwitkiem do okna... Na zwitku dosyć nieczytelném pismem było napisane:

„Jutro... o wschodzie słońca... pod spalonym browarem.“ Pan Protazy czytał i czytał. Przecierał oczy i znowu czytał. Na jego żółtéj twarzy grały teraz tęczowe barwy.

— Schadzka jest—pomyślał sobie — schadzka bez wątpienia... ale cóż tam u kata tak rano?... Schadzki miłosne bywają zazwyczaj przy księżycu, jeżeli ciepło na dworze, ale o wschodzie słońca... na to trzeba szczególnego amatora!...

I znowu czytał i patrzał pod światło, czy na papierze nie ma jeszcze jakich tajemniczych wodnych znaków...

Zwrócił się do stojącego przy drzwiach Sebastyana.

— Masz tu na piwo—rzekł do niego, wciskając mu do ręki pieniądz miedziany—tylko pamiętaj, abyś nikomu o tém nic nie mówił!

Sebastyan przyrzekł, ale nie odchodził.

— Teraz idź do swojéj roboty!

Sebastyan poskrobał się w głowę.

— Czemu nie idziesz?

— Proszę pana—ozwał się powiernik stary—ja się czegoś obawiam! Obawiam się, aby tak nie było, jak wtedy... kiedym to te karteczki do pani mecenasowéj nosił... I pana poturbowano i mnie się dobrze dostało!...

— Idź, idź... nie bój się!—odparł z chmurką na czole pan Protazy...

— Możeby lepiéj było tę kartkę tam położyć, gdzie była, albo zanieść do pani dyrektorowéj!,..

— Idź, idź; potém powiem ci, co zrobisz.

Z niedobrém przeczuciem zamknął Sebastyan drzwi za sobą.

Tymczasem usiadł pan Protazy na fotelu i zagwizdał sobie wesołą aryjkę. Po chwili rozpoczął monolog.

— Otoż powiadają ludzie, że tylko małżeństwo szczęście przynosi! Piękne mi szczęście! Smutno wprawdzie tak samemu na starość siedzieć, ale lepiéj, niżeli wcześniéj na śmierć się zagryść!.. Ha ha, ha! kobiéty zawsze te same!... A co? Czy nie powiedziałem temu szczęśliwemu, dobrze utuczonemu człowiekowi: Przyjdzie czas, że schudniesz i będziesz chudszym ode mnie!

Tu obejrzał pan Protazy chude pożółkłe ręce swoje.

— Oj kobiéty, kobiéty! One zawsze jednakie... pamiętam.

Machnął ręką.

— Nie warto tego wszystkiego odgrzebywać! Ot głupstwo wszystko i kwita! Życie głupie, świat głupi — a najgłupszym człowiek, że się wałęsa po tym świecie!...

Zachmurzona na chwilę twarz jego, rozpromieniła się.

— Ale poczekaj, ty szczęśliwy człowieku, o którym mówiono, że mu tylko ptasiego mleka potrzeba było... poczekaj ty, który z litością patrzałeś na osamotnionego emeryta, gdy tenże o swoich pustych czterech ścianach mówił!... Będziesz ty także tańcował, gdy się dowiesz... a ta kochana, stała Elżusia! Wszak nic nie było nad ten ideał drogi... kazałeś nam admirować ten dla nas zakazany owoc, a uśmiech twój mówił: Patrzcie, jaki ja szczęśliwy, wy nędznicy!... A teraz dowiesz się, że ten twój skarb, ten ideał nawet o wschodzie słońca... dyabełby nie wymyślał, co kobiéta wymyśli!... o wschodzie słońca!... Wtedy, gdy dyrektor śpi w najlepsze!... Dowiedz się więc, mości dyrektorze... tak, tak dowiedzieć się musisz... bo przecież taka rzecz nie może pozostać w ukryciu... nie może naigrawać się... tak, tak... musisz o tém wiedzieć!...

I skurczone palce pana Protazego posunęły się do pióra.

Postać jego miała w téj chwili coś bohaterskiego. Twarz zapadła wypełniła się, oczy ożywiły się jasnym płomieniem, a nawet zgarbiony grzbiet wyprostował się...

Pan Protazy był teraz w kulminacyjnym punkcie swego szczęścia!...

Miał pisać... *anonim*!

Cóż to za rozkosz pisać anonim! To tak samo, jak skryć się za płot i z bijącém sercem czekać na zwierza!..

Oto patrzcie! Biedny szarak idzie powoli, obskubując listki trawy! Ani mu w głowie, że to ostatnia w życiu jego potrawa!... Smakuje mu, bo głodny, bo od dwóch dni nic nie jadł. Był w ustawicznéj trwodze w lesie, bo liście już z drzew opadają i szeleszczą! A szelest to złowrogi, bo któż zgadnie dlaczego szeleszczą? Może strzelec podchodzi, może drapieżny zwierz skrada się... trzeba wyjść z lasu na pole! I wyszedł biedny szarak na pole i podziękował Bogu, że nic w koło siebie nie ujrzał, coby trwożyć mogło!.. Nad nim błękitne niebo... tam połyskuje krynica... za nią zagrody ludzkie ciche i spokojne... cóż mu się tu stać może?... I schyla się biedny szarak po trawki i zaczyna skubać i żuć!.. a trawka taka smaczna, tak świeża... niech Bóg będzie pochwalony za tak smaczne śniadanie!... W tém zpoza płotu coś błyśnie... szarak z trawką w pysku zatoczy się... i „farba“ bryźnie na ziemię!.....

Czyż to nie rozkosz być takim myśliwym?...

Pan Protazy przypomniał sobie, że takich rozkoszy nie raz sobie w życiu pozwalał. Jakoś to słodko draźni człowieka, jeżeli drugiemu coś objawi, co tamtego w rozpacz wprawia!... Przecież są rzeczy, których zamilczać nie można, gdy się wie o nich! Powiedziéć otwarcie nie można! Ale tak... anonim... i potém patrzyć z boku na spektakl!...

Przypomniał sobie, jak raz przez zasłużoną zemstę tak długo szpiegował, aż coś obaczył i potém... anonim... ach jakaż to rozkosz była dla niego patrzéć, co się w tym domu działo! Naturalnie kobiéta zasłużyła na to, a mąż... mąż także zasłużył, bo dlaczego był taki głupi!...

Takie to wspomnienia rozgrzewały teraz zastygłą krew starego mizantropa i krasiły twarz jego młodzieńczym rumieńcem. Oddychał swobodnie i głęboko, jak za młodych lat swoich, a oczy jego uśmiechały się rozkosznie do obrazów, jakie przed nim majaczyły w powietrzu...

I odciął z jakiegoś starego listu kawałek papieru... drżącą ręką i odwróconém piórem napisał kilka wierszy... przeczytał raz, drugi i trzeci... uśmiechnął się z zadowoleniem... włożył do białéj koperty... zaadresował... i zamknął do biurka.

Po chwili zawołał na Sebastyana i kazał sobie podać rzeczy do ubrania.

— A gdzie jest moja stara bunda z kapiszonem?—zapytał służącego.

— Ta zielona?... Nie wiedzieć, czy się nie rozleciała na strychu! Może ją myszy zjadły! Wszak to już dziesięć lat temu jak w ostatniéj podróży...

— Trzeba, żebyś mi ją przygotował na dzisiaj... może wieczorem wyjdę... a z téj mgły zapewnie deszcz lunie!

Sebastyan z jakimś niedobrém przeczuciem poskrobał się w głowę.

XXXIV.

Późnym wieczorem wracał dyrektor do domu. Miał naradę ze swymi kolegami, tyczącą się egzaminów. Jakkolwiek pogadanki takie były dla niego teraz bardzo przyjemne, bo jakoś odrywały go od różnych trosk i obaw domowych. które coraz więcéj głowę jego zaprzątać zaczęły, dzisiejsza jednak narada wcale mu tego skutku nie przyniosła! Przedmiot rozmowy był dosyć ważny, nawet mimochodem jeden z profesorów potrącił bardzo drażliwą dla niego kwestyą o przymiotnikach imiesłowowych, ale dyrektor nie słuchał tego. Patrzał gdzieś przed siebie i bawił się pieczątką od łańcuszka zegarkowego, czego dawniéj nigdy nie zrobił.

I miał do tego słuszne powody. Elżbieta była i dzisiaj, jak od niejakiego czasu, bardzo małomówną. Na zapytania odpowiadała mu nie słowami ale pojedyńczemi zgłoskami. Ani system indukcyjny, w którym dyrektor był mistrzem, ani dedukcyjny, nic tu nie pomógł. Elżbieta była widocznie czémś zajęta, jakaś gorączka paliła ją widocznie. Spostrzegł, że przy obiedzie nawet leguminy nie jadła, którą bardzo lubiła... Do tego jeszcze zeszłéj nocy, gdy spać nie mógł i gdy tak na chybił-trafił zbliżył się do okna..... obaczył w świetle księżyca młodego człowieka z naprzeciwka!.. Otworzył on okno i mimo chłodu stał w koszuli, z otwartemi piersiami, jakby się chłodził!... Twarz jego była mocno blada... księżyc zrobił ją jeszcze bledszą... Patrzał przed siebie tak jakby w okno Elżbiety... potém wzniósł oczy do nieba, tam do gwiazd... a w tych oczach było coś tak dziwnego... takie jakieś szczęście zmieszane z boleścią malowało się w tych oczach, że w téj chwili był podobny do św. Sebastyana, przebitego strzałami a marzącego o rozkoszach nieba!...

— Tak przecież zwykli ludzie nie patrzą na niebo! myślał za firankami ukryty dyrektor—przecież tam na niebie nie ma nic takiego, coby człowieka o północy z łóżka wyciągało i przy niskiéj dosyć temperaturze kazało się zachwycać!... To inny niepokój trapi go... to myśl występna nurtuje w jego głowie... to rozkosz zbrodniarza, gdy o zbrodni swojéj marzy... Tak, pan Protazy ma słuszność... kobiety... niepotrzebnie ożeniłem się po raz drugi... byłem głupim egoistą...

I w świetle księżyca zaświeciło się coś w oczach poczciwego dyrektora... Odszedł smutny, niepocieszony, przybity.

Przez cały dzień była Elżbieta dziwną, nierozwiązaną zagadką. Dawniéj taka dobra i czuła, dziś pali ją jakaś ukryta gorączka. Niecierpliwi się na chłopców, gniewa się na służących, mężowi prawie nic nie odpowiada. Wychodzi raz-po-raz z domu i nie powiada, gdzie i dokąd? Jest roztargnioną i zapomina to chustki, to rękawiczek a nawet i kapelusza!

Biednemu dyrektorowi cały świat w kółko się kręci. Coś się święci... ma jakieś straszne przeczucie.., ale boi się nazwać je jakiém słowem. Zamyka oczy i nie chce patrzyć na obrazy, jakie mimowoli tworzą się w jego wyobraźni! Mimo to widzi je, musi na nie patrzéć, bo one są przed powiekami, są w środku mózgu!...

Nawet pogadanka z kolegami, nawet poruszenie tak ważnéj dla niego kwestyi przymiotników, nie mogło rozproszyć tych złowrogich obrazów!... Śpieszy się do domu i sam nie wie dlaczego? Zdaje mu się, że na widok Elżbiéty prysną te mary, że rozmawiając z nią, może przekona się o niepotrzebnych umartwieniach, które rozdzierają mu serce, jak rozdziera sęp pochwyconą zdobycz swoję!...

Zresztą jest to pora herbaty. Przy smacznéj herbacie—a nalana ręką Elżbiety herbata jest zawsze smaczna, zapomina jakoś człowiek o tém, co go wewnątrz gryzie, i uspakaja się choćby na chwil kilka!... Właśnie dzisiaj rano kupił świeżéj herbaty... droższéj niżeli zwykle... aromat wyborny...

Z pewną gorączką śpieszy do domu... już tak blisko... kilka domów jeszcze... otóż i brama... i schody...

Dyrektor wpadł zadyszany do pokoju.

— Jest pani?—zapytał służącego.

Służący wydał mu się zakłopotany... przecierał oczy.

— Czemu nie odpowiadasz?—krzyknął z niecierpliwością.

— Czy pan się o co pytał?—odzywa się zaspany służący.

— Czy jest pani!—woła głosem rozstrojonym.

— Pani...—odpowiada, ziewając służący—pani... pani wyszła! przed godziną wyszła!

— Wyszła!—ryknął zacny mąż, jak lew zbudzony—gdzie wyszła? Gdzie wyszła?

— Pani nigdy nie mówi, gdzie idzie!... Zostawiła dla pana list na biurku.

— List na biórku!—powtórzył dyrektor głosem podobnym do warknięcia cięciwy, gdy łuk się złamie...

I stanęły mu nagle przed oczy wszystkie mary, które się wiążą do takiego zostawianego na biurku listu żony!...

Najprzód stanął mu przed oczyma biedny oficyał od zarządu kolei żelaznéj, któremu żona także na biurku zostawiła list pożegnalny, wybierając się w podróż z nowym przyjacielem!... Potém przy-

pomniał sobie pewną matkę czworga dzieci, która pewnego dnia nie tylko tę drogą dla siebie czwórkę, ale w dodatku i list jeszcze zostawiła mężowi, opuszczając go na czas dłuższy, nieokreślony!... Wprawdzie czas ten skrócił się znacznie, bo nowy kochającéj kobiéty ideał za zbyt małą cenę spieniężył wzięte precyoza wyprawne, ale mimo to boleść prawowitego małżonka była wielka, a skandal jeszcze większy!..

Prócz tego stanęły mu, jakby na złość, przed oczy wszystkie straszydła z komedyj francuzkich, na które niebaczny z Elżbietą uczęszczał! Przypomniał sobie, że już wtedy, gdy jeszcze jasne niebo nad nim świeciło, gniewał się w duchu na autorów, którzy tak smutne rzeczy komedyą nazywają, gdzie przecież są wszelkie cechy najistotniejszéj i najprawdziwszéj tragedyi!...

Nogi plątały mu się, gdy szedł do biurka...

Na biurku ujrzał dwa listy.

— A drugi list od kogo?—zapytał miękkim głosem.

— Przyniósł jakiś nieznany posłaniec!—była odpowiedź.

Dyrektor chwycił list żony.

Rozdarł kopertę.

„Mój mężu,—pisała Elżbieta—Eufemia jest chorą... ma gorączkę... zostanę przy niéj całą noc. Gdybym jutro rano nie mogła wcześnie wrócić, zostawiłam Anusi klucze i rozkazy.“

Na papierze nic a nic więcéj nie było!

Dyrektor był blady, mocno blady. List ten nosił wszelkie cechy ostatniego pożegnania. Taki sam list dostał oficyał—takim samym listem pożegnała owa matka czworga dzieci dozgonnego swego towarzysza!...

Dyrektor miał wielką ochotę zapłakać i to głośno zapłakać, jak płaczą dzieci... zrozpaczeni, ale wzgląd na domowych i własne swoje stanowisko powstrzymało go od takiego naturalnego objawu swojé boleści. Zagryzł usta i zaparł oddech w piersi, w któréj coś piekło straszliwie!..

Wziął drugi list do ręki.

Charakter wcale nieznany, litery nierówne, odwrócone. Rozdarł kopertę...

Czytał... czytał... i długo czytał!

Twarz jego, jako téż i cała postać przechodziła szczególne przeobrażenia. Najprzód zmartwiał i wyglądał jak posąg z kamienia. Zdawało się, że nos, oczy i całe ciało zamieniło się w piaskowiec... Po chwili zaczął się piaskowiec ożywiać. Podniósł rękę do czoła, jakby chciał się przekonać, co tam w głowie się dzieje...

A działy się tam dziwne rzeczy. Najprzód walczyły dwa prądy, z których jeden był ciepły, drugi jak lód zimny...

— Tak—mówił prąd zimny—przyszło do katastrofy!.... Przy spalonym browarze... o wschodzie słońca... ona już dla mnie stracona!...

— Tak jest—szeptał prąd cieplejszy, ale czyż nie lepiéj, że dopiéro katastrofa nadchodzi, niżeli żeby już była odjechała?... Tak będę jeszcze widział ich oboje... jeszcze będę mógł... jeszcze teraz mogę iść do Eufemii... mogę przekonać... a jeżeli nie, to... przy spalonym browarze... o wschodzie słońca... mogę... tak... mogę...

I oczy zacnego męża błysnęły niezwykłą energią. Jedna ręka jego suwała się po guzikach kamizelki, jak by tam szukała puginału... druga zeszła poniżéj, jakby się chciała oprzéć o rękojeść szabli...

I była chwila, w któréj nieszczęśliwy człowiek wahał się... między puginałem a szablą .. Serce biło mu w téj chwili tak głośno, że mógł je na własne uszy słyszéć... a w oczach tak nagle mu pociemniało, jakby nie był w swoim pokoju, ale na ulicy śród nocy podczas pełni, kiedy latarni zazwyczaj nie zapalają, licząc na punktualność księżyca...

Wreszcie rozwidniło się trochę.

— Pisze, że poszła do Eufemii,—mówił do siebie,—i że tam zabawi przez całą noc... Mogę tam iść a zastawszy ją, mogę przekonacie, nawrócić .. choćby na to tylko, aby nie było żadnego skandalu!... Mam czasu dosyć przed sobą... dopiéro przed wschodem słońca... tam do kata! Nigdy jeszcze nie czytałem, aby o wschodzie słońca... Ha—zapewnie o wschodzie słońca puszczą się w drogę oboje...

I znowu chciał zapłakać... a nawet już go za krtań ścisnęło, ale silną wolą powstrzymał się.

— Pójdę—mówił po chwili do siebie,—i wszystkiemu temu przeszkodzę... pójdę do Eufemii... ale na cóż to zda się?... Gdy przyjdę, wyprze się wszystkiego, jak zwykle—powie, że mi się w głowie przewróciło i... pójdzie do domu. Przegram tylko sprawę... wstydzić się będę... a sama sprawa tylko się tém odwlecze! I znowu się będę trapił marami, które są gorsze od samego nieszczęścia... i znowu nie będę spał po nocach... nie będę jadł obiadu... a tymczasem dojdzie kartka, lecz ostrzegacza... ona wyjdzie po cichu i .. przepadnie! Co ma wisiéć, nie utonie!...

Rzucił się na fotel i zakrył twarz rękami.

— Nie... nie. Dłużéj w takiém położeniu zostać nie mogę. Trzeba, żeby się raz skończyło! Tak lub owak!... Trzeba czekać tego

wschodu słońca... trzeba o wschodzie słońca być w owym spalonym browarze... i tam na własne oczy przekonać się... tak przekonać się i...

Po chwili odsłonił twarz, opuścił ręce i myślał daléj:

— A jeżeli ta kartka, bezimiennie do mnie napisana, jest tylko prostym żartem?... Jeżeli Elżbieta w saméj rzeczy przy choréj Eufemii postanowiła...

Zerwał się na nogi i uderzył ręką w czoło.

— Mój Boże!—mówił do siebie,—co ja mówię, co ja myślę, co mi się snuje po głowie! Jaki zły duch dmucha mi ciągle do ucha? Może Elżbieta najlepsza...

Coś skrzypnęło w téj chwili.

— Kto tam?—zawołał nieszczęśliwy bohater.

Ozwała się służąca Anusia.

— Czego chcesz?—pytał daléj dyrektor.

— Chce się zapytać o herbatę...

— Daj mi pokój z herbatą!... Gdzie pani?

— Mówiła, że poszła do panny Eufemii.

— Czy panna Eufemia chora mocno?

— Zapewne że chora, bo pani kazała mi rano przed świtem jeszcze zamówić dorożkę...

Dyrektor poskoczył do Anusi i chwycił ją za rękaw.

— Co mówisz!... To nieprawda!.. Nacoby potrzeba było pani dorożki tak rano?...

— Zapewne... po doktora... gdyby pannie było gorzéj!

— Po doktora! Po doktora!—wołał dyrektor płaczliwym głosem, biegając po pokoju—prawda, po doktora!

— Jakże proszę pana z herbatą...

— Idź... idź i daj mi pokój! Wszyscy idźcie... wszyscy odejdźcie ode mnie... niechaj zostanę sam jak palec... jak samotna palma na piaskach pustyni!... Idźcie, idźcie wszyscy!...

I odwrócił się szybko do okna. Służąca odeszła. W ostatnich dniach często słyszała od dyrektora takie słowa zagadkowe.

Po wyjściu służącéj odetchnął dyrektor z całych piersi. Teraz już nie było żadnéj wątpliwości. Dorożka zamówiona—o wschodzie słońca opuści go Elżbieta, a on zostanie sam, zostanie na pośmiewisko ludzi! Wszyscy będą mówili o nim, naturalnie będą źle mówili... a o awansie ani myślić.

Cóż teraz robić? Jak radzić sobie?

Czy iść i nad brzegiem przepaści zatrzymać nieszczęśliwą kobiétę?... Ale to nic nie pomoże. Zaprzeczy wszystkiemu i odłoży tylko swoję wycieczkę do krajów nieznanych!... Nie—tego zrobić nie mo-

żna! Trzeba przedewszystkiém faktu... trzeba ją schwytać właśnie w chwili, w któréj już wypierać się nie będzie mogła! Wtedy... cóż wtedy?

Na to pytanie nie odpowiedział jeszcze sobie dyrektor. Był tylko pewny co do pierwszego—to jest czekać wschodu słońca.

Drugie pytanie było trudne. Odpowiedź na to pytanie szarzała dopiéro w głowie, jak szarzeją o zmierzchu bardzo oddalone przedmioty... Nic nie można było obaczyć, niczego nie można było po nazwisku nazwać. Były to dopiéro jakieś zapędy i popędy... ale postanowienia, ale jasnéj myśli jeszcze nie było!...

Coś go pociągnęło do biurka... coś mu kazało otworzyć szkatułkę, która w trzeciéj szufladzie spokojnie stała!

Otworzył szufladę. Obaczył podłużną w czerwony safian oprawną szkatułkę. Gruba warstwa pyłu pokryła ją. Od dawna, od bardzo dawna nikt jéj nie ruszał, nikt się jéj nie dotknął!...

Dyrektor westchnął. Dzika jakaś myśl zamigotała w jego oczach... sięgnął po szkatułkę.

Długo trzymał ją w ręku. Ręka jego drżała widocznie... bo w téj chwili spoczywały w niéj... losy dwojga ludzi!... Dwojga? Dlaczego tylko dwojga?... Może trojga!...

Pocisnął sprężynę... wieko odleciało jakby siła niewidoma zerwała je... a oczom jego przedstawił się straszny widok!...

Błysnęła jasna, polerowana stal!...

Było to małe ale straszne narzędzie śmierci!...

Rewolwer!

Dyrektor spojrzał na niego wilgotném okiem. Cacko było to w swoim rodzaju, arcydzieło sztuki rusznikarskiéj. Złocone arabeski kręciły się po całéj stali, a między niemi ryte były różne zwierzęta. Była także i cyfra jego w kunsztownym monogramie.

Dziwna ironia losu! Piękne to cacko, ale zarazem mordercze narzędzie, kupiła mu Elżbieta jako podarunek na jego imieniny w pierwszym roku po ślubie!...

W jakimże związku był ten podarunek z najbliższą przyszłością? Jakież tajemne mocy kierowały wtedy tym wyborem podarku? Miałażby to być nieubłagana ręka Nemezy?...

Dyrektor wyjął rewolwer. Spróbował zamków... wszystko było w porządku. Matematycznie obliczona maszyna działała z matematyczną dokładnością!... Pomyślał sobie:

— Czyż i życie ludzkie nie jest niczém inném, jak tylko podobną matematycznie obliczoną maszyną?... Czyż w obliczeniu tém przewidziany był już naprzód ten wypadek, który go właśnie teraz

spotyka?... Czyż już ów podarek imieninowy był w związku z dzisiejszym wypadkiem?... W takim razie, czemże jest człowiek i losy jego życia na ziemi?...

Nieszczęśliwy człowiek był już na drodze pochyłéj do dzisiejszéj tak zwanéj filozofii rozpaczy!... Dziwna predestynacya... naprzód obliczony bieg życia człowieka... starożytnych fatum... wszystko to zaczęło teraz biegać po głowie zacnego pedagoga, czyniąc nie małe spustoszenie pomiędzy ulubionemi jego przymiotnikami pochodzącemi od imiesłowów!...

Ale ocknęła się w nim jakaś lepsza istota.

— Jakto?—zawołał głośno — jeżeli człowiek ma być rzeczywiście obliczoną tylko matematycznie maszyną... jeżeli zawyrokowano już naprzód o jego wypadkach, losach i przejściach życiowych... jeżeli tym sposobem zrobiono z niego tylko mechanicznie poruszającą się figurkę za pomocą sprężyn w niewidoméj spoczywających ręce... czyż ta maszynka, czyż ten człowiek nie może własną wolą swoją dowieść, że nie chce być, że nie jest ową maszynką... że jest istotą od siebie tylko zawisłą, istotą wyższą ponad wszelkie instynkta zwierzęce?...

...Pod naciskiem wrogiego przeznaczenia, aby z ręki mojéj zginąć, kupiła Elżbieta to narzędzie mordercze i w najtkliwszéj chwili mego życia do ręki mi go dała... Mamże teraz być niewolném drugiém narzędziem tego przeznaczenia?...

...Nie—nigdy! Właśnie wolną moją wolą zaprotestuję przeciw takiemu systemowi filozofii... i nie będąc narzędziem, nie użyję tego narzędzia!

I schował rewolwer do pudełka i zamknął go starannie w szufladzie.

Lżéj zrobiło mu się na sercu. Ocalił w sobie człowieka z wolną wolą. Zadał kłam apostołom fatalizmu i — nie popełni morderstwa!

Zresztą na co zda się morderstwo? Czemże jest śmierć dla takiéj kobiéty? Właśnie potrzeba jéj życia, aby się przekonała, że źle zrobiła—aby za to pokutowała srodze, jak pokutują wszystkie podobne kobiéty!!..

A on?

Prawda... on winien i zasłużył. Ale wprzódy trzeba rzecz jasno widzić, trzeba w położeniu całém się rozpatrzyć, trzeba karę stosowną wybrać...

Przedewszystkiém trzeba czekać wschodu słońca i być wtedy w spalonym browarze. Trzeba widziéć na własne oczy, trzeba się przekonać, aby nikomu krzywdy nie zrobić.

Tak zakończył zacny dyrektor długi swój monolog i zaczął chodzić po pokoju, aby sobie jakoś czas skrócić a wschodu słońca nie zaspać!

Pomocnym był mu w tym względzie własny jego nieprzyjaciel. Ile razy dyrektor w przechadzkach swoich zbliżył się do okna, widział go w pokoju przeciwległéj kamienicy, jak się także gotował do wyprawy o wschodzie słońca. Drażniło to dyrektora i siły jego fizyczne utrzymywało w nieprzerwanéj funkcyi, jakie zazwyczaj do czuwania są potrzebne.

Zachowanie się Teodora mogło rzeczywiście dyrektorowi dać wiele do myślenia. Był on w swoim pokoju i robił porządki jakby do wyjazdu... W roztargnieniu zapewne zapomniał okna zasłonić, bo myśl jego była już czém inném zajęta!

Siedział najprzód długo z głową opartą na rękach. Zdawało się, że nad czémś myśli, że myślą mierzy najbliższą przyszłość swoję, która jest ciemną chmurą zakryta...

Widoczny niepokój miota nim. Zmienia miejsca i nigdzie nie jest mu dobrze. Coś się pali w nim i pod nim, jak rozrzażone węgle!... Biedny człowiek! Szatan miota nim!...

Na chwilę uspakaja się. Bierze pióro do ręki i pisze. Zapewnie żegna swoich znajomych... zapewnie porządkuje interesa swoje!... Przecież każdy człowiek przed wyjazdem porządkuje swoje interesa!.. Zbiera papiery jakieś... otwiera listy... czyta...

Tu poczuł dyrektor szybsze bicie serca... to może listy od Elżbiety... a spadające już na źrenice powieki, otworzyły się znowu szeroko.

Czytanie listów trwało dosyć długo. Zdawało się, że kilka razy przy czytaniu do oczu sięgał... potém związał je starannie i opieczętował.

— Jak mądrą jest Nemeza złego! — pomyślał sobie dyrektor— mógł listy spalić! Po cóż wozić je z sobą! Ale zostawia je opieczętowane, aby był dowód...

I zgrzytnął zębami i zaczął chodzić po pokoju.

Po chwili stanął znowu przy oknie.

Teodor poczynił już wszystkie porządki. Stał na środku pokoju i oglądał się po wszystkich czterech ścianach, jakby je żegnał, jakby szukał tam roskosznych wspomnień swoich, jakiemi karmił się między temi ścianami!...

Drażniło to dyrektora, bo te wspomnienia były zapewne miłe i roskoszne, były niejako jemu wykradzione... jemu z pod serca okrutnie wydarte!...

Widok ten przydał mu znowu sił nowych, tak jak olej dodaje sił gasnącéj lampie!...

Wreszcie skończył Teodor wszystkie przygotowania. Otworzył okno i wyjrzał na świat boży... Podniósł oczy do góry i spojrzał w niebo.

A na niebie właśnie wysunęła się kometa. Zjawiła się dopiéro po północy, jak bachantka, która chce szaléć aż do wschodu słońca!...

Dyrektor nie widział komety i nie mógł wiedziéć, jakie uczucie budziła ona dzisiaj w zawiedzionym w dwojnasób młodym astronomie!

Uczucia te były bardzo bolesne. Pierwsze jéj zjawienie się na horyzoncie—jak dziewicy na balu, rozbudziło w jego sercu tyle marzeń śmiałych, napoiło go pychą, że za nią po tajnikach nieba zdąży, że ją pozna i dowie się, zkąd wyszła i dokąd idzie... i że tym sposobem stanie się sławnym!

Niestety marzenia jego zostały zawiedzione, pycha ukarana! Niczego się nie dowiedział, sławnym niezostał! Zdradliwa syrena niebieska obiecała mu więcéj, niżeli dotrzymać mogła, a dzisiaj odwraca się już od ziemi i pędzi gdzieś, w jakąś dal tajemniczą, dokąd oko ludzkie za nią nie zdąży!...

Zdraliwa, okrutna kochanka!...

I przypomniał sobie drugą kometę, ale już nie na niebie, lecz na ziemi!

I ta wzbudziła w nim tyle marzeń, serce jego napoiła pychą zwycięzcy bez walki... a dzisiaj nie może jéj biegu, tak jak pierwszéj, obliczyć, nie wie zkąd wyszła i dokąd dąży?...

Chce jednak dać jéj dowód, że ją kochał, że gotów jest dla niéj życie swoje stawić na kartę!...

Co daléj?... on nie wié. Może zginie... to zginie z miłością w sercu... a jeżeli żyć będzie, to ona wtedy musi go kochać!... Taka stawka... zmusza do wzajemności!...

O tych uczuciach i rozmyślaniach Teodora nic nie wiedział biedny dyrektor, to téż spoglądając nań zpoza firanki, patrzał groźném okiem, jakiém zazwyczaj patrzy się na nieprzyjaciela swego.

I tak obaj stali długo przy oknach i patrzali, kiedy jutrzenka niebo nocne zarumieni...

Teodor wytrwał—przyszły mu w pomoc młodsze siły, ale dyrektor oparł się o futrynę i zamknął oczy.

I wszystko zamilkło i ucichło. I zdawało się, że cisza i pokój zapanowały na ziemi, że sny złote i rozkoszne upajają duszę człowieka, aby przebudzony miał za czém tęsknić i wzdychać!...

Czémże bowiem jest życie bez tęsknoty i westchnień?...

XXXV.

Jeszcze szaro było, gdy z miasta wychodził człowiek odziany długą burką. Barki miał pochylone, kroki niepewne zdradzały wiek już podeszły. Na głowie miał starą czapkę, jakiéj zazwyczaj w sprawach swoich codziennych używają przedmieszczanie.

Niebo było ciemne jeszcze. Tylko tu i owdzie przedzierała się jaśniejsza gwiazda, a tam na zachodzie widać było mglistą kometę, która zdawała się zapadać w jakąś przepaść bezdenną!...

Wszędzie było głucho i cicho. Jeszcze twarda praca nie zapukała do okna biédnego rzemieślnika, jeszcze pozwoliła mu śnić o bogactwach i dostatkach!

Wszędzie było głucho i cicho. Jeszcze pod zielonym liściem zasypiał ptak szczebiotliwy, jeszcze marzył we śnie, że gdy słońce zejdzie, znajdzie żer obfity i smaczny!... Marzył, że w tym dniu nie ujrzy ani jastrzębia, ani strzelca, ani nawet owéj zdradliwéj klatki z ponętą wewnątrz, do któréj wchodzi się wolnym a wychodzi się na śmierć lub na wieczne więzienie!..

Człowiek wychodzący z miasta marzył także, chociaż nie spał, ale czuwał. Na twarzy jego wyżółkłéj malowało się zadowolenie i pewna ciekawość, z jaką się dąży na dramat, w którym mają wystąpić znani aktorowie! Od czasu do czasu uśmiechał się do owych przyszłych obrazów, jakie już teraz migały mu przed oczyma duszy!...

Szedł szybko i pilnie oglądał się w koło siebie. Kołnierz burki podnosił co chwila do góry, aby zakryć twarz, jakby się lękał duchów niewidzialnych, pędzących z listem gończym za ludźmi...

Domy i domki miasta zostawały już za nim, za to witały go wierzby stare, spróchniałe, w których zazwyczaj przesiadują czarownice podczas nocy miesięcznéj... Straszyły go wierzby, bo miały jakieś dziwne kształty... raz były podobne do człowieka, drugi raz do jakiegoś potworu—a gdy dłuższy czas w nie się wpatrywał, widział w nich wszystko, czego pragnął, lub czego się obawiał...

Dziwna, nieodgadniona wyobraźnia człowieka!

Wreszcie zarysował się w dali na ciemném niebie jakiś czarny olbrzymi potwor. Był podobny do leżącego na ziemi wielbląda. Grzbiet miał wypukły i przełamany, a nogi rozłożył daleko od siebie..

Był to tak zwany spalony browar.

Człowiek owinięty w burkę przyśpieszył kroku..

Wreszcie stanął przed ruiną.

Był to gmach olbrzymi. Ogień zniszczył drzewo, zostały tylko mury, które wyglądały jak wielka kupa kamieni. Olbrzymi komin sterczał do góry, a zdala widziany, wyglądał jak olbrzymia topola!...

Człowiek burką owinięty zbliżył się do progu. Obrócił się, aby się w stronę miasta popatrzyć...

W téj chwili blado-różowy uśmiech jutrzenki musnął po jego zwiędłéj, wyżółkłéj twarzy...

I w téj chwili zapewnie poznał go jakiś duch niewidzialny, pędzący z listem gończym za złymi ludzmi... I położył znak na czole jego, dla postępujących zdala Eumenid ..

A był to zacny pan Protazy!

Uśmiechnął się rozkosznie na widok czarnéj przestrzeni, którą ujrzał teraz przed sobą...

Wszedł powoli i ostrożnie. Postępował przez korytarze i sionki, przełaził przez wysokie progi i przepalone belki i zdążył wreszcie do izdebki, z któréj wychodziły wązkie otwory na pobliską łączkę, otoczoną rozkosznemi krzaczkami brzeziny.

— Tu będzie bezpiecznie i dobrze—rzekł do siebie zacny *anonim*—ztąd wszystko będę widział! Co to będzie! Co to będzie!...

I dreszcz rozkoszy przeszedł po skrzywionym grzbiecie starego malkontenta.

Wybrał kąt najciemniejszy w pustéj izdebce i najmniejszy otwór w ścianie. Na głowę założył kapiszon.

* * *

Równocześnie prawie, ale inną drogą, dążył do tego samego miejsca inny człowiek.

Człowiek ten szedł z pewną powagą, jaka przystoi tym, którzy wyższe stanowiska w społeczeństwie zajmują.

Wprawdzie i na tym człowieku siedziało jakieś licho i gniotło go do ziemi, ale on nie dał się nagiąć, kark niósł prosto i głowę wysoko. W tragicznym jego kroku widać rezygnacyą, widać, że jakkolwiek może w przepaść lada chwila się stoczyć, nie okaże się jednak tchórzem i z otwartemi oczyma spotka się ze śmiercią, jeżeli już tak koniecznie być musi!

Nie miał on w sercu żadnéj zdrady, ani w kieszeni nie miał żadnéj zabójczéj broni. Jeżeli chciał z kryjówki dzisiaj na świat patrzyć, to na to tylko, aby raz miał pewność niezbitą, zamiast tych ustawicznych trosk i obaw, które nie tylko życie człowiekowi zatru-

wają, ale nawet i bliźniego mogą niewinnie skrzywdzić. A jeżeli zamiast broni morderczéj miał w ręku tylko trzcinę hiszpańską z mosiężném okuciem, to nie widział w tém żadnéj złéj intencyi, któraby na jego charakter rzucała jaką skazę. Wszak ta trzcina to dwudziestoletnia towarzyszka jego życia, bywał z nią u przyjaciół i u osób znakomitych. Stała nawet raz w przedpokoju ministra, a lokaj ministeryalny miał dla niéj taką samę estymę, jaką mógłby mieć dla szpady swego pana! Nie lękał się jéj bynajmniéj, a przy odejściu podał mu ją własnoręcznie, nie odniósłszy żadnego szwanku!...

Człowiek z hiszpańską trzciną zbliżył się teraz do mety. Przed nim stał ten sam budynek, w którym przed chwilą ulokował się pan Protazy. Wszedł na próg i obejrzał się tak samo, jak przed chwilą obejrzał się pan Protazy.

I na jego twarzy zaświecił różowy uśmiech jutrzenki i w blasku tego uśmiechu można go było poznać.

Był to poczciwy dyrektor.

Zbliżał się do katastrofy swego życia krokiem pewnym, jak człowiek szlachetny, zbliżał się z rezygnacyą, jaka przystoi ludziom na wyższych szczeblach społecznych.

Wszedł do ciemnéj przestrzeni.

Zaraz za progiem, gdy prócz czarnéj masy powietrza, nic przed sobą nie ujrzał, uchwyciły się poły jego czarne duchy!

Tam pod niebem bożem, na którém jeszcze tu i owdzie jaśniejsze gwiazdy błyszczały, czuł w duszy swojéj pokój i rezygnacyą, czuł nawet odwagę, że zdolny jest z męstwem znieść wszystko, nawet najgorsze rzeczy!... Tutaj, gdy nieba nad sobą nie widział, gdy żadna gwiazdka boża nie patrzała na niego. . uczuł nagle jakąś trwogę, jakby szedł na brzeg przepaści, z któréj ma runąć w otchłań bez dna, bez brzegów!...

Trwoga ta wzmagała się w miarę kroków, które w ciemnocie stawiał, mary jakieś złowrogie latały przed nim i za nim i syczały do niego, jak syczą gadziny jadowite, i śmiały się, jak się śmieje puszczyk na cmentarzu!..

Dyrektor czuł teraz, że się dzieje z nim coś dziwnego. Wszystko to, do czego już się przygotował, zaczęło przybierać jakieś inne, groźniejsze kształty!... Dobre duchy opuściły go!...

Szedł daléj po ciemnych korytarzach i szukał jakiegoś ustronia, gdzieby mógł stanąć swobodniéj i przez jaką szczelinę popatrzyć na świat zły i przewrotny.

Wreszcie zdążył do izdebki, w któréj ujrzał małe otwory wychodzące na łączkę otoczoną zaroślami. Przez łączkę przerzynała się mała dróżyna..

— Ztąd ujrzę wszystko—rzekł w duchu do siebie nieszczęśliwy—tu rozstrzygnie się los mego życia!

I oparł się o mur, jak człowiek czekający wyroku śmierci.

Rzeczywiście był on zupełnie podobny do takiego człowieka. Jak w głowie jego palą się w takich chwilach najrozmaitsze myśli i uczucia, tak też i w głowie dyrektora zakotłowało się teraz jak w garnku, w którym woda kipiéć zaczyna!...

I wszystko co go dotąd dręczyło i katowało, stanęło teraz przed nim. Widział przepaść przed sobą, słyszał głos opinii publicznéj, która nieubłaganie go ścigała... widział znajomych i przyjaciół, oddalających się z dziwnym uśmiechem od niego... wszystko to widział i czuł, ale widział i czuł tak żywo, jakby to wszystko już było rzeczywistością i na jawie się odbywało!...

Wielką uczuł boleść w piersiach, w których tlukło się serce, jakby pęknąć chciało! .. W oczach na przemiany to ciemniało mu, jakby noc czarna przed nim zapadła... to znowu tryskały przed nim jakby światła elektryczne, które go tak oślepiały, że także nic widziéć nie mógł!...

I któż-to sprawcą tego nieszczęścia jego?

Czy kobiéta?... kobiéta jest słaba i już scena z wężem w raju dowodzi, że zbyt wiele męstwa nie ma! Ale on!... on! On zbrodniarz! Ten wąż kusiciel.

I gniew wściekły opanował nagle biedne serce nieszczęśliwego człowieka, gniew, który z każdą chwilą rósł, jak rosną płomienie, gdy suchy materyał znajdą w bliskości!...

I sam nie wiedział, jak się to stało, że hiszpańską trzciną swoją wykonał kilka cięć w powietrzu... ot tak na chybił-trafił, bez żadnego naprzód obmyślonego planu...

Świst trzciny przerzynającéj powietrze podrażnił go i wydał mu się taką przyjemną muzyką, jakiéj w życiu jeszcze nie słyszał!... Machał daléj i zdawało mu się, że tym sposobem czyni folgę sercu swemu... że za każdém machnięciem mniéj czuje boleści...

I stało się w końcu, że jakiś duch niedobry wyręczał go w machaniu, gdy mu już ręka omdlała... bo trzcina świstała ciągle w powietrzu, choć on już nie czuł tego, aby nią machał! ..

A przy tym złowrogim świście coraz dziwniejsze stawały mu przed oczyma obrazy!... Na świecie gdzieś tam dzień wschodził, ale tu w izdebce było jeszcze ciemno, jak w norze, tylko parę białych płatków świeciło się w czarnéj ścianie!... Były to szczeliny, przez które słabo przedzierało się światło dnia...

I widział teraz w téj ciemnéj przezroczy różne bolesne sceny utrapienia swego. . widział sprawcę nieszczęścia swego, jak się jesz-

cze naigrawał z niego .. mrugał oczyma i śmiał się, jak się zazwyczaj śmieje mądry z głupiego!...

Coraz goręcéj robiło się dyrektorowi, krew biła mu do głowy, w oczach błyskały iskry...

A sprawca nieszczęścia jego co raz większe płata mu figle, co raz złośliwiéj śmieje się z niego .. Nie ustępuje mu z przed oczu i ciągle jeszcze zbliża się do niego z tym śmiechem szatańskim, szyderczym...

Dyrektor postąpił krok naprzód, aby go trzciną dostać—w têm nagle zaruszało się coś w ciemnym kącie... i powoli wysunęła się ztamtąd długa postać w długiéj szacie z kapiszonem na głowie!...

Wszystkie gorączkowe widma, które majaczyły po głowie i przed oczyma dyrektora, przybrały teraz kształty rzeczywiste...

— Tak... to on!—zawołał półgłosem dyrektor—to jego postać... ten płaszcz... o znam cię, znam!...

I już sam nie wiedział, jak się to stało, ale trzcina jego natrafiła nagle na jakiś przedmiot miękki, elastyczny, który nie był ani drzewem, ani kamieniem...

Jakaś rozkosz niewysłowiona ogarnęła serce dyrektora..: machał trzciną coraz mocniéj i zatapiał ją w elastycznym przedmiocie, który teraz śród ciemności podobny był do bezkształtnéj masy leżącéj na ziemi. Z masy téj wydobywał się głuchy, przytłumiony jęk, ale coby ten jęk oznaczał, nie można było zrozumiéć. Kilka razy posuwała się ta czarna masa po ziemi, jakby uciekać chciała, ale zapalony bohater zachodził drogę i bił w nią trzciną hiszpańską, jakby groch młócił!...

I co raz słodziéj robiło mu się koło serca i miał to słodkie przekonanie, że ręka jego wraz z trzciną, jako narzędzie sprawiedliwości, ciąży teraz na śmiałku, który się targnął na jego szczęście domowe, odmawiając mu dozgonną towarzyszkę życia!...

. . . .

W tej chwili padły tuż za ścianą dwa strzały...

Dyrektor nagle przyszedł do przytomności. Nie wiedział, gdzie jest i co się z nim dzieje...

Odwrócił się, aby szukać wyjścia z tej ciemnicy na świat boży...

A za nim podniosła się czarna masa i powlokła się w najciemniejszy kąt pustkowia, jakby się lękała światła bożego...

. . . .

. . . .

Po długiém błądzeniu, dostał się wreszcie dyrektor na świeże powietrze. Słońce już zeszło na niebie, a tam ku zachodowi na

krawędzi widnokręgu zapadała właśnie złowroga kometa w tajemniczą otchłań!... Już zakryła twarz swoję ognistą i tylko jasny ogon jej szaty widny był jeszcze na ciemnym błękicie nieba...

Zimne powietrze owiało gorącą skroń dyrektora. Zdawało mu się, że nagle jakieś brzydkie masy odlatują od niego, jak odlatują nietoperze do nor swoich, gdy blask jutrzenki zaświeci!...

Dyrektor wyszedł na ścieżkę i szedł nią popod ruderą, gdy nagle na samym rogu uderzył go dziwny, niezrozumiały widok!...

Na murawie opodal leżał jakiś człowiek bez życia. Z głowy jego buchała krew...

Przy nim klęczało kilku ludzi, jakby chcieli krew płynącą tamować...

Dyrektor poznał... Teodora.

Teraz już do szczętu pomieszało mu się w głowie. Co się to stało? Dlaczego młody człowiek zabity? Kto był ową czarną masą w owéj ciemnicy?...

I wszystko zatoczyło mu się przed oczyma... zachwiał się... i upadł!

. . . .

. . . .

Od rogatki miejskiéj wyciągniętym kłusem nadjechał właśnie powóz zamknięty.

W powozie siedziały dwie kobiéty i z pewną trwogą patrzały przez szyby.

Jedna z nich była poważna matrona, druga młodsza znacznie z sympatyczną twarzyczką.

Starsza kobiéta spuściła nagle szybę i zawołała:

— Patrz pani patrz! Wszak to mąż pani ..

Elżbieta wyjrzała i krzyknęła.

— Ach!—zawołała wyskakując z powozu—to on poczciwy óbawiał się o mnie... a sam nie miał sił patrzyć się...

I pobiegła szybko do męża...

XXXVI.

Tego samego wieczora leżał dyrektor na łóżku w swoim pokoju z obwiązaną głową.

Przy nim na niskim taborecie siedziała Elżbieta i od czasu do czasu kładła mu na głowę chustę zmoczoną w zimnéj wodzie.

Dyrektor, mimo wszelkich pozorów jakiejś choroby, miał twarz uśmiechniętą a nawet rozpromienioną. W oczach palilo się widoczne zadowolenie.

Za każdém przyłożeniem zimnéj wody, brał rączkę białą, która tego balsamu mu udzielała, przykładał do ust i serdecznie całował.

— Proszę cię Elżuniu—mówił z słodkim uśmiechem—któżby się był tego wszystkiego spodziewał!... Przyznam ci się, że ja przez kilka tygodni...

Elżbieta figlarnie położyła mu palec na ustach.

— Nie przyznawaj się nawet do tego—rzekła ze słodyczą—że coś podobnego mogłeś pomyśléć! Niechaj to będzie wieczną tajemnicą między nami!...

Dyrektor ucałował paluszek.

— Ależ moja droga — mówił po chwili — jak to się dziwnie wszystko powiązało! Nawet przez głowę nie byłoby mi przeszło... Cóż Eufemia?

— Eufemia biédna ma gorączkę niedobrą, ale lekarz obiecuje, że przeminie...

— Przecież nigdy z nim nie mówiła i tak sobie teraz do głowy wzięła...

— Mówiłyśmy z sobą bardzo często o nim—a w końcu zdawało się nam, że go znamy!.. Eufemia była zawsze skłonna do egzaltacyi...

— A jakże z nim?

— Bardzo źle. Kula nadwyrężyła czaszkę i uszkodziła mózg!...

— Biédny!... Zaraz jutro pójdę do szpitala... Trzeba żebyś ty także poszła... pójdziemy oboje!

— Dzisiaj wyręcza mnie nasza prezesowa.

— Poczciwa, zacna kobiéta!...

Twarz dyrektora nagle posmutniała.

— Ale jak mi żal tego biédnego człowieka—ozwał się smutno—którego w téj przeklętéj ciemnicy tak sromotnie obiłem!..

— Jakżeś mógł nieznanego, niewinnego...

— Daj pokój, serce... w napadzie szału, byłem pewny, że biję...

Elżbieta znowu przyłożyła mu rączkę do ust.

— Już ani słowa o tém!

— Dobrze, dobrze moja koteczko... ale chodzi mi o niewinnego człowieka, który pewnie ruski miesiąc popamięta!...

— Cóż robić?

— Właśnie nad tem myślę. Podam inserat do gazety, że... przypadkiem wyrządziłem w spalonym browarze krzywdę nieznajomemu, który ma się do mnie zgłosić po wynagrodzenie... A gdyby do tygodnia nikt się nie zgłosił, to złożę w kasie oszczędności sto reńskich

z warunkiem, aby aż do zgłoszenia się owego poszkodowanego, procenta od tejże kwoty szły na cele dobroczynne...

— Poczciwy jesteś — ozwała się Elżbieta i pocałowała męża w czoło.

Po niejakiéj chwili mówił znowu dyrektor do żony:

— Wierzaj mi koteczko, że do tych moich głupich umartwień w niemałéj części przyczynił się pan Protazy. To człowiek bywały, widział i doświadczał sam wiele... naturalnie, że w takich razach bywa w torbie doświadczenia wiele brzydkich rzeczy. Otóż jak zaczął mi z téj torby wszystko wyciągać, jak zaczął mi opowiadać...

— Któż słucha takiego człowiéka, który doświadczenia swoje mógł tylko czerpać w błocie i kałużach?....

— Tak, koteczko, to się mówi, ale jak człowiek zacznie słuchać, to sam nie wie, kiedy mu coś przez ucho aż do gruntu serca się wśliźnie... Ale trzeba go zaprosić i opowiedzieć mu całą prawdziwą sprawę z tym biédnym Teodorem...

I zawołał na służącego i posłał go po pana Protazego.

Za kilka chwil przyszedł służący z odpowiedzią, że pan radca bardzo przeprasza, bo wracając w nocy do domu, upadł na schodach i mocno się potłukł.

Służący dodał jeszcze od siebie, że widział Sebastyana, jak zimną wodą okładał plecy pana Protazego, który w łóżku leżał.

— Co za feralny dzień! — zawołał dyrektor z prawdziwém współczuciem — same nieszczęścia!

* * *

Tego samego dnia na wieczorze u pani Izy rozmawiano także o wypadku zaszłym pod spalonym browarem.

— Mówią, że niebezpiecznie ranny — ozwała się żółta suknia do szafirowéj.

— Jeżeli już nie umarł, to do jutra zapewnie umrze — odpowiedział szafir — tak mówił nam nasz lekarz.

— Ciekawa rzecz, co pani Laurencya zrobi, jeżeli on umrze?

— Cóżby miała zrobić?... Pójdzie za Jerzego!

— Przecież to...

— Dla tego, że waryat jakiś wmieszał się między nich...

— Zapewne... czy nie słychać kiedy będzie wesele?

— Niech będzie jak najprędzéj... przybędzie jeden dom przyjemny w mieście!

— Że będzie przyjemny, o tem nie wątpię. Pani Laurencya potrafi go uprzyjemnić.

XXXVII.

Dziesięć dni minęło od tego czasu. Eufemia wstała już z łóżka i mogła się przechodzić. Była blada i smutna. Przyszedł dyrektor z Elżunią.

Dyrektor patrzał czas niejaki na Eufemią. Twarz jego, która od tego pamiętnego wydarzenia, już się znacznie zaokrągliła, skrzywiła się teraz smutnym wyrazem.

— Zdaje mi się—ozwał się—że Eufemia mogłaby teraz Elżusię czasem zluzować w szpitalu...

Twarz Eufemii zapłonęła.

— Jakim-że sposobem mogłoby się to stać? — szepnęła z cicha.

— Bardzo łatwo—rzekła Elżbieta—on i tak jest bez przytomności... nie mógłby cię ani obaczyć, ani poznać...

— Chyba że tym sposobem tylko — odparła drżącym głosem Eufemia i spuściła oczy, bo na powiekach poczuła ciążące łzy...

I jeszcze tego samego wieczora siedziała Eufemia przy łóżku szpitalném, na którém leżał chory młody mężczyzna z głową obwiązaną. Siostra miłosierdzia kładła mu na głowę zimne okłady.

Eufemia siedziała wpatrzona w bladą twarz chorego. Widać było z jéj oczu, że serce jéj bije żywiéj, że w jéj duszy panuje ciche ale głębokie wzruszenie...

Śledzi ona na twarzy chorego wszystkich drgnień, wszystkich poruszeń, aby z nich wyczytać, czego chory pragnie i czy daleko jest jeszcze zimny anioł śmierci...

Nie wiedziała biedna, że ten zimny anioł, który uparcie tak długo stał ciągle przy łóżku chorego, zaczyna teraz skrzydła rozwijać, aby odlecić bez zdobyczy do ciemnych podziemi nocy wiecznéj!...

Na twarz Teodora wystąpił lekki rumieniec. Powoli senném marzeniem wracało życie... Śniło mu się właśnie, że na ciemném niebie widzi ognistą kometę... że czepia się jéj ogona i pędzi z nią po przestrzeniach bezbrzeżnych!... Szum wichrów ogłusza go... blask słońc oślepia go... i już nic... nic w koło siebie nie widzi!... I śni mu się znowu, że chwyciła go druga kometa, ale czarna jak noc... i ciągnie go za sobą, za swoim rydwanem po jasném niebie!... I tu traci zmysły... i już w jakąś przepaść ma się stoczyć... gdy nagle słyszy śpiew anielski... i widzi profil tego anioła o jasnych włosach i łagodnych oczach niebieskich... Ten śpiew uciszył wichry... on zawisł nagle w powietrzu... a było mu tak dobrze i roskosznie, jakby był już w niebie!

I w téj chwili otworzył Teodor oczy... i obaczył ten sam profil, co we śnie... te same oczy, które ongi widział przez okno dyrektora...

I było mu rzeczywiście tak dobrze i roskosznie, jak we śnie... i miał już tyle siły, że sięgnął po rękę swego nowego anioła stróża i do ust spalonych gorączką przyłożył...

Był to pierwszy symptomat wracającego życia.

XXXVIII.

Końca powieści już każdy się domyśli.

Dodać tylko wypada, że Teodor zupełnie do zdrowia przyszedł, chociaż rana była tak niebezpieczna. Skończyło się tylko na tem, że po wyzdrowieniu prawie zupełnie zapomniał tak o jednéj, jak i o drugiéj komecie. Dziwnym sposobem kula uderzyła w mózg tam, gdzie właśnie miało się ulokować wspomnienie o tych kometach. Powstałe z tego powodu zapalenie zmazało tam wszystkie doznane wrażenia i zrobiło miejsce dla nowego, zupełnie nowego życia.

To téż prawdziwie nowe życie rozpoczął Teodor. O zaszłym wypadku prawie nic nie wiedział, a to co wiedział, miał za jakiś sen podczas choroby.

Zapewnie i Eufemia przyczyniła się do tego, że o tym śnie nawet jak najprędzéj zapomniał...

A najlepszém w tém wszystkiem było, że zapomniał o tém, iż kiedyś chciał naukę astronomii z gruntu wywrócić i że chciał od razu dostać się na wyżyny dostatków przez świetne ożenienie...

Te pyszne marzenia wybiła mu także z głowy owa kula nieszczęsna, a nie mogąc być na przodzie, usiłował teraz tylko, aby nie był ostatnim!

Zaraz po wyzdrowieniu wstąpił za protekcyą dyrektora, jako kandydat na nauczyciela, do praktyki—przeniósł się do innego miasta, aby wszystkie dawne marzenia za sobą zostawić i marzy tylko o tem, aby jak najprędzéj... swego jasnego anioła do ołtarza zaprowadzić.

Ma wszelką nadzieję, że to wkrótce nastąpi. Tylko pan Proazy, który już także wyzdrowiał, wątpi o tem.

Na inserat dyrektora dotąd nikt się nie zgłosił.

* * *

A pani Laurencya?

Pani Laurencya ma piękny salon na pierwszem piętrze, w którym co tydzień, prócz męża, zbiera się także liczniejsze towarzystwo

Darowano jéj wiele według słów pisma świętego, miłościwie mówiącego o tych, którzy wiele i mocno kochali!

Jedną rzecz tylko spostrzeżono u niéj. Dostawszy się przez męża w towarzystwo salonu, nie mówi już innym jak tylko francuskim językiem, chociaż sama księżna Natalia i hrabina Zenobia od niejakiego czasu do rodzinnego wróciły języka.

A wielka ztąd szkoda wypływa dla zacnego dyrektora, który po przebyciu katastrofy zalicza się do najszczęśliwszych mężów i znowu jak dawniej w skrzypiących butach chodzi. Tylko czarnym punktem na jego horyzoncie jest niezgoda gramatyków co do przymiotników imiesłowowych, która to niezgoda musiałaby upaść, gdyby piękne usta rusałek salonów naszych temi nieszczęśliwemi amfibiami także zająć się chciały!

Dyrektor nie traci nadziei, że to nastąpi,—tylko pan Protazy wątpi o tém.

Wenecya, r. 1879. *Jan Zacharyasiewicz.*

Współczesna Powieść we Francyi.

II.

Alfons Daudet.

„Jest to pisarz czarujący, opowiadacz rozkoszny. Zachwyca mnie, ponieważ zdaje się całego siebie kłaść w swoje dzieło; ponieważ tak pisze, jak gawędzi, a gawędzi dobrze; ponieważ czytając jego kartki, napisane jakby jednym tchem, nie czuje się w nich zmęczenia ani pracy, pomimo wykwintnych rzeźb i ozdób stylu, ponieważ jest oryginalny i wiosenny. Jest to poeta!“

Do téj charakterystyki, na którą cały świat powszechnie się zgadza, nic prawie już dodać nie można, i gdyby biograf Daude'ta Felicyan Champsaur, był zadał sobie cokolwiek tylko trudu z jéj literackiem usprawiedliwieniem, ocena dzieła i oznaczenie stanowiska tego „czarującego pisarza“ w bieżącéj literaturze byłyby całkiem niepotrzebne, tak w tych kilku słowach prostego entuzyazmu zamyka się wszystko, co o Daudet'cie da się powiedziéć ogólnie. Jest to los każdego zresztą talentu, który pomimo swojéj oryginalności nie umie i nie może wyjść z zaklętego koła tejże saméj roboty, nie umie i nie może przestać być wciąż jednakowym, pomimo zmian w przedmiocie swéj twórczości; jest to los każdego talentu, którego twórczość płynie tylko z indywidualności, a indywidualność z pewnego mniéj lub więcéj pięknego, mniéj lub więcéj ognistego, poetycznego czy téż zręcznego, ale zawsze tylko jednakowego sposobu przedstawiania swych pomysłów. Słowem, jest to los każdego artysty, który zamknął się w formie.

Obecna sztuka francuzka, a mowa tu o literaturze i malarstwie, przedstawia w znacznéj większości swych okazów wyraźną tendencyą do zasklepiania się w granicach specyalnego procederu. Każdy tu uczy się robić coś, stara się dojść do mistrzostwa w robocie, i zo-

stać wirtuozem pewnéj specyalności. Mniejsza o prawdę, mniejsza o piękno lub dobro, w tém czy innem przyjętém znaczeniu, byle *proceder* był nowy, bez zarzutu i indywidualny. A to ciążenie talentów do wirtuozostwa, zmanierowanego byle indywidualnego, jest tak już dziś powszechném we Francyi, że nawet karykatura, jak to widzimy co dzień w illustracyach Grevin'a, Cham'a i innych, od niego uwolnić się nie może. Każdy tu stara się wyprzedzić drugiego, olśnić, oczarować wszystkich, wybić się nad poziom ogółu, wyróżnić się swoim własnym sposobem technicznego przedstawiania pomysłów, czyli wyrobić sobie własną formę tworzenia i tą formą zawojować świat. A przy tém dodać należy, że we Francyi wszystko, szkoła, krytyka i gust publiczności, swemi despotycznemi wpływami artystę ku temu popycha: szkoła, ponieważ w uczniu kształci i rozwija tylko poczucie formy; krytyka, ponieważ w tém narzucaniu gotowych sposobów wyrażania się artysty nie widzi nic złego dla sztuki; publiczność zaś dlatego, że raz zasmakowawszy w jakiejś specyalnéj formie danego artysty, nie chce go mieć innym, nie chce go widziéć a tém mniéj kupować. Tym sposobem artysta tu jest zmuszony do doskonalenia się i do przyswojenia sobie bodajby jakiejś sztuczki, jakiegoś technicznego figielka, byle to było różne od innych, a u niego zawsze jednakowe. I to nie tylko talenta słabe, zapożyczające się u silniejszych lub u szkoły, lecz nawet natury czysto artystyczne tak dalece wskutek wpływów zewnętrznych ulegają téj powszechnéj wadzie sprowadzania sztuki do ram jakiegoś technicznego wynalazku, że trudno się dopatrzéć, czy artysta swą wprawną ręką chciał wyrazić myśl jaką lub uczucie, czy też po prostu zadziwić publiczność zręcznością saméj roboty, choćby ona nie odpowiadała nawet potrzebom przedmiotu. Psychologicznie da się to usprawiedliwić z łatwością; estetyka jednak nie może być tak pobłażliwą, ponieważ to zamienia sztukę na prosty przemysł, artystę zaś na wynalazcę, godnego może patentu za udoskonalenie jakiegoś sposobu produkowania dzieł pięknych lecz nie wawrzynowego wieńca za ilość i jakość poruszonych myśli, a obleczonych w coraz to nowe formy, zawsze różne i zawsze przedmiotowi odpowiednie. Takie wydoskonalenie techniki przy szczupłości zużytych środków z konieczności podnosi oryginalność artystycznego utworu, i jasno, dosadnie charakteryzuje indywidualność artysty. Ta oryginalność jednak i ta indywidualność przeniesione do innych dzieł, jako stały sposób wyrażania się, zabijają całość, ponieważ uczucie i myśl oddają na usługi raz na zawsze jednakowéj formy, która sama przez się może czarować przy pierwszém widzeniu, następnie jednak, jako nie wyrażająca nic, musi nużyć ubóstwem środków, ich jednostajnością i pustotą.

A przyznać trzeba, że artystów w ten sposób oryginalnych Francya posiada niezmiernie wiele. I jeżeli Daudet, ze względu na wysokość i oryginalność swego talentu, nie łatwo dałby się porównać z jakimś innym pisarzem w dzisiejszéj powieściowéj literaturze, inne gałęzie francuzkiéj sztuki talentów do niego podobnych naturą i tendencyą przedstawić mogłyby aż nadto, zwłaszcza jeżelibyśmy ich poszukali pomiędzy współczesnemi mu malarzami. Są oni, jak on, impresyonistami, i podobnie jak on wnieśli do sztuki pewien odrębny temperament, pewien oryginalny sposób czucia i pewien niezwykły, im tylko poszczególnie właściwy sposób robienia. Jako natury czułe, nerwowe, odebrali oni z zewnątrz pewną sumę podrażnień, które w danéj chwili złożyły się bezwiednie na jedno typowe wrażenie. Forma jednak tego wrażenia stała się następnie tak dalece wyrazem ich talentów, że nie tylko nie umieją już potém z natury rzeczywistéj wynieść wrażeń innych nad te, które się poprzednio mieściły w ich wrażeniu-typie, lecz przeciwnie wnoszą do niéj coś z pierwotnego czucia i wskutek tego bezwiednie czują nawet to czego tam nie ma. Tym sposobem dzieła ich noszą na sobie cechę prawdy schłoniętéj w podmiotowéj poezyi i natury widzianéj bądź to z jednéj tylko strony, bądź téż opromienionéj blaskiem sztucznego, zawsze tego samego światła. Jest w tém coś z halucynacyi i daltonizmu, jeżeli przemilczymy już o manierze, która może byłaby najlepszym wyrazem na określenie tego rodzaju podrabiania swoich własnych pomysłów, lub zostawania wciąż pod naciskiem jednego i tego samego wrażenia. A z francuzką dzisiejszą sztuką tak się rzecz ma istotnie. Najznakomitsi artyści wciąż przeżuwają swój pierwszy utwór i żyją pierwszém swojem wrażeniem, jak gdyby nie stać ich było na dwa choć by tylko, byle różne.

Doré spostrzegł się pewnego dnia, że narysowane postacie najfantastyczniéj wyglądają wtenczas, kiedy są nadmiernie długie; Corot zauważył, że natura przedstawia się najpoetyczniéj w powiewnéj szacie niebieskiego koloru; Diaz nie rozumie wesołego dnia inaczéj jak o południu w sosnowym lesie z kilkoma białemi brzozami i długą łąką pośrodku. a dla Hennera piękno istnieje tylko w ciemno-zielonéj barwie. Cokolwiek oni robią następnie, jest to zawsze tenże sam obraz, taż sama kompozycya, ten sam przedmiot, ten sam wyraz, ta sama technika. Zmian tam nie szukać, bo tak dobrze z jedną kobiétą jak z dwiema, z lasem z przodu czy z boku, obraz jest powtórzeniem lub tylko dalszym ciągiem pierwszego.

To samo z Daudetem. Z tysiącznych podrażnień, jakie odebrał od natury i życia, stworzył on sobie wrażenie typowe i pod jego na-

ciskiem pisze. Czy przedmiotem jego powieści jest świat małomieszczański, jak we *Fromont jeune et Risler aîné*, czy robotników i wykolejonych z życia, jak w *Jack'u*, finansowo-polityczny, jak w *Nababie*, czy téż arystokratyczny, jak w *les Rois en Exil*, natura i życie, pomimo całéj rozmaitości wprowadzonych do powieści typów i pomimo całéj troski Daudet'a o wyszukiwanie ich gdzieś indziéj niż w swéj głowie, dla czytelnika przedstawiają się zawsze pod jedną i tą samą formą. Nie można powiedziéć, aby Daudet w swych „powieściach z życia współczesnego" nie starał się o sumienne i przedmiotowe obrazowanie widzianéj prawdy. Bynajmniéj! Widzi on życie (naturalnie, poswojemu, jak każdy) i chce je przedstawić do pewnego chociaż stopnia tak, jak ono jest w rzeczywistości. Lecz w charakterze poety (i tu właśnie tkwi główny niedostatek jego powieściowego talentu), widzianą przez siebie prawdę kąpie on w liryzmie swéj poezyi i dopełnia swoją filozofią życia. Nie dosyć więc, że świat zewnętrzny robi na nim wciąż toż samo wrażenie, co osłabia siły jego charakterystyki i zmniejsza bogactwo obserwacyi, lecz nadto zaciera on prawdę swojemi osobistemi pragnieniami, osobistem pojęciem bezwzględnego „piękna i dobra", tych dwóch pierwiastków życia moralnego, które istnieją tylko pod formą konwenansu. A przy tém schłonięty cały w potrzebie wypowiadania się ze swoją duszą, zdaje się jakby zapominać o duszy innych, zostawia ją w szkicu, kilkoma kréskami narysowaną, i raz puściwszy wodze wyobraźni, zalewa całą swą psychologią obserwatora potopem pięknie brzmiących słów. Tym sposobem Daudet, jakkolwiek znający życie, umiejący je miejscami charakteryzować dosadnie i starający się o przedstawienie prawdy w jéj pierwotnéj, naturalnéj formie, cieszy się aż dwoma na raz tytułami: współczesnego pisarza-naturalisty i współczesnego poety. Natura obdarzyła go zarówno zmysłem spostrzegania jak i wyobraźnią; wskutek tego jest on jednocześnie wiernym, choć nie pełnym w przedstawianiu życia, jak fantastycznym i uczuciowym w pisaniu, i jakkolwiek duszą, tętném ognistéj krwi południowca, istotą talentu, żałosną nutą swego kwiecistego języka należy do zamierającego już dziś pokolenia liryków, którzy z lada powodu a często nawet i bez powodu przez łzy mówili, przez łzy się śmieli, łzami i we łzach żyli, to jednak ze względu na ilość wniesionych do swych dzieł obserwacyj zajmuje on jedno z pierwszych miejsc pomiędzy nowatorami dzisiejszéj powieści. Lecz jego dzieła, jak dzieła współczesnych mu francuzkich malarzy, aby osądzić sprawiedliwie, należy sądzić z jednego, gdyż we wszystkich jest on zmanierowany, tak dobrze w sposobie wyszukiwania i widzenia prawdy w życiu, czyli w przedmiocie

swéj sztuki, jak w układaniu obrazów, i w sposobach wyrażania się, czyli w jej formie.

I. Obserwator.

Daudet posiada niezmiernie krótki wzrok. Jest to ułomność fizyczna która z konieczności musi wywoływać niedostatki umysłowe i jakkolwiek chcieć wyprowadzić całą charakterystykę pisarskich wad i zalet Daudet'a z jego miopii byłoby rzeczą zbyt ryzykowną, to jednak, częściowo przynajmniéj, może znaleść swe usprawiedliwienie i wyjaśnienie w téj wadzie oka, która tak dobrze fizycznie jak i umysłowo da się wyrównać tylko za pomocą sposobów całkiem sztucznéj natury. Obserwator, który bierze „omnibus za dystrybucyą", nie może się obejść bez monokla na ulicy a bez wyobraźni w pisaniu powieści z życia; i jakkolwiek wielką byłaby jego troska o ścisłość i pełność obrazów, musi on chcąc nie-chcąc posługiwać się fantazyą tam nawet, gdzie ona nie jest na swojém miejscu. A przy tém krótkowzroczność z konieczności zwraca oko obserwatora na przedmioty przerastające zwyczajną miarę. Szukać on będzie przyjemności dla oka w rzeczach niezwykłych rozmiarami, krzykliwych barwnością lub dziwacznie narysowanych. Tak téż jest i z Daudet'em. Widzi on typy w naturze; ale widzi tylko typy szczególne, dziwne, nadmiernie szlachetne, lub nadmiernie nikczemne, niesłychanie dobre lub niesłychanie śmieszne.

Życie dostarcza wyjątkowych temperamentów i urabia je na najdziwaczniejsze charaktery, tak samo jak natura obok okazów zwyczajnych wytwarza nadzwyczajne piękności i nadzwyczajne potwory. I jak są malarze, którzy dla zrobienia zajmującego obrazu potrzebują inspirować się naturą już jeżeli nie dziwaczną to przynajmniéj dziwną; tak samo i Daudet, znając z doświadczenia życie powszednie, przywiązuje się tylko do niezwykłego, zwracającego na siebie uwagę wszystkich, i tam dopiéro, zaczerpnąwszy motywów na stworzenie kompozycyi i typów, idealizuje, przesadza i spowija je w bogate tkaniny swego barwnego języka. Żadna z jego postaci nie nosi na sobie cech powszedniości, żadna nie daje wrażenia przeciętnego życia. Brał on je wprawdzie z natury, i to nawet tak dalece, że jego powieści w Paryżu są uważane za paszkwile; ale brał je z natury wyjątkowéj i przedstawiał ze strony najbardziéj wydatnéj, najbardziéj uderzającéj oko.

Nabab, który rozrzuca miliony i pozwala się jawnie okradać przez wszystkich, byle zostać deputowanym; Krystyan II, w *Królach na wygnaniu*, który wyzuwa się z ludzkich i królewskich ambicyj,

byle mógł się nurzać w ściekach paryskiéj rozpusty; Méraut, który przez przywiązanie do idei rojalizmu nie chce położyć nazwiska na swojém dziele i pozwala się niém chełpić innemu na posiedzeniu akademii; artystka, która dla ukarania wielbicieli oddaje kwiat swego dziewictwa jakiemuś staremu, zniszczonemu używaniem życia ministrowi; *Jack*, nieprawe dziecko rzucone niewłaściwie i wbrew swoim życzeniom pomiędzy robotników, który umiera z miłości dla swéj wyrodnéj matki i przesadzonéj w naiwności kochanki; doktór Rivals, który dla swéj nieprawnéj wnuczki szuka męża z nieprawego łoża; Frantz Rissler, który dla obronienia się przed putyfarowemi zamiarami swéj bratowéj zapala się najgorętszą miłością ku nieszczęśliwéj kalece; Rissler starszy, który zajęty myślą wynalezienia jakiejś maszyny, nie spostrzega się, że mieszka w pałacu, jeździ w karecie i je obiady kochanka swojéj żony; słowem, wszystkie postacie główne daudetowych powieści są typami z życia może, ponieważ historya się o nie upomina, ale typami z życia wyjątkowego. Ciąży na nich zarzut psychologicznéj niepełności i artystycznéj przesady. Daudet wziął je ze strony najbardziéj wydatnéj i usunął z ich życia to, co grzesząc powszedniością, jedynie mogłoby usprawiedliwić niezwykłość ich charakterów.

Pilny i baczny obserwator, umiejętnie wyłączając drugorzędne znamiona danego człowieka, umiałby z łatwością wszystkie czynniki jego moralnego życia sprowadzić do jedności, do jakiejś *jednéj czysto nawet fizyologicznéj pobudki*, która nim rządzi mniéj lub więcéj bezwiednie. Na zewnątrz jednak psychologia każdego człowieka przedstawia się w formie złożonéj i to tak dalece, że ludzie, najprościéj nawet idący do jakiegoś z góry obmyślanego celu, zadziwiają rozmaitością myśli, pozornemi sprzecznościami swych czynów lub faktycznemi swoich słów. Dla Daudet'a komplikacya w życiu człowieka zdaje się nie istnieć wcale. Bierze on ludzi urobionych do pewnéj roli i każe im występować w niéj z poprawnością wybornych aktorów. Myślą oni, mówią i działają w myśl celu, który się znajduje na końcu książki. Żadnego zboczenia, żadnego odstępstwa od słów z góry przepisanéj im roli! A przy tém szuka typów tak, jak rysownik ilustrator. Każda jego postać, choćby najbardziéj żywcem wzięta z natury, grzeszy temi samemi wadami, jakie widzimy w czarnych, atramentem robionych sylwetkach, gdzie tacy tylko ludzie mogą być portretowani i zadziwiająco podobni, którzy przez swój charakterystyczny profil nadają się do karykatury. Daudet karykaturalnym nie jest, ani się téż nim być stara; ale do swoich powieści „ze współczesnego życia“ i „współczesnéj historyi“ bierze takich tylko ludzi, którzy, jak w sylwetkach widziani płasko i z profilu, lub co naj-

wyżéj w trzech czwartych ich twarzy, dają się od razu narysować i z łatwością rozpoznać (1).

„Podrósłszy na wiórach ojcowskiego warsztatu do lat dziesięciu, od dziesięciu do piętnastu wychowany przez ulicę, tę nieporównaną szkołę pod dachem nieba, Narcyz poczuł zawczasu w sobie wstręt do ludu i ręcznych zajęć. Jako dziecko jeszcze obmyślał projekty i interesa. Później, ta ruchliwość marzenia przeszkadzała mu w ustatkowaniu sił i zużytkowaniu ich produkcyjnie. Podróżował i przedsiębrał tysiąc zajęć. Górnik w Australii, kolonista w Ameryce, komedyant w Batawii, świadek u jakiegoś komornika w Brukselli, narobiwszy długów w obydwu światach, osiadł jako agent w Londynie, gdzie żył dosyć długo i gdzie mógłby był dojść do czegoś, gdyby nie ta straszna imaginacya, nigdy nie zadowolona i zawsze pożądająca roskoszy na przyszłość, która go rzuciła w czarną nędzę Brytanii. Tym razem upadł bardzo nisko, gdyż nocą został złapany w Hyde-Parku na wykradaniu łabędzi z jeziora. Kilka miesięcy więzienia zniechęciło go zupełnie do swobodnéj Anglii i jako rozbitek powrócił osiąść na paryskim chodniku, z którego wyszedł. „(*Les rois en Exil*). A przy tem dodać należy, że Narcyz, pod przybraném nazwiskiem Toma Lévis, który wciąż udaje Anglika, dobił się olbrzymiego majątku jako agent do wszystkiego. Straciwszy jednak miliony na rywalizowanie w przepychu domowego życia z Niemcem Sprichtem, postanowił odbić się na skórze Krystyana II-go. Potrzeba jednak było schwycić króla w łapy silne i zręczne. Wziąwszy więc od swéj żony słowo, że go nie zdradzi faktycznie, podsunął mu ją jako kochankę. Piękna Sephora jednak zawiodła nadzieje męża i to tem więcéj, że noc przespana z królem Krystyanem była chybioném *à conto* na rzecz nieistniejących milionów. Być może, że takich Tom-Lévisów Paryż dostarcza tysiącami. Nie mniéj jednak przeto życie jego i moralność są wyjątkowemi i prawie nie mającemi nic wspólnego z życiem i moralnością całéj masy kupców, których Lévis w *Królach na wygnaniu* jest przedstawicielem.

Nie lepiéj rzecz się ma z arystokracyą. Daudet jest malarzem, a przynajmniéj za takiego uchodzi. Ale i tu jak wszędzie grzeszy on jednostronnością. Jego królowie, książęta lub hrabiowie są istotami wyjątkowemi. Książę Mora w *Nababie* żyje tylko pożądliwością, a jego *alter-ego*, markiz Monpavon, jednozgłoskowemi odpowiedziami i małpowaniem księcia.

„Monpavon rozmawiał z doktorem, i z daleka, nie widząc go, możnaby było sądzić, że się słyszy księcia Mora, tak przejął on jego sposób

(1) *Les Rois en Exil.*

mówienia. Były to te same zdania niedokończone, zamknięte przez „ps... ps... ps...“ końcem zębów, przez „ten tego“ i „rzecz,“ wtrącane przy każdéj sposobności do rozmowy, rodzaj arystokratycznego trzepania językiem, zmęczonego i niedbałego, w którem się czuło głęboką pogardę dla pospolitéj sztuki słowa.

Jenkins podniósłszy się, rzekł: Adieu, odchodzę... Czy będziemy się widzieć u Nababa?

— Tak, myślę, że będę tam jeść śniadanie... przyrzekło mu się przyprowadzić, ten tego, jak się nazywa?... Pan wiesz, w naszéj wielkiéj sprawie... ps... ps...ps... Inaczéj, wymówiłbym się od pójścia... Prawdziwa menażerya ten dom...“

I Monpavon przez całą powieść żyje tylko tym jedném rysem. tém „ps... ps...“ „ten tego“ „rzecz“ „jak się nazywa.“

A Jenkins? Jenkins jest doktorem, przedstawicielem szarlataneryi w nauce i hipokryzyi w moralności. Żyje on „pigułkami“ (z kantaryd) i pożądliwością dla Felicyi Ruys. „Dosyć... dosyć... nie szydź pani ze mnie... Ostatecznie to zanadto straszne... Więc to pani nie wzrusza, że jesteś kochaną, jak ja kocham, poświęcając ci wszystko: majątek, honor, poważanie? No, patrz pani na mnie... Chociaż maskę przymocowaną miałem mocno, zerwałem ją dla pani, zerwałem ją w obec wszystkich... I teraz, gdzież jest hipokryta?“

Słychać było stuk dwu kolan na podłodze. I jąkajac się, oszalały miłością, pochylony przed nią, doktór błagał ją, aby zezwoliła na to małżeństwo, aby mu dała prawo szukania jéj, prawo bronienia.

— Skończmy, Jenkins,— zawołała Felicya opryskliwie—to, czego pan ode mnie żądasz, jest niepodobieństwem. Nie mamy nic do ukrywania przed sobą; i po zwierzeniach jakie mi pan zrobiłeś przed chwilą, uczynię ci jedno, które m ·ję dumę kosztować będzie, ale na które zasłużyłeś twoją zaciekłością... Byłam kochanką księcia Mora.

— Wiedziałem o tém — odparł Jenkins głucho. — Miałem listy, któreś pani do niego pisała... Umiem je na pamięć... A jak to boli, kiedy się kocha!... Ale wycierpiałem inne męki. I kiedy myślę, że to ja... Zatrzymał się. Dusiło go... — Że to ja musiałem dostarczyć opału do waszych płomieni, ogrzać tego kochanka z lodu, odesłać go do pani gorejącym i odmłodzonym... Ah! ten pożarł „pigułki...“ Mogłem sobie mówić: nie, on chciał ciągle... Ostatecznie wściekłość mnie porwała... Nędzniku, chcesz się palić, to się pal!“ I cała charakterystyka Jenkinsa, całe jego życie pełne przygód i tajemniczego postępowania jest tylko rozszerzeniem powyższéj rozmowy, z tą tylko różnicą, że jeżeli u innych postaci Daudet kładzie coś podobnego na początku jako założenie, tu położył jako zakończenie, tam wyszedł z jednego rysu, tu do niego doszedł. W ogóle jednak Jenkins należy

jeszcze do postaci najbardziéj pełnych. Jest on pożądliwym, bezwstydnym handlarzem fałszywéj nauki, hipokrytą i cynikiem...“ Trzeba się było mieć na ostrożności... Medycyna nie była magią. Potęga „pigułek Jenkinsa“ zatrzymywała się przed siłami ludzkiemi, przed koniecznościami wieku, przed źródłami natury, które, niestety, nie są bynajmniéj niewyczerpalnemi. Książę przerwał tonem nerwowym:

— No, Jenkins, wiesz o tem dobrze, że nie lubię frazesów... Więc tam jakoś nie idzie?... Co mi jest?... Zkąd to zimno?...

— To anemia, wycieńczenie... znikanie oliwy w lampie.

— Jenkins, mój kochany, zrobiłeś już cuda ze mną. Ale proszę cię o więcéj. Podwój ilość „pigułek“, wymyśl coś, co chcesz... Bylebym był żwawy na niedzielę... Rozumiesz, zupełnie żwawy. Pigułek zatem na pojutrze. . i to nabitych!...

Jenkins zadrżał, wstrząsnąwszy się jakby po przerwaném marzeniu. — Rozumiem, mój kochany książe, doda się tchu... Oh! ale tchu... choćby do wygrania nagrody *Derby*.“ I cała ta rozmowa, jak inne, więcéj literacka niż charakterystyczna, nie jest sama dla siebie, dla naznaczenia psychologii dwóch ludzi, lecz dla czytelnika, który ją późniéj zestawiać będzie z końcową, powyżéj przytoczoną, pomiędzy doktorem a Felicyą Ruys.

Z innemi postaciami to samo. Przedstawiają one doskonale świat i ludzi, ale świat egzotyczny i ludzi egzotycznych. „Krystyan II zawołał na marudera, który się toczył w stronę *Placu Zgody*, wskoczył lekko i zacierając ręce z radością dziecka, rozsiadł się na starém niebieskiém suknie poduszek.

— Gdzie jedziemy, mości książę—zapytał dorożkarz, nie domyślając się nawet, że odezwał się tak właściwie.

Krystyan Illiryjski odpowiedział tryumfującym głosem wyemancypowanego gimnazisty: Do Mabilu!“ Lecz ten przynajmniéj tak bawi swoim cynizmem, że w nim zaciera się wrażenie jednostronności, i chcąc-nie-chcąc uważa się go za człowieka, jakkolwiek żyje on także tylko jednym rysem, żądzą publicznéj rozpusty.

„...Ja zaś twierdzę, że człowiek któryby sobie zadał cokolwiek trudu w zachowaniu się, któryby się nie znużył milczeniem i pogardą... byłoby to sprawą jednego miesiąca, nie więcéj.

— Zakładam się, że nie—dpowiedział Axel.

— Ile?

— Dwa tysiące ludwików.

— Trzymam... Wattelet, każ dać książkę.

„Ta książka, w któréj się zapisywały zakłady *Wielkiego klubu*, była tak ciekawą i pouczającą w swoim rodzaju, jak księgi Lévis'a Największe imiona arystokracyi francuskiéj dawały tam swoję sankcyą

zakładom najdziwaczniejszym, najgłupszym, jak naprzykład zakład księcia Courson-Launay, który przegrał wszystkie włosy na swém ciele i zmuszony do oskubania się jak maurytanka, przez piętnaście dni nie mógł ani chodzić, ani siedzieć. Były tam inne pomysły jeszcze dziwaczniejsze; i podpisy bohaterów, kładzione na stu pełnych chwały pergaminach, pospolitowały się w tym albumie szaleństwa.

„Na około zakładających się, członkowie klubu ugrupowali się z ciekawością i uszanowaniem. I ten śmieszny a cyniczny zakład, wobec powagi tych wszystkich łysych czaszek, wobec tych przedstawicieli społecznych dostojeństw i heraldycznéj doniosłości podpisów; nabierał pozoru międzynarodowego traktatu, regulującego losy Europy. Zakład był sformułowany, jak następuje: Dnia 3 lutego 1875 roroku. Jego królewska mość Krystyan II zakłada się o dwa tysiące ludwików, że będzie spał z Sephorą L... przed końcem bieżącego miesiąca. Jego królewiczowska mość książe Axel trzyma zakład.“

Wogóle jest to postać sumiennie wystudyowana i zwracająca na się uwagę ogromem cynizmu. Izba Illiryjska zaofiarowała Krystyanowi kilkanaście czy kilkadziesiąt milionów za urzędowe zrzeczenie się tronu. Królowa Fryderyka, jakkolwiek zna materyalną nędzę swego domu, przez dumę, opiera się przyzwoleniu króla. „Wreszcie—przerywa Krystyan—cóż to jest takiego ta korona Illiryi, o któréj pani mówisz mi ciągle? To warte coś ale tylko na głowie króla; w przeciwnym razie jest zawadą bezużyteczną, którą się trzyma pod kloszem, jak laury komedyanta lub ślubny bukiet odźwiernéj. Król jest królem tylko na tronie, z władzą w ręku; strącony, mniéj niż nic, szmat... Tu jestem królem Krystyanem II dla ciebie; pani, dla Rosena, dla kilku wiernych. Zewnątrz staję się człowiekiem podobnym do innych. Pan Krystyan Drugi... Bez nazwiska, imię tylko... Krystyan, jak komedyant z jakiegoś teatru. I aby dobić królowę, Krystyan do swego zabawnego obrazu monarchy na wygnaniu doda, ostatni rys. Co za smutną minę mieli ci wszyscy biedni książęta *in partibus*, figuranci królewskości, drapujący się w szychu pierwszych ról, deklamujący przed pustemi ławkami i nie mający szeląga dochodu! Nie lepiéj byłoby im zmilknąć, przejść do życia powszedniego, ukryć się w ciemności?... Ujdzie to jeszcze tym, którzy mają jakiś majątek. Ale inni, ale ich biedni kuzyni z Palermo, gniotący się w za-małym domku z tą przeklętą włoską kuchnią! Zawsze tam czuć cebulę, kiedy się do nich wchodzi.... Z pewnością godni, ale cóż to za byt! Pewnego razu Burbon, prawdziwy Burbon, biegł za omnibusem. „Nie ma miejsca, panie.“ On biegł ciągle. „Kiedy nie ma miejsca, mój biedny staruszku.“ Rozgniewał się, ponieważ należało go nazwać jaśnie wielmożnym, jakby to było można poznać

z krawatu. Królowie-to z operetki, moja droga. I właśnie, aby wyjść z tego śmiesznego położenia, chcę podpisać ten..."

— Najjaśniejszy panie, trzeba abdykować!

— Abdykować z czego?... Nie mam nic... śliczny podarek zrobiłbym mojemu synowi,.. Ja myślę, że on wolałby raczéj nowy welocyped, niż tę pustą obietnicę korony za dojściem do swojéj pełnoletności."

Co jednak u Daudet'a psuje całość, odbiera obrazowi charakter prawdy widzianéj na zimno, to właśnie to mięszanie postaci żywych, choć jednostronnych, z czystemi wytworami fantazyi, z jakiemiś ideałami symbolizującemi, czy téż symbolami idealizującemi życie. A takich postaci w każdéj jego powieści jest pełno. Mają one wyrażać *coś* i dowodzić *czegoś*, a właściwie *nic* nie wyrażają i *niczego* nie dowodzą, ponieważ brak im ciała, brak krwi i kości rzeczywistych ludzi. Daudet'owi nie stało materyału z życia; dla potrzeb więc kompozycyi, dla potrzeb idei, stworzył całą galeryą istot szlachetnych, pięknych, rozrzewniających dobrocią, łagodnością i bezinteresownością, zadziwiających dumą, lub czarujących powietrzną idealnością, ale bladych i ckliwych, które chodzą jak cienie, działają jak lunatycy, mówią jak duchy. Są tam królowe, które w rodowéj a ambitnéj dumie zapomniały o swojéj kobiecéj naturze. Fryderyka zdradzona, prawie opuszczona przez męża, została sam-na-sam z nauczycielem swego syna. „Méraut *nie spostrzegłszy się*, ciągnął daléj swoję mowę, stojąc w słońcu, które przemykało się po jego szlachetnie egzaltowanéj twarzy, jak po powierzchni twardego kamienia. Był wtedy piękny pięknością inteligencyi, nie do przezwyciężenia pociągającą, która uderzyła Fryderykę za nadto niespodzianie (po kilku latach znajomości), aby mogła ukryć swój zachwyt. Czy on to widział w jéj zielonych oczach? Czy doznał nawzajem tego wstrząśnienia, jakie odczuwamy wobec bliskiego i zanadto żywego uczucia? Z początku bełkotał, lecz zatrzymał się nagle i wzruszony utkwił na nachylonéj królowéj, na jéj blado-złotych włosach spojrzenie długie, palące jak wyznanie... Fryderyka czuła jak ten płomień przebiegał po niéj niby słońce, bardziéj oślepiające i wzburzające niż rzeczywiste, ale nie miała siły odwrócić się. I kiedy Méraut przerażony tém,. co mu występowało na usta, porwał się od niéj nagle, jéj, przejętéj na wskróś tym człowiekiem i jego magnetyczną potęgą, zdawało się, że życie opuściło ją nagle; jakby moralnie omdlona, pozostała tam na ławce, nieruchoma, zwiędła. W ogrodzie słychać było tylko rozchodzący się szelest skrzydeł i atomów po nad woniejącemi wieńcami drzew i suchy trzask karabinka młodego księcia, którego strzelnica znajdowała się na końcu parku. Wśród

tego spokoju, królowa przyszła do siebie, najprzód wskutek odruchu gniewu i oburzenia. Czuła się dotkniętą, obrażoną tém spojrzeniem... Czy to podobna? Czy ona nie śniła... Ona, dumna Fryderyka, która w olśnieniu dworskich uczt pogardziła niegdyś tyloma hołdami u jéj nóg i to szlachetniejszemi, znakomitszemi, ona, która trzymała tak wysoko dumę swego serca, miałażby jéj zrzec się teraz dla tego człowieka nic nie znaczącego, dla tego dziecka ludu! Łzy dumy paliły ją w oczach. I w zamieszaniu myśli prorocze słowo Rosena brzęczało jéj w uszach: „Cygaństwo wygnania!...“ Lecz w miarę jak go obsypywała wzgardą, wspomnienie jego usług zaczęło ją napastować. Przypomniała sobie wzruszenie pierwszego spotkania się z nim, kiedy słuchając go, czuła, że do życia powraca. I wtedy pod wpływem niezwyciężonego napadu czułości i wdzięczności zamknęła oczy i oddała się z roskoszą myśli o tém wielkiém sercu, które, jak się jéj zdawało, biło dla niéj.“ Nagle usłyszała krzyk dziecka. Pobiegła na koniec parku. W oku dziecka perliły się krople krwi. „Méraut na kolanach przy niém krzyczał, załamując ręce: „To ja... to ja...“ Przechodził... Jego królewiczowska mość zażądała, aby spróbował broni, i w skutek fatalizmu, kula odbijając się od jakiegoś żelaza... Lecz królowa nie słuchała go. Nie mówiła nic, nie myślała nawet. Raniony zadrżał. „Żyje!“ zawołała z krzykiem radości. Wtedy podniósłszy głowę, dostrzegła przed sobą Méraut'a, którego bladość i przygnębienie zdawały się błagać ją o łaskę. Wspomnienie tego, co się stało na ławce, przyszło jéj na myśl i pomięszało z okropnym wypadkiem. Wściekłość porwała ją przeciwko temu człowiekowi, przeciwko niéj samėj... „Precz... Precz!... Niech cię nie widzę nigdy!...“ krzyczała, strasznie spoglądając. Była-to jéj miłość, którą wyznawała wobec wszystkich, aby się za nią ukarać, z niéj wyleczyć, miłość, którą jako obelgę rzuciła mu w twarz tém zuchwałém tykaniem.“

Wkrótce po tém Méraut leży umierający na swém biedném łóżku w hotelu. Szmer sukni i głosów dochodzi go przez drzwi. „Sądząc, że to jakaś sąsiadka przynosi mu jakiś napój na gorączkę, zamyka oczy; sen odsyła niewczesnych gości. Ale drobne niezdecydowane kroki zbliżają się po zimnéj podłodze pokoju. Słodki głosik szepcze: „Dzień dobry, panie Elizeuszu.“ Jego uczeń jest przed nim, bojaźliwy, cokolwiek podrośnięty i nie śmiało patrzący na swojego nauczyciela, zmienionego i tak bladego na tém biédnem łóżku. Tam, przy drzwiach, czeka kobiéta, wyprostowana i dumna pod swoją zasłoną. Przyszła, minęła pięć pięter, schody pełne rozpustnego hałasu, muskając niepokalaną suknią drzwi z kartkami: „Alicya... Klemencya...“ Lecz nie chciała, aby on umarł, nie widząc

swego małego Zara; i nie wchodząc sama, przesyła mu przebaczenie małą ręką dziecka. Tę rękę Elizeusz Méraut bierze, przyciska do ust; następnie zwrócony ku dostojnemu zjawisku, którego się domyśla na progu, z ostatnim tchem, ostatnim wysiłkiem życia, słowa, mówi po cichu i na wieki: „Niech żyje król!“ Lecz ten sentymentalizm nie razi tu już wcale. Jest on bowiem przygotowany a raczej poprzedzony takim *wyskokiem* melodramatyczności, że aby odczuć jego całą sztuczność potrzeba-by było przedtém przeoczyć całą grubość efektu sceny na balkonie:

— „Jeżeli nie spalisz—zawołała królowa—tego (zrzeczenia się tronu) coś podpisał, z przysięgą na krzyż, że nie rozpoczniesz nigdy już więcéj... koniec twojéj rasie... Żona... dziecko... tam, na tym peronie!...“ I w tych słowach, w tém piękném ciele wyciągniętém nad próżnią czuć było taką siłę rzutu, że król, przerażony, porwał się aby ją powstrzymać. Na krzyk ojca, pod dreszczem ramienia, które je trzymało, dziecko—zupełnie już zewnątrz, za oknem—sądziło, że to już koniec, że trzeba umierać. Nie pisnęło słowa, nie podniosło skargi ponieważ szło z matką. Małe tylko jego ręce czepiały się szyi królowéj, i przewróciwszy w tył głowę, z któréj spadały włosy ofiary, zamknął swe piękne oczy przed strachem upadku. Krystyan nie opierał się dłużéj... Ta rezygnacya, ta odwaga dziecka-króla, *zawczasu* do swego przyszłego zawodu *umiało* już to: *dobrze umrzéć!*... Serce biło mu wpiersiach.“ Tu było by miejsce zawołać z Daudet'em: „Obok króla z operetki, królowa z tragedyi!“ Ale Daudet zna życie powszednie. I po wylewach fantazyi, po błyśnięciu fałszywemi kolorami sentymentalizmu, po zanurzeniu w sercu czytelnika sztyletu melodramatycznego wymyślonéj historyi, umie ocalić obserwacyą z życia, która działa jak balsam na rany, jak tchnienie świeżego powietrza na zaczadzonych tlenkiem węgla, uratować dzieło lub scenę. To też kiedy „Fryderyka spaliła akt aż do końca swych palców i strząsnęła ze stołu czarne jego szczątki,“ Daudet otworzył nagle okno na naturę i duszącym się w czasie słów wpuścił odrobinę świeżego powietrza pod formą téj prostéj obserwacyi: „królowa odeszła, aby położyć spać syna, który w swéj bohaterskiéj postawie samobójcy zaczynał drzémać.“

Ale tych tchnień natury za mało! Giną one w wichrach fantazyi jak pyłki kwiatów w „dyabelskich tańcach“ piasku. Trzeba ich szukać, podkreślać, wyłączać i rozdymać do znaczenia charakterystycznego rysu. Same, o własnéj swéj sile, nie mogą się one ostać w potopie słów, który je zaléwa.

— „Pan jesteś okrutnym mieszczuchem—zawołała Felicya Ruys do Pawła Gery. Ale to mi się podoba w panu... zapewne w skutek

sprzeczności, gdyż będąc urodzona pod jakimś mostem, w jakimś porywie wiatru, lubiłam zawsze tylko natury stateczne i rozsądne.

— Oh! moje dziecko, pan Gery gotów by jeszcze uwierzyć, żeś istotnie urodziła się pod mostem! — przerwała poczciwa Crenmitz, która nie mogła się wznieść do pewnéj przesady w obrazach i brała wszystko dosłownie, co do litery.“

Ale w ten sposób Crenmitz, stara niemiecka baletnica, wyszłaby za zimno. Artysta musi być artystycznym w życiu i wyrażać sztukę o każdéj godzinie dnia, o każdéj porze i przy każdéj sposobności. Daudet więc nie pozwala czytelnikowi zostać pod wrażeniem ciasnoty umysłu staréj „czarodziejki“ i puszcza wodze fantazyi: „Ożywiona obiadem i światłem, Crenmitz przewrócona na krześle trzymała kieliszek Château-Yquem na wysokości swoich na wpół przymkniętych oczu; różowy czepiec i wstążki długie, odbijające się w złotém winie, dodawały jéj zapału i przypominały dawną bohaterkę kolacyjek po teatrze; Crenmitz z dobrych czasów, nie zuchwałą bynajmniéj na podobieństwo gwiazd naszéj dzisiejszéj opery, lecz bezświadomą i nurzającą się w przepychu, jak droga perła w swéj muszli. Felicya opowiadała jéj wielkie tryumfy w *Gizelli*, *Feri* i owacye publiczności, odwiedziny książąt w loży, podarek królowéj Amelii z cudnemi słowami. To wywołanie sławy upoiło biedną czarodziejkę: oczy jéj błyszczały i słychać było drżenie jéj małych nóżek pod stołem, jak gdyby opanowywał je szał taneczny... I w istocie, po obiedzie, kiedy powrócono do pracowni, Crenmitz zaczęła chodzić wzdłuż i wszerz, zarysowywać *pas*, piruety, wciąż rozmawiając, przerywając sobie dla zanucenia aryi z baletu, którą rytmowała poruszeniem głowy i następnie, nagle, zwinąwszy się, jednym skokiem była na drugim końcu pracowni. Było to zachwycające i czarujące. Na tle olbrzymiéj pracowni, zatopionéj w cieniu i oświeconéj prawie tylko po przez okrągłą szybę, w któréj księżyc wznosił się na jasném niebie, nocno-niebieskiém, prawdziwém niebie z opery, sylwetka sławnéj tancerki rysowała się biało, jak drobny cień leciutki, nieważki, latający więcéj po powietrzu niż skaczący; następnie wzniosłszy się na końce swych paluszków, trzymając się powietrza tylko wyciągniętemi rękoma, z twarzą zwróconą w postawie uciekającéj, gdzie nie było nic widać oprócz uśmiechu, szła naprzód żywo ku światłu, lub oddalała się w małych podskokach tak gwałtownych, że czekało się tylko rychło okno trzaśnie z lekkim szczękiem a ona wzniesie się tak, tyłem, po pochyłości wielkiego promienia księżyca, który ukośnie spływał do pracowni. A co dodawało jeszcze czaru szczególnéj poezyi temu fantastycznemu baletowi, to właśnie brak muzyki, jedynie szelest rytmu, którego potęgę podnosił pół-cień, szelest tego stąpania lekkiego,

zwinnego, i wcale nie silniejszego na podłodze niż opadanie listka po listku dalii... To trwało tak kilka minut. I wtedy ten mały, jasny cień zatrzymał się na kraju fotelu i został tam w pozie, gotów do rozpoczęcia na nowo, uśmiechnięty, dyszący, aż dopóki sen go nie ujął i nie zaczął kołysać nie niwecząc jednak pięknéj pozy, niby ważka na gałęzi wierzby zmoczonéj wodą i poruszanéj jéj prądem!“

Piękne-to zaprawdę i czarujące, ale zarazem jak śmieszne wobec téj staréj niemki, która „nie mogła się nigdy wznieść do egzageracyi obrazów“ i przestać myśleć o swoich wiedeńskich *küchlen.* Widoczny tu brak materyału z życia, brak gliny do lepienia całkowitych postaci, brak dostatecznéj ilości charakterystycznych rysów, które Daudet musi zastępować opisową poezyą lub rysami zastosowanemi do potrzeb powieści. I dlatego to u niego najlepiéj przedstawiają się osobistości drobne, prawie bez znaczenia, naumyślnie nierozwinięte, żyjące dla jednego słowa i przez to słowo, narysowane odrazu i pozostawione w szkicu. W pierwszéj chwili nie spostrzega się ani tych postaci, ani tych rysów; póżniéj dopiéro, jak po wielkiéj podróży, kiedy urwiste skały i bezdenne przepaści straciły coś ze swego romantycznego uroku, wychodzą one żywe, świetne i zdrowe, niby piękne łąki, barwne pola, lub tajemnicze widoki lasów, widziane gdzieś jakby we mgle pamięci, przygniecione ciężarem gwałtownych wrażeń, ale niełatwe do zapomnienia. „W tym czasie ktoś inny pokazał się w parku, mniéj czynny, mniéj hałaśliwy, raczéj wlokąc się niż idąc, opierając się o mury, o balustrady,—biedna istota zgięta, chwiejąca się, bezwładna, z twarzą zgasłą i bez wieku, nie mówiąca nigdy; a kiedy była zmęczona, wydawała z siebie lekki, żałosny krzyk na służącego, który, zawsze obok niéj, pomagał jéj usiąść, przykucnąć na jakim stopniu, gdzie pozostawała przez całe godziny, nieruchoma i milcząca, ze zwieszoną wargą, mrugając oczyma. Był to *pierworodny*, brat Nababa, ukochane dziecko ojca i matki Jansoulet, piękność, rozum, nadzieja rodziny gwoździarza, który poniósł wszelkie ofiary, aby wysłać do Paryża tego chłopca pełnego ambicyi. Paryż po dziesięciu latach odesłał go w tym stanie łachmana i szczątka, ogłupiałego, sparaliżowanego. Ojciec umarł ze smutku, a matka musiała wszystko sprzedać, aby go wyżywić.“ I kiedy w kilkadziesiąt stronic daléj, ktoś powie prostym językiem: „Przypominam sobie dobrze, że przy rogatce był szynk, zwany balem Jansoulet'a, z małym hotelikiem i pokojami po pięć soldów za godzinę, gdzie się przepędzało czas pomiędzy dwoma kontredansami...“, wtedy postać zjawia się cała, żywa swém obumarłem życiem, potężna wstrętem jaki wywołuje i wzbudzająca litość upadkiem. A jest wyraźna i silna, nie dlatego że ujemna wobec dodatnich, nik-

czemna wobec szlachetnych, chora wobec zdrowych, lub podła przy poetycznych, lecz że jéj rysu wziętego z natury nie psuje idealizująca ni wypełniająca fantazya autora. Ile razy bowiem Daudet w kilku słowach, niby kilkoma kréskami ołówka, może naszkicować postać, a może zawsze, ilekroć swych słusznych ale mało licznych obserwacyj nie nagina do potrzeb wielkiéj powieści, wtedy postać taka żyje i wraża się w pamięć, choćby to była tylko jakaś gąska pragnąca mieć „syna dla przechowania nazwiska (męża) i dwie córki.. aby je mogła ubierać jednakowo," lub téż jakaś mała mieszczaneczka dopuszczająca się wiarołomstwa dlatego że z królem i postanawiającą „nazwać swoje dziecko Wacławem, Witoldem lub Wilhelminą, jeżeliby to była córka, ale z pewnością imieniem zaczynającem się od *w*, ponieważ to litera arystokratyczna i ładna do wydziergania na bieliźnie."

Widocznie tu Daudet, jak w swych czarujących nowelach, nie potrzebował rozdymać źdźbła prawdy do wielkości kuli ziemskiéj; nie potrzebował swéj miopii ratować monoklem, swych obserwacyj z życia nadsztukowywać wyobraźnią poety.

2. Kompozytor.

Lecz w sztuce wszystko się trzyma. Jeden brak wywołuje drugi i tak następnie. Fałszywy rysunek zmusza do fałszywéj kompozycyi, a ta znowu do fałszywego koloru. Daudet dla swych postaci jednostronnych, niepełnych, przesadzonych lub, jeżeli prawdziwych, to wyjątkowo prawdziwych, potrzebuje gruntu niezwykłego, tak samo jak romantyczny rysownik dla swych teatralnie dramatycznych figur potrzebuje tła z burz morskich, urwistych skał, piekielnych czeluści, lub cmentarnych grobów. Ponieważ u niego są ludzie, którzy pokutują za grzechy innych, modlą się za dusze cudzych przyjaciół, kochają dla przyjemności drugich, poświęcają swe życie i szczęście dla ocalenia majątku swoich chlebodawców, lub chlebem oddają za kamień: aby więc usprawiedliwić ich usposobienia i charakter, potrzeba było typy oplątać w sztuczne nici wymyślonego dramatu, postawić w warunkach wyjątkowych, odpowiednich do ich wyjątkowych natur. Dla tego-to żadna z jego kompozycyj nie odznacza się prostotą budowy, żadna z jego powieści nie płynie biegiem życia, nie rozwija się w myśl wypadków, naturalnie i swobodnie, lecz porozrywana na epizody w swych wytycznych liniach kręci się i łamie, niby urwista droga wśród gór pokrajanych przypadkowemi przepaściami, rozpadlinami lub stokami hałaśliwych strumieni.

W życiu każdego człowieka można się doszukać dramatu, którego perypetye jednak, pomimo całéj swéj tragiczności w ich zawiązaniu lub fizyczném i moralném rozwiązaniu, nie mają nic zdumiewającego dla ścisłego obserwatora. Wszystko tam się odbywa, jak odbywać powinno w myśl determinizmu fizyo-psychologicznych praw i w porządku przepisanym przez samę naturę wypadków z rzeczywistego życia.

Daudet dla pokazania dramatu potrzebuje tysiącznych scen. W jednéj charakteryzuje ludzi, w drugiéj nagromadza wybuchowy materyał, w trzeciéj ustawia przeszkody, w czwartéj przygotowuje czytelnika do czegoś niespodziewanego, i tak daléj, aż póki wszystkie nici dramatu, niby płonące lonty nie zbiegną się w jedném miejscu, w jednéj scenie, i tam nie zapalą prochu zawczasu podłożonego przez autora dla olśnienia i wzruszenia czytelnika, o którym ciągle myśli. Jest to olśniewające i wzruszające, to prawda; ale wobec dramatu z życia, wobec psychologicznéj walki, jaka się odbywa w duszy każdego człowieka przy zetknięciu się jego ze światem zewnętrznym, jakże małemi wydają się te niespodzianki czysto literackiéj natury, gdzie wypadki naciągnięte są do potrzeb dramatu, życie zamienione na teatr. Przypadek, jakkolwiek grający wielką rolę w naturze, nie może być osią dramatu, czopem na którym się otwierają lub zamykają wierzeje ludzkiego życia, nie może losu człowieka zrobić zależnym od spadającéj mu na głowę dachówki, od spóźnienia się na pociąg lub udawienia ością. Co prawda, wypadki, jakiemi Daudet znaczy pochód swoich dramatów, mogły się zdarzyć w rzeczywistości, tak jak pod Hugonowskiem Waterloo mogła upaść jedna kropla deszczu za wiele; nie przeszkadza to jednak, aby rzeczywistość ta nie miała robić wrażenia czegoś niespodziewanego, nadzwyczajnego i zupełnie przypadkowego, tak tu jak i tam, tak w powieści jak i w życiu. Nauka nie dopuszcza przypadku, to jest zdarzenia wychodzącego z granic porządku naturalnego, dlaczegóż więc powieść, dlaczego sztuka miałaby się nim posługiwać bezkarnie dla malowania życia, dla charakteryzowania ludzi? Myśliciel nad tém pytaniem zastanawiać się nawet nie potrzebuje. Jest ono pytaniem, ale tylko dla artystów. Niechajże więc oni, wprowadzając do swoich utworów niespodziankę, coś niezwykłego, słowem, *przypadek*, starają się albo usprawiedliwić go całą seryą przyczyn i wtenczas będzie on tylko prostym wypadkiem nie robiącym sztucznego efektu, albo téż nie kłaść nań tak silnego nacisku, nie pozwolić mu grać tak wielkiéj roli w życiu człowieka i wtedy, jako zupełnie podrzędny szczegół, będzie on prawdziwym w dramacie ale bez specyalnego znaczenia, będzie robił wrażenie ale tylko w całości życia, jako jedna z ce-

giełek tego psychologicznego gmachu, który się przed oczami czytelnika wznosi lub zawala, nie zaś jako jego fundament, co już jeżeli nie zupełnie fałszywém, to przynajmniéj jest mało prawdopodobném. Daudet lubuje się w przypadkowości i miga nią jak chytry kolonista malowaném szkiełkiem przed oczami dzikiego. Paweł Gery kocha Alinę, przyjaciółkę Felicyi Ruys, która go kocha nawzajem. Aby się jednak oświadczyć tamtéj, potrzebuje dojrzéć pomiędzy liśćmi drzew bulońskiego lasku Felicyą w objęciach księcia Mora. Wyjeżdża i po roku podróży po Afryce wraca do swéj narzeczonéj. W hotelu, na granicy Francyi, nocuje. Śni. Zdawało mu się, że jest po ślubie z Aliną. „I nagle, wśród pocałunków i upojenia Alina posmutniała. Piękne jéj oczy przesłoniły się łzami. Mówiła do niego: „Felicya jest tam. . nie będziesz mnie już kochał.“ A on śmiał się: „Felicya tu?... Co za myśl.“ „Tak, tak... Ona jest tam!“ Drżąca, pokazywała na sąsiedni pokój, zkąd wychodziły zajadłe te szczekania i głos Felicyi: „Kadour, tu!... Kadour, tu!...“ głos nizki, skupiony, wściekły, jak gdyby kto się ukrył i nagle widzi się odkrytym. Zakochany, przebudziwszy się, z rozczarowaniem znalazł się sam w pustéj izbie; marzenie wyfrunęło przez okno. Lecz w sąsiedniéj izbie słychać było rzeczywiście szczekania psa i gwałtowne stukanie do drzwi. „Felicyo, otwórz!... To ja... Jenkins.“ Następuje spowiedź Jenkinsa: jego pozorne małżeństwo, śmierć księcia Mora, pigułki itd. „Paweł porwał się z przerażeniem. Miał-że przez wypadek stać się powiernikiem zbrodni? Lecz hańba usłyszenia więcéj nie była mu wymierzona!“

A takich rozczarowań, takich tajemnic zasłyszanych przez ścianę, takich niespodziewanych rozwiązań dramatu u Daudet‘a jest pełno.

Nabab postawił wszystko na jednę kartę. Zrujnowany życiem, dla odebrania milionów zatrzymanych przez beja tunetańskiego, musi zostać posłem do Izby francuzkiéj, musi szukać protekcyi Francyi. Wszystkie sposoby są dla niego dobre i w tém nie ma nic dziwnego. Ale Daudet biorąc ludzi niezwykłych, to jest usposobieniem, charakterem, majątkiem i urodzeniem nie właściwie należących do otoczenia w jakiem się obracają, z konieczności potrzebuje stawiać ich w okolicznościach sztucznych. Nabab więc, przywiedziony położeniem swem do rozpaczy, ucieka się, między innemi, po radę do swego nieprzyjaciela barona Hemerlingue. Ten obłudnie radzi mu przekupić znanego z uczciwości posła, który jest wydelegowany do zrobienia raportu, prawdopodobnie unieważniającego wybór Nababa.

— Kubany—mówi Hemerlingue—tak samo grają wielką rolę we Francyi jak i na Wschodzie, tylko tu nadaje im się więcéj pozo-

rów niż tam. Tak np. Merquier nie prawda?... zamiast dać mu pieniędzy, układa się z nim. On lubi obrazy.“ Rzecz była ukartowana z góry, i Merquier po przybyciu do niego Nababa mówi: „Kiedy pomyślę, że potrzebowełem dziesięciu lat na umeblowanie tych murów i że mi potrzeba zapełnić jeszcze całą tę ścianę...

— Drogi panie Merquier—rzekł dobrodusznie Nabab—właśnie mam u siebie madonnę Tintoreta rozmiarów pańskiéj ściany... Pozwól mi pan zawiesić ją tam, wprost stołu... To panu da sposobność myślenia o mnie czasem...

— I złagodzenia surowości mojego raportu, nie prawda, panie? krzyknął Merquier groźnie i wstając.—Widziałem dużo już bezwstydu w mojém życiu, ale nigdy czegoś temu podobnego... Taka propozycya mnie, u mnie?!... W mojéj osobie obrażasz pan całą Izbę. Nasi koledzy będą wiedzieć o tém dziś jeszcze; i to pana nauczy, że Paryż nie jest Wschodem i że tu nie prowadzi się haniebnego handlu ludzkiém sumieniem.“ Następnie wypędziwszy przekupnia ze świątyni, człowiek sprawiedliwy zbliżył się do tajemniczéj zielonéj kotary i rzekł słodziutkim głosem: „Czy dobrze tak, baronowo Maryo (Hemerlingue)?“ Lecz Nabab nie daje za wygraną. Idzie do Izby i broni swéj sprawy. Posłowie przebaczają mu przekupstwo, ponieważ wszyscy i zawsze kupowali głosy korsykanów. Pozostaje mu jeden szczegół z życia: oczyścić się z zarzutu utrzymywania publicznego domu pod firmą: *Bal Jansoulet'a*, a cała machinacya Hemerlingue'a i jego żony pójdzie w niwecz. „Powiedziano wam—kończy Nabab,—że nie jestem godzien zasiąść pomiędzy wami, panowie. I ten, który mógł mówić za mną, usprawiedliwić mnie, przekonać was, nie chciał tego zrobić. A więc ja, cokolwiekby to mnie kosztować miało, sprobuję... Haniebnie spotwarzony przed całym krajem, muszę dla siebie, dla swych dzieci, usprawiedliwić się publicznie.“ Gwałtownym ruchem zwrócił się w stronę trybuny, gdzie domyślał się swego nieprzyjaciela, i nagle zatrzymał się przerażony. Tam, wprost niego, z po-za nienawistnéj i bladéj głowy baronowéj Hemerlingue, matka, jego matka, o któréj sądził że jest o dwieście mil od téj strasznéj burzy, patrzyła, wyciągając do niego swą boską twarz zalaną łzami rozrzewnienia. Biedna wieśniaczka, znajdując się tam przypadkiem, nie rozumiała o co chodzi. „Mów!... mów!...“ krzyczano ze wszystkich stron Izby. Lecz Jansoulet nie mówił. A potrzeba mu było powiedzieć tylko: „Potwarz naumyślnie pomięszała dwa imiona! Ja nazywam się Bernard Jansoulet a tamten Ludwik.“ Ale tego było by za wiele w obecności matki, która nieznała hańby swojego *pierworodnego*“, i tym sposobem wskutek przypadku „wybór pana Jansoulet został unieważniony.“

Gdzie jednak sztuczność efektów pokazuje się najwyraźniéj, to w następnym zaraz rozdziale, kiedy wszystkie nici dramatu pękają od razu, jakby od jednego cięcia nożem. „Było to około piątéj godziny wieczorem. W téj chwili Bernard Jansoulet mijał sztachety, trzymając matkę pod rękę; lecz jakkolwiek przerażającym był dramat który się dopiéro co odegrał, ten go jeszcze przewyższał, bardziéj nagły, niespodziany, bez najmniejszéj formalności, dramat domowego życia.... Z téj strony schodziła pani Jenkins, przyśpieszonym krokiem, na wolę przypadku. Cóż za straszny upadek! Bogata przed pięciu minutami, otoczona powszechnym szacunkiem i zbytkiem wielkiéj egzystencyi, jako żona doktora. Obecnie nic, bo nawet dachu do spania, nawet imienia. Ulica. Gdzie iść? Czém zostać. Gdzie umrzéć? Wahała się, szukała. Po drodze markiz Monpavon, pozdrowił ją z daleka tym wielkim ukłonem kapelusza, tak drogim dla próżności kobiét. Ona odpowiedziała mu zgrabném „dzień dobry“ paryżanki, zaledwie wyrażoném przez nieuchwytne dla oka nachylenie kibici i uśmiech oczu; i nigdy, patrząc na tę wymianę światowych grzeczności, nikt nie byłby przypuścił, że ta sama złowroga myśl kierowała temi dwoma krokami skrzyżowanemi przez przypadek na drodze, a zmierzającemi do jednego celu. „Idę do kąpieli... Dyabelska Izba... haniebny kurz...“ i stary sybaryta myślał o zaśnięciu w wannie, jak „ten, tego... jak się nazywa... ps... ps... ps... i inne sławne osobistości ze starożytnéj historyi.“ I tak bezustanku powieść wije się pomiędzy temi wszystkiemi „nagle“. „niespodziewanie“, „w téj saméj chwili“, „dziwnym przypadkiem“, aż dopóki Jansoulet nie padł w apoplektycznym ataku na ręce swego przyjaciela, młodego Gery, który jakkolwiek u niego tylko w służbie, poświęcał mu jednak wszystko i siebie byle uratować miliony Nababa.

Rzecz to zresztą konieczna. Ponieważ u Daudet'a sceny nie są wymyślone dla zobrazowania życia, lecz dla uwydatnienia moralnych i fizycznych *tyków* jego postaci, potrzeba więc było wyjątkowość jednych dopełnić przez wyjątkowość drugich. I tak np. w Jacku: „Nazajutrz po napisaniu listu do matki Jack'a, dyrektor fabryki ze zdziwieniem ujrzał wchodzącą do niego panią Roudic.—„Przychodzę powiedziéć panu, że czeladnik nie jest winien. To nie on ukradł posąg mojéj pasierbicy.“—„A jednak są dowody.“—„Jakie dowody? Najbardziéj obwiniający ze wszystkich jest ten, że męża mojego nie było a Jack został się sam z nami w domu. A zatém, panie, ten to właśnie dowód przychodzę zniszczyć. Téj nocy u nas był ktoś inny aniżeli Jack.“—„Ktoś inny! Nantais?“—„Tak, Nantais...“—„Więc to Nantais zabrał pieniądze?“—„Nie!... To ja, aby mu je dać. Żądał ich tylko na dwa dni, i czekałam cały ten czas wobec rozpaczy mojego męża,

łez Zenaidy, i strasznéj obawy o skazanie niewinnego... Co za męka!... Nie przychodził. Wtedy to napisałam: Jeżeli jutro o jedenastéj nic nie otrzymam, oskarżę ciebie i siebie... I oto jestem przed panem.“ Tym sposobem Jack został ocalony. Ale nie jemu-to gwiazda szczęścia miała przyświecać w życiu! Urodzony z niewiadomego ojca, wychowany w szkole prywatnéj jakiegoś spekulanta, który na profesorów zebrał wyłącznie tylko chybionych specyalistów wszelkiego zawodu, Jack przez nowego kochanka swojéj matki został oddany do fabryki maszyn a ztąd następnie na okręt jako palacz. Złamany pracą nad siły i pijaństwem, ten reprezentant złéj woli ludzi przychodzi do doktora Rivals, dawnego sąsiada swojéj matki, i tam, przy nim i przy jego wnuczce, pod wpływem wspomnień dzieciństwa staje się napowrót człowiekiem. Wychowanie ani otoczenie nie zdołały zniweczyć pięknéj natury chłopca. Jak perła podjęta ze śmietnika, został on czystym po dziesięciu latach zgubnych wpływów świata, w którym się obracał, i to naprzekór pesymistom dowodzącym, że złe wychowanie i złe otoczenie muszą zabić najlepszą, najszlachetniejszą nawet naturę. Lecz Daudet nie tworzy przeciętnego życia, ani przeciętnych ludzi. Jemu potrzeba wyjątkowych charakterów i wyjątkowych scen. Jack dzieckiem kochał Cecylią. Zawstydzony jednak swoim upadkiem, jako dwudziestokilkoletni młodzieniec chce ją porzucić, chce dom doktora opuścić na zawsze. Lecz doktór zna na niego sposób i sam pierwszy proponuje mu ożenienie się z Cecylią. „Czegóż więc płaczesz? Twoje sprawy nie idą tak źle jeszcze, skoro to ja pierwszy mówię ci o tém...“ „Oh! panie Rivals, czy to podobna? nędzny robotnik jak ja!...“ „Pracuj abyś nim nie był.“ „Lecz to nie wszystko... nie wszystko. Pan nie wiesz najstraszniejszéj rzeczy. Ja jestem... jestem...“ „Tak; jesteś bękartem—powiedział doktór spokojnie... Otóż i ona także... jest bękartem, i jeszcze coś straszniejszego. Przybliż się moje dziecko i słuchaj: Pewnego wieczoru drzwi się otwierają i moja córka wchodzi. Nie była to już owa piękna, młoda kobiéta, która wyjechała miesiąc temu, ale biedne dziecko, schudzone, blade, okryte lichą sukienką, z podróżną torebką w ręku, z miną nędzną, wystraszoną i szaloną. „Ah! mój Boże, co ci się stało? Gdzie Nadine? Na litość, moje dziecko, mów gdzie twój mąż?“ „Nie mam męża.. nie mam już... nie miałam go nigdy.“ I natychmiast, pocichu, nie patrząc na mnie, zaczęła opowiadać mi swoję straszną historyą: On nie był hrabią, nie nazywał się Nadine. Był to małoruski żyd nazwiskiem Roesch, nędzny awanturnik, jeden z tych ludzi, którzy oddają się wszelkim zawodom, nie umiejąc utrzymać żadnego. Był żonaty w Rydze, żonaty w Petersburgu. Wszystkie papiery fałszywe, sfabrykowane przez niego. Dochody zawdzięczał swojéj

zręczności w podrabianiu papierów banku rosyjskiego. Przytrzymano go w Turynie. Moja droga córka, sama w tém nieznaném mieście, została przemocą oddzielona od męża, dowiadując się przy tém, że był dwużeńcą i fałszerzem: nędznik przyznał się do wszystkich zbrodni. Lecz nie znałem wtedy jeszcze w całości mojego nieszczęścia. Córka nie powierzyła mi swojego sekretu: z tego kłamliwego nielegalnego, hańbiącego związku miało narodzić się dziecko." Dla uzupełnienia téj romantycznéj historyi, tak mało mającéj wspólnego z prawdziwą raną społeczeństwa, z prawdziwém nieszczęściem uwiedzionych kobiét, potrzeba jeszcze dodać, że Magdalena nie przeżyła swojéj hańby i umarła zaraz w kilka dni po urodzeniu małéj Cecylii. „I kiedy pomyślę—mówi daléj doktór—że przeznaczenie tak przypadkiem dosięgło tego małego kącika, starannie ukrytego za płotami i olszowym lasem, to mi się przypominają owe zbłąkane kule, które w czasie bitwy zabijają rolnika na skraju pola lub dziecko powracające ze szkoły." Świetne porównanie, które jednak należałoby obrócić przeciwko Daudet'owi, jako filozofowi życia. Jest-że bowiem racya, wobec setek tysięcy trupów, gnijących na polu bitwy, myśléć o rolniku zabitym na skraju pola? Jest-że racya wobec setek tysięcy bękartów, wobec setek tysięcy haniebnie uwiedzionych dziewczyn, myśléć i płakać nad historyą Magdaleny? Czyż wojna nie przedstawia gorszych, fatalnych, nieuniknionych a naturalnych nieszczęść? czyż donżuanizm prosty, niewymyślony, a codzienny, nie przedstawia większego interesu, niż oba powyższe wyjątkowe przypadki? Doprawdy, aby zajmować się na seryo tego rodzaju złém, potrzeba mieć nieczułe serce na zło powszednie, aby szukać rany jakiegoś specyalnego przypadku, trzeba nie mieć chyba oczu na rany, toczące całe społeczeństwo, na rany wszystkim narodom wspólne, całą ludzkość obchodzące. Co jednak najdziwniejsza, to że nie tylko Magdalena, jéj matka i sługi, ale nawet doktór Rivals i sam Daudet niewinną Magdalenę uważają za zhańbioną, jakkolwiek jéj łoże, zanim do niego wszedł ów dwużeńca i fałszerz, podesłane zostało całemi ryzami prawnych formalności. Lecz tego jeszcze nie dosyć. Cecylia cofa przyrzeczenie dane Jack'owi. Czy może przestała go kochać? Może kocha innego? Bynajmniéj. To byłoby za zwyczajne, za powszednie. „Więc dlaczego? wytłomacz mi to, moje dziecko." „Nie chciałam przyznać się do hańby mojéj matki, a sumienie kazałoby mi powiedzieć wszystko temu, który miał zostać moim mężem. Kocham go całą moją duszą i myślę, że on kochał mnie dosyć, aby nie zerwać małżeństwa; lecz do mnie należało oszczędzić mu tego poświęcenia." I jak Ugolin, który zjada swoje dzieci dla uratowania im ojca, tak samo Cecylia, dla pokazania Jack'owi swéj głębokiéj miłości, nie chce

zostać jego żoną: Jack umiera w szpitalu, aby na łożu śmierci dopiéro usłyszéć, że ona „nie kochała nigdy innego.“

I tak ciągle, we wszystkich scenach, we wszystkich powieściach, które w ich budowie, gdyby chodziło o porównanie, należałoby nazwać plotkami, artystycznym językiem podniesionemi do godności sztuki. Daudet bowiem maluje z natury: dzienniki i paryzkie towarzystwo upominają się o większą część jego postaci, o większą część scen przeniesionych wprost z życia do książki; ale obrabia on naturę, jak kobiéty swoich przyjaciół: przez nieumiejętność i niechęć wejścia w szczegóły wyjaśniające, nadają one, tak dobrze jak on, ludziom pozór istot niezwykłych, a scenom pozór skandalicznych plotek, obchodzących tylko małe koło znajomych lub przyjaciół. Życie wielkie na jego obserwacyach zyskuje nie wiele, ponieważ on zajmuje się tylko małém, zamkniętém w granicach szczególnych przypadków i ułożoném dla interesu czytelników, zawczasu już świadomych sprawy, świadomych życia Jansoulet'a (Nababa), księcia Mora (duc de Morny), Krystyana II-go (François d'Assiz) i tylu innych, których skandalicznemi awanturami Figaro, dla uciechy żądnéj plotek gawiedzi, codzień wyciera sobie zęby.

3. Myśliciel i stylista.

Zadawalniając się w psychologii swoich bohaterów jednym rysem, z którego snuje cały charakter człowieka, Daudet tak samo i w malowaniu życia zadawalnia się jednym jego objawem i z niego o całości wnioskuje lub innym wnioskować pozwala. Życie, „współczesne obyczaje,“ „współczesna historya,“ istnieją dla niego tylko w pojedyńczych wypadkach. Nic w powszednich warunkach, nikt w swojém otoczeniu. Wszystko, co go zajmuje w życiu, nosi na sobie wyraźne znamię wyjątkowości; wszystkie zagadki wzięte są ze strony, która może bawić i wzruszać, ale nigdy uczyć lub dawać do myślenia.

Opisuje życie, obyczaje i los robotnika, który nie jest robotnikiem wcale. Jack przez swe wychowanie i podwójne otoczenie, w warsztacie i w salonie, nie należy ani do kategoryi robotników, ani studentów. Jest to osobistość wyjątkowa, któréj życie pełne przygód, nieszczęść, zawodów i szlachetnych porywów, w niczem się nie łączy z życiem jakiejkolwiek klasy ludzi.

Pokazuje szkołę, która nie jest szkołą. I jakkolwiek wyraźnie zgubne są skutki powierzania umysłów dzieci człowiekowi i ludziom, którzy o nauczaniu nie mają najmniejszego wyobrażenia, to jednakże

los uczniów znajdujących się w szkole, gdzie wszyscy profesorowie są bankrutami innych niż nauczycielstwo profesyj, musi być obojętnym dla tych, którzy zajmują się pedagogiką w ścisłém znaczeniu tego wyrazu. Pisać o pensyonacie założonym przez spekulanta dla spekulowania na głupocie cudzoziemców, przyjeżdżających do Paryża ze wszystkich stron świata, to uciekać przed wielką zagadką dzisiejszéj szkoły i jéj zgubnego programu, tak samo jak pisać o życiu i obyczajach królów złożonych z tronu, walających się po ściekach paryskiéj rozpusty, to uciekać przed ideą rojalizmu, przed złą czy dobrą potęgą władzy uważanéj za otrzymaną od Boga, to chować się za plecami śmieszności, aby nie mówić o rzeczach poważnych, to wykręcać się drobiazgiem przed zaciężkim trudem pracy nad stanem cywilizacyi i moralności wieku XIX. Ale co prawda, tego rodzaju sytuacye nadają się łatwo do humorystyki pełnéj tonu serdecznego a nieobowiązującego do żadnych wniosków. I dlatego to Daudet, poruszając wielkie zagadki życia, nie kompromituje nigdy swoich przekonań, nie wprowadza nigdzie swojéj socyalnéj lub filozoficznéj doktryny. A nie wyraża się on o życiu w ten lub ów sposób, dlatego aby życie dla niego nie miało być ani dobrém ani złém, lecz że przy swojém ciągłém przemykaniu się po wierzchu wyjątkowych, specyalnych zagadek, nie maluje życia, nie charakteryzuje epoki. Nie jest to zatém ani obserwator ścisły, spokojny i chłodny, który z nagromadzonych spostrzeżeń pozwala czytelnikowi wyprowadzić takie wnioski, jakie mu się podoba, ani też doktrynerski umysł, który stara się pokazać świat i życie w pewném specyalném oświetleniu jednéj, przewodniéj idei. Natura obdarzyła go bujną wyobraźnią, nerwami wrażliwemi na piękno i brzydotę, na dobro i zło; manifestuje więc on swoje wrażenia i puszcza wodze fantazyi przy każdéj sposobności, choćby nawet forma powieści, forma obrazu z realnego życia cierpieć na tém miała. Schłonięty w potrzebie wypowiadania się z własną poetyczną duszą, nie ma czasu na pogłębianie cudzéj, nie ma cierpliwości na przedmiotową charakterystykę świata i ludzi, nie ma wytrwania w przyglądaniu się szczegółom, aby z nich wydostać prawdę, całość życia zestawić z jego kawałków. Powieściom jego nie brak głębokich myśli, ale leżą one tam rozrzucone, bezładnie, przygniecione stosami słów, często niejasne, zawsze niedokończone.

— „Najjaśniejszy panie, będziesz kiedyś królem... musisz więc dowiedzieć się co to jest król... Słuchaj mnie tedy, patrz na mnie, a co moje usta nie wyrażą dość jasno, zrozumiesz po uszanowaniu w moich oczach.—I wtedy Méraut pochylony nad tą małą inteligencyą, za pomocą słów i obrazów dla niéj właściwych, tłómaczył dogmat boskiego prawa, misyą królów na ziemi, pomiędzy ludami

a Bogiem, przeciążonych obowiązkami i odpowiedzialnością, jakich inni ludzie nie mają a które od ich dzieciństwa już są na nich włożone. Królowa wsłuchiwała się z roskosznėm zdumieniem w to słowo, na które próżno czekała lata całe, które odpowiadało jéj najtajniejszym myślom, wyzywało je, wstrząsało niemi... Tak długo marzyła sama! Tylu rzeczom, których nie umiałaby powiedziéć, Elizeusz dawał formułę. Najbardziéj nawet ogólnikowe jéj przeczucia o téj wielkiéj idei królewskości nabierały ciała i przedstawiały się od razu, wspaniale a poprostu, ponieważ dziecko, małe dziecko, mogło prawie je zrozumieć.“ Lecz na próżno czekać tego słowa o misyi królów, o wielkości idei, tego słowa nadającego ciało najbardziéj ogólnikowym przeczuciem królewskości. Daudet ogólnik podjął z ziemi po drodze i zostawił go w pięknéj formie ogólnika, nie przypuszczając nawet, że puste pojęcie nie da się zapłodnić słowami pustego entuzyazmu, zwłaszcza jeżeli się nie wchodzi w szczegóły idei. Napróżno zatém woła daléj: „I ten to plebejusz, ten syn tkacza—którego ona znała historyą—podjął zagubioną tradycyą, przechował relikwie i święty ogień, którego płomień, widoczny w téj chwili na jego czole, udzielał się w żarze słów. Ah! gdyby Krystyan był takim!“ Zmarnowany zapał! czytelnik nie może być bardziéj przekonanym po przemowie Elizeusza jak i przed nią, ponieważ właśnie nie wie, jakim ma być ów Krystyan. A przy tém Daudet nie ma cierpliwości w przeprowadzeniu charakterystyki do końca. „Czyż to królewski syn—mówi markiza Silvis — potrzebuje być wypchanym łaciną i greką jak słownik?... Nie, nie, ta edukacya wymaga specyalnych wiadomości, i ja je miałam. Byłam gotowa. Opracowałam traktat księdza Diguet o *Wychowywaniu książąt*. Umiem na pamięć rozmaite sposoby, jakie on wskazuje dla poznania ludzi i usunięcia pochlebców. Pierwszych jest sześć a drugich liczą siedem, jak następują w porządku...“ Lecz tu charakterystyka się urywa, ani słowa więcéj, jak gdyby obserwator obawiał się zajrzeć jeszcze głębiéj w duszę ludzką i znaleść tam głupotę skończoną. Woli więc zostawić obserwacyą w stanie wesołego dowcipu i pędzić daléj w roskoszną krainę wyobraźni. „Człowiek, który czytał Proudhon’a,“ może się pokazać sto razy w powieści, a Daudet nie pomyśli czy nie należałoby raz przecie kazać przemówić owemu „człowiekowi,“ choćby dla pokazania, jak na nieuprawnym umyśle przyjmują się ziarna niezrozumiałéj dla niego filozofii. Czasem myśl głębsza, jak np. że „rzeczy istnieją tylko przez oczy, które na nie patrzą,“ wysunie się z potoku słów, ale rzucona tak od niechcenia, z takim domowém, artystycznėm zaniedbaniem, że aby ją podjąć, trzeba się umyślnie schylić. A przy tém ciągłe opuszczanie realnego gruntu

i wzlot ku czarującym strefom poezyi. „Panna Afchin (żona Nababa) lubiła teatr, zwłaszcza farsy i melodramaty. Apatya grubego jéj ciała ożywiała się przy sztuczném świetle kinkietów. Najchętniéj jednak chodziła do teatru Cardaillhaca, subwencyonowanego przez Nababa. Lecz téj małpie Cardaillhacowi to nie wystarczało: widząc namiętność panny Afchin do teatru, zdołał wmówić w nią intuicyą i naukę, i zażądał, aby w wolnych chwilach zechciała rzucić okiem sędziego na sztuki, jakie mu przysyłano. Biedne rękopismy o niebieskiéj lub żółtéj okładce, które nadzieja obwiązała w cienkie wstążeczki, odchodzicie wydęte ambicyami i marzeniami, a kto wie jakie ręce was otwierają, przerzucają, jakie palce niedyskretne odbierają wam czar, ten świecący pył, który na sobie nosi każda świeża myśl? Kto was sądzi? Kto was skazuje?...“ i tak daléj bez końca, przy każdéj sposobności, albo raczéj w każdéj chwili, kiedy nić obserwacyi urwała się nagle w pamięci i potrzebuje sztukować się poetycznym wątkiem wyobraźni. A jak dalece ta wyobraźnia zastępuje u niego i dopełnia obserwacyą, najlepiéj widać w opisie *Zakładu Bethleemskiego*. Jest to szpital dla dzieci, stworzony pieniędzmi Nababa dla reklamy d-ra Jenkinsa i jak wszystkie instytucye, brane pod uwagę przez Daudet'a, na wskroś wyjątkowy. „Wyborne samo w sobie, dzieło Jenkinsa w zastosowaniu było nadzwyczajnie zawiłe, prawie niepraktyczne. Bóg jednak wié, że nie pożałowano gorliwości w najdrobniejszych nawet szczegółach. Na czele stał jeden z najzręczniejszych lekarzy, obok niego zaufana kobiéta, pani Polge; potém służące, szwaczki i siostry miłosierdzia. Nareszcie wspaniałe kozy, kozy z Tybetu, welniste, wydęte mlékiem. Wszystko, jako organizacya, było cudowne; instytucya jednak chromała na pewnym punkcie. To sztuczne karmienie, tyle sławione przez reklamę, nie podobało sią dzieciom. Był to dziwny upór, hasło jakie sobie dały oczami biedne kociaki, gdyż nie mówiły jeszcze, a największa z nich część nawet nie miała nigdy mówić. „Jeżeli chcecie, nie będziemy ssać kóz.“ I nie ssały, wolały raczéj umierać jedno po drugiem niż je ssać. Czyż to Jezus z Betleem w swojéj stajni był karmiony przez kozę? Czyż nie przyciskał się, przeciwnie, do pełnego i łagodnego łona kobiéty, na którém zasypiał, kiedy nie miał już pragnienia? Któż-to widział kozę pomiędzy legendowym wołem i osłem owéj nocy, kiedy zwierzęta mówiły? Diaczegóż więc kłamać, dlaczego nazywać to *Zakładem Bethleemskim?...*“ I czytając te pełne rzewnéj poezyi słowa, można-by prawie uwierzyć, że szpital Jenkinsa wydał tak zgubne rezultaty jedynie tylko dla tego, że Jezus nie ssał kozy, że w Betleem koza nie stała pomiędzy wołem a osłem. A tym czarodziejskim językiem wyobraźni Daudet posługuje się aż do znużenia i to nawet tam, gdzie nikt-by tego

się nie spodziewał. Jack po kilku latach ciężkiéj pracy, złego towarzystwa i bezustannego pijaństwa przy kotle parowéj maszyny, powraca po Aulnettes. „Ani tchnienia w powietrzu, lecz pełno śpiewu ptaków, trzeszczenia w spadłych na ziemię liściach i zapach dojrzałości, suchego siana, dostałych owoców. Ścieżki w lesie, zaledwie oświecone, zasiane żółtemi kwiatami, biegły ku polankom. Jack poznawał je wszystkie. Stawiając na nich nogę, odbierał w posiadanie lata swego dzieciństwa, szczęśliwe, nie do zapomnienia, gdzie pomimo smutków swojéj fałszywéj pozycyi czuł, jak jego istota wypogadzała się w dobréj, swobodnéj naturze. Zdawało się, że ona go także poznaje, wzywa do siebie, podejmuje. W swéj duszy rozczulonéj wszystkiemi wspomnieniami, Jack słyszał pocieszający, słodki głos: Pójdź do mnie, biedne dziecię, pójdź do mego serca o powolném i łagodném biciu. Obejmę cię, będę cię pielęgnować. Mam balsamy na twoje rany, a ten, kto ich szuka, jest już wyleczony...“ I ta poezya, którą Daudet ma ciągle na ustach, którą opromienia ludzi i rzeczy, jak gdyby one nie mogły się ostać o swojéj własnéj, przedmiotowéj piękności, obciąża bezpotrzebnie powieść, rozrywa jéj naturalny bieg, odejmuje jéj siłę. A siły jego powieściom brak już nie tylko wskutek niezbyt licznych obserwacyj z życia, ale także i wskutek zewnętrznéj formy, jaką im nadał przez swój pańsko-artystyczny smak i zawsze jednakowo piękny język.

Daudet urodził się na południu Francyi w mieście Nîmes (1840). Po niezupełném ukończeniu liceum w Lionie, przyjechał bez grosza do Paryża, gdzie o chłodzie i głodzie pisywał ulotne wierszyki pełne namiętności, wonnéj poezyi, ciepła i czaru w słowach, ale nie przynoszące do ust nic, a przynajmniéj nie wiele Książę Morny, który udawał zamiłowanie do sztuk i nauk, kazał sobie przedstawić młodego poetę i, dowiedziawszy się o jego biédzie, zaproponował mu posadę sekretarza w swoim gabinecie. Daudet zawahał się z przyjęciem. W spuściźnie po swoich rodzicach odziedziczył ich legitymizm; jako legitymista więc nie chciał się zaprzedać cesarstwu.

— Bądź pan spokojny - odpowiedział książę Morny żartobliwie.—Cesarzowa jest więcéj jeszcze legitymistką niż pan.

Daudet przyjął urząd i odtąd przez całe pięć lat zakreślał dla *legimistycznéj cesarzowéj* „to co było dobrego i zabawnego w nowych książkach.“ Dzięki szczodrobliwości księcia Morny jeździł po Francyi, był nawet w Algierze, co się nazywało podróżowaniem, i pisał, pewien swéj przyszłości, a co ważniejsza pewien zbytu na swe prace. Pobyt jednak tego poety z urodzenia a legitymisty z wychowania na

dworze cesarzowéj nie musiał być bez wpływu na naturę jego talentu. Daudet bowiem, czy to wskutek pięcioletniego „zakreślania w książkach co było dobrego i zabawnego dla cesarzowéj,“ czy téż przez przyzwyczajenie się do świata skromnéj w słowach arystokracyi, nauczył się pamiętać, że pisze nie dla miłości prawdy lecz dla pewnego rodzaju czytelników. Jest on poetą i pisarzem dla kobiét z przedmieścia *Saint-Germain*. Trzymając jego książki, jest się zakłopotanym grubością swoich własnych rąk, niewłaściwością dotykania rzeczy, które powinnyby się znajdować tylko w delikatnych palcach dobrze wychowanych panien, tyle tam niedopowiedzianych myśli, tyle przemilczanych uwag, tyle obserwacyj spowitych w koronki i tiule pańskiego języka. I kiedy w jego ludziach przebudzi się zwierzę, nawet wtenczas Daudet nie zapomina swojéj roli pisarza dla wykwintnych czytelników. Sephora, przerachowawszy się w planach na króla Krystyana, w całym słowniku paryskiego żargonu nie znajduje innego wyrazu nad *Jobard*,—coś co po polsku dałoby się zastąpić przez dudek i ma z jednéj strony charakteryzować jéj nizkie pochodzenie, z drugiéj zaś wyrazić całą rozpacz i wściekłość kobiéty, zawiedzionéj w rachubie na miliony, oburzonéj na siebie samę za zdradzenie męża dla człowieka, który tego nie był wart ani moralnie ani materyalnie. Ludzie u niego mogą się porwać do pięści, ale nigdy zapomnieć w słowach. Nabab swego oszczercę, który go zniesławił publicznie w pismach i tym sposobem pozbawił prawa zostania członkiem Izby, porwał „za kark jak królika i nie zważając na jego protestacye, na jego przerażone bełkotanie, wycierając mu twarz dziennikiem, wołał: „Tak, tak, ja ci dam satysfakcyą... Ale przed tém zrobię ci to, co się robi paskudnym zwierzętom, aby nie powracały więcéj...“ Brutalne słowo prawdy dla niego nie istnieje nigdy, choć go nawet potrzebuje czasem dla charakterystyki. I przez to jego ludzie nie tylko w tak dramatycznych chwilach jak poprzednie, gdzie wyraz miał przeciwważyć całe życie, ale nawet w potocznéj mowie odznaczają się poprawną, jakby wyuczoną retoryką. Woźny z jakiegoś biura pisze swój pamiętnik ze swobodą literata, człowieka przyzwyczajonego do myślenia z piórem w ręku, a służba ucztująca pod nieobecność panów przemawia językiem tak wykwintnym i tak odrazu dobierającym się do złośliwéj krytyki życia jéj chlebodawców, jak gdyby jéj rolą nie było milczéć. Dlatego téż Daudet jest wyraźnym i silnym tylko tam, gdzie ludzie występują w białych krawatach, gdzie zetknięcie się z życiem nie zostawia brudnych plam na glansowanych rękawiczkach, których nigdy się nie zdejmuje. Królowa przyprowadzona do ostatniéj rozpaczy, chce zastawić drogie ka-

mienie ze swéj korony. Méraut powraca i mówi: Ach! pani... wszystkie kamienie fałszywe...

— Fałszywe?!...

— I starannie naśladowane... Ale jak kiedy? przez kogo?... więc w domu jest jakiś zbrodzień!

Na to słowo zbrodzień królowa zbladła strasznie. Nagle, ze ściśniętemi rękami, z błyskiem gniewu i rozpaczy w oczach rzekła: „To prawda. Jest tu zbrodzień... I pan i ja, znamy go dobrze...“ Następnie, w gorączkowym ruchu schwyciwszy gwałtownie dłoń Méraut'a, jak gdyby dla umowy dodała: „Ale nie oskarżymy go nigdy, nie prawda?

— Nigdy! odrzekł odwracając oczy, gdyż zrozumieli się od jednego słowa.

I ta wstrzemięźliwość, to nie wskazywanie palcem na zbrodniarza, to porozumienie się półsłówkami, jest tu niezmiernie silne, bo na swojém miejscu. Daudet był tu w swoim żywiole: mógł pisać tak jak ci ludzie, ten świat mówi, mógł dotykać się życia nie zdejmując rękawiczek, mógł chłostać skórę, która się czerwienić umie za najlżejszym razem jego pięknej rózgi. Kiedy-indziéj bywa nawet złośliwym, co nie jest bynajmniéj znamieniem jego dowcipu. W akademii ma być przyznaną nagroda baronowi Rosen za jego *Pamiętnik oblężenia Raguzy.* Jeden z akademików wymawia sakramentalny frazes: Posiedzenie otwarte. „Był to model akademickiéj mowy, napisanéj w akademickim stylu, z owemi „nieco“, owemi „że tak powiem“, które co chwila zwracają myśl w tył, jak dewotka, która zapomniała grzechów przy spowiedzi, styl ozdobiony arabeskami, parafami, mistrzowskiemi dotknięciami pióra w pisaniu biegle pomiędzy frazesami dla zamaskowania, dla zaokrąglenia ich próżni, styl wreszcie którego należy się wyuczyć i który wszyscy tu na siebie wdziewają razem z frakami o zielonych palmach. W innych okolicznościach, publiczność zwyczajna tego miejsca byłaby się zanosiła wobec tego kazania: słyszelibyście ją jak parska i rży z radości. Ale dziś wszystkim pilno, ponieważ nikt nie przyszedł na tę literacką uroczystość. Trzeba widzieć, z jaką miną pogardliwego znudzenia arystokratyczne to zgromadzenie asystuje temu przeglądowi (nagroda Montyon) skromnych poświęceń, wypróbowanych wierności, egzystencyj ukrytych, zgiętych we dwoje, które przesuwają się w téj przestarzałéj, drobiazgowéj frazeologii jak w ciasnych, wytaflowanych i nieopalonych korytarzach na prowincyi gdzie się rozwinęły. Imiona gminne, sutanny wytarte, stare koszule pożółkłe na słońcu i w wodzie, zakątki oddalonych wiosek, nizkie mury lepione krowim gnojem, wszystko to czu-

ło się zawstydzoném, nie dobrze w tém wywoływaniu z tak daleka, wśród tego pięknego świata, pod zimném światłem Instytutu, niedyskretném jak szkło fotografa. Szlachetne towarzystwo dziwi się, że jest tyle ludzi pomiędzy pospólstwem... Jeszcze?... Jeszcze?... Więc nie skończyli cierpieć, poświęcać się, być bohaterskimi!... Kluby nazywają to ogłupiającém. Nuda perli się na czołach, transpiruje aż pod stiuki muru. Mówca zaczyna domyślać się, że nuży i pośpiesza z przeglądem.“ Nie można więc powiedziéć, aby Daudet nie znał życia i nie umiał go pokazać. Przeciwnie! wie on dobrze, gdzie nędza i zgnilizna moralna, gdzie rak toczący zdrowe łono społeczeństwa, gdzie śmieszność i brzydota, wie gdzie rękę położyć; aby dostać się do miny. Ale... nigdy nie w stanie natury, nigdy surowe! Jak tylko schwyci rudę życiowego kruszcu, natychmiast przetapia ją w ogniu swojéj wyobraźni i ozdobiwszy kwiatami płynnego stylu, oddaje ją w formie poetyckiego klejnotu. Miłość czy nienawiść, cnota czy występek, otwartość czy podstęp, szlachetność ludzka czy głupota, wielkość natury czy też jéj małość, wszystko to musi przerobić się, przeistoczyć na czysto daudetowskie, indywidualne uczucia i nie cieszyć ani smucić, nie zapalać do życia ani zniechęcać, nie podnosić czytelnika ani pognębiać, ale jedynie tylko czarować pięknością formy, pięknością sposobów literackiego przedstawienia rzeczy w słowach. I właściwie mówiąc, tu byłoby miejsce na rozwinięcie scholastycznéj teoryi o treści i formie w sztuce, tak język Daudet'a jest czemś samoistném, samoistnie po za potrzebami sztuki pięknem, czemś niezależném od treści, od przedstawianego w słowach przedmiotu.

„Daudet—jak mówi jego biograf,—ułożywszy powieść w rozdziały, pisze, kiedy jest w dobrém usposobieniu, każdy rozdział *à la diable*, w kajecie na odwrotnéj stronie kartki. Strona z przodu zostaje białą. Po skończeniu rozdziału przegląda go do współki z czarującą (styl czysto-francuzki) panią Daudet i przepisuje na stronie z przodu. Wtedy dopiéro z tych dwu tekstów powstaje trzeci i to jeszcze poprzekreślany miejscami.“ To opracowywanie życia dla kobiét i do współki z kobietą nie może miéć innych zalet nad potoczystość języka i wycacanie myśli choćby nawet najbardziéj zdumiewających w gruncie rzeczy. To też ile razy otworzy się gdzieś przypadkiem krater namiętności, ile razy usta konwulsyjném drgnieniem szarpną się do złośliwego uśmiechu, ile razy niebaczna pierś wyrzuci krzyk bólu, oburzenia lub rozpaczy, pióro poety wiedzione aksamitną ręką kobiéty natychmiast figowym liściem stylu przykrywa nagość życia, pyłem kwiatów wyobraźni przesypuje rany, zaduch realnego po-

wietrza okadza wonią szlachetnych apostrof do czułego serca czytelniczek, a nędzę, nikczemność lub głupotę ludzką przetyka złotemi nićmi humoru nawskróś dobrodusznego, bez cienia nawet złośliwości. A tak opracowany jego język płynie i płynie jak spokojny, cichy, łagodny ruczaj. Wprawdzie czasem zabłyśnie tęczowemi blaskami słońca, czasem na jakimś kamieniu lub w przybrzeżnéj wyrwie zaszumi przykrym odgłosem cierpienia, niesmaku, a nawet i oburzenia; wogóle jednak choć po chropowatém dnie życia przemyka się zwinnie, lekko, bez silnego nacisku, bez silnego wyrazu, zawsze przyjemny, pięknie brzmiący, słodki, pogodny i wesoły. Nie jest on formą, owym elastycznym gipsem, w którym z mechaniczną dokładnością odlewa się model życia, ale samodzielnym środkiem do porozumienia się Daudet'a z publicznością, środkiem do łechtania zmysłu słuchu za pomocą słów ułożonych w harmonijne, czysto muzyczne spadki. Z początku to czaruje i zachwyca; w całości jednak męczy i nuży jednostajnością, ponieważ tym sposobem Daudet w swych powieściach zatraca psychologiczną i artystyczną rozmaitość charakterów, rozmaitość saméj nawet natury w jakiéj każe się obracać swoim bohaterom. Niech bowiem czuje, myśli, mówi i pisze co chce, niech świat i życie przedstawia z dobréj czy złéj strony, gruby czy wykwintny, zmysłowy czy idealny, czytelnik po zamknięciu jego książki z pewnością zawoła: Jak Daudet jest dobry i poetyczny! ile tu poczucia piękności, ile serca i współczucia dla etycznéj lub estetycznéj nawet brzydoty. I może grozić „ogromem Oceanu, który nie znosi żadnéj wielkości obok swojéj, jak nie chce żadnéj roślinności na brzegu gorzkiéj bezpłodności swoich bałwanów", czytelnik swoją drogą miałby ochotę zobaczyć Ocean, choćby tylko dla skonstatowania fałszu w dialektyce, która pozwoliła Daudet'owi zapomnieć, że Ocean obok siebie cierpi ogrom ziemi, a co gorsza, i ogrom nieba. Może wystawiać świat i ludzi z najbrzydszych nawet stron, ani jego świat ani jego ludzie i ich wady lub występki nie zniechęcają czytelnika do życia, ponieważ sposób przedstawienia jest tak czarujący, że pomimowoli chciałoby się być tam, w otoczeniu tych ludzi, wśród tych wad i występków, które tyle czułych uwag wywołują na usta poetycznego opowiadacza. Żaden bowiem występek, żadna zbrodnia nie mogą zepsuć równowagi w jego nawpół uczuciowym, nawpół żałosnym stylu; sypie on kwiatami swéj tęsknéj może ale dobrodusznéj poezyi przy każdéj sposobności, jak człowiek, który oprócz téj nie ma innéj troski, jak człowiek, któremu cień nawet pesymizmu lub sceptycyzmu nie zakłócił rozkosznych

marzeń, nie rozwiał wrażenia—typu odebranego od natury, świata i ludzi, nie rozczarował do życia. Szczęśliwy!

Szczęśliwy rozlaniem się samowiedzy w ułudném morzu poezyi, szczęśliwy uznaniem świata, który w jego powieściach „ze współczesnych obyczajów" i „współczesnéj historyi" widzi współczesne obyczaje i współczesną historyą, jakkolwiek ludzie tam żyją życiem wyjątkowém, spowici w ułudne tkaniny poetycznego języka.

Antoni Sygietyński.

NOWO-ODKRYTY NAPIS

W JEROZOLIMIE.

(Przyczynek do epigrafiki kanaańskiéj).

Krytyka systematyczna kronik i dziejopisarzy, stanowiących źródło naszéj wiedzy o starożytności, odpowiadając na pytanie, z czego się złożyły pierwsze, zkąd czerpać mogli drudzy, wykazała konieczność sprawdzania i uzupełniania znajdowanych tam wiadomości. Dokonać tego można było tylko za pomocą zabytków, pochodzących bezpośrednio z owych odległych czasów.

Gromadzenie tych zabytków stało się hasłem ludzi, którzy zrozumieli wymagania nauki w danéj chwili.

Lecz narody, które w pierwszych dobach epoki historycznéj wytworzyły początki cywilizacyi, dawno znikły z powierzchni ziemi. Kraje, będące po kolei ogniskami życia dziejowego, przechodząc z posiadania jednych zwycięzców w posiadanie drugich, opustoszały i zwaliskami się pokryły. Zwaliska te zagrzebały wszystko, co stanowiąc formy cywilizacyi starożytnéj, o niéj by świadczyć mogło odgadnienie jéj ułatwiło.

Chcąc posiąść te zabytki, należało szperać w pozostałościach miast starożytnych, rozkopywać te miejscowości, gdzie je mieściła tradycya. Chcąc z tych zabytków wykrzesać iskrę wiedzy, należało je umiejętnie badać. By z luźnych faktów znajdowanych w napisach pamiątkowych utkać tło dziejów, należało przedtém wynaleść klucz do znaków piśmiennych, formy dla języka zapomnianego, dźwięki dla mowy przebrzmiałéj. By z dzieł przemysłu lub sztuki odtworzyć bieg życia codziennego, należało odgadnąć przeznaczenie każdego przedmiotu, pojąć sposoby zastosowania go w praktyce.

Nie wszystkie jednakże kraje jednakowo szczodrze wynagrodziły pracę podjętą w celu poznania ich dziejów. Nie wszystkie

jednakowo chętnie otwarły złożone przez przeszłość w ich łonie i tam tak długo przechowywane skarby. Skutek poszukiwań w jednych, jako to: Egipcie, Babilonii, Asyryi, przeszedł najśmielsze nawet oczekiwania; nawet współczesne nam już pokolenie poszczycić się ma prawo możnością poznania rzeczywistych dziejów tych narodów, które zamieszkiwały niegdyś owe kraje. Poszukiwania za to w innych mniéj były owocne. Zdobyte zabytki zaledwo tylko pod niektóremi względami uzupełniły dawniejsze o nich wiadomości; zaledwo kilka faktów nowych odkryły.

Do tych ostatnich należy Kanaan, drugie w Azyi ognisko dziejowe Semitów starożytnych.

Epigrafikę kanaańską dotychczas stanowiły: napis Meszy, króla Moabskiego, z IX wieku przed erą naszą pochodzący, a znaleziony w r. 1868 pod Dibon, na wschodnim brzegu morza Martwego; następnie dwa napisy odkryte w r. 1855 i 1859 nad brzegiem morza Śródziemnego, w zwaliskach Sydonu, na których wznosi się obecnie miasto Saida; jednym z nich jest napis grobowy króla Sydońskiego Esmunazara, panującego w V wieku; daléj trzy napisy drobniejsze również z Fenicyi, z miejscowości zwanéj Umm el Amamid pochodzące, znalezione w r. 1861—1862; nakoniec jeden odkopany na miejscu, gdzie leżał Gebal starożytny (Byblos, pisarzy greckich). Te ostatnie nie mogą sięgać wyżéj nad wiek IV. Tak więc tylko granice zachodnie i wschodnie Kanaanu dostarczyły napisów. Z ziem środkowych Judei i Samaryi, jak widzimy, nie ma żadnego. A jednakże kraje te z wielu względów najwięcéj mogą interesować, przeważnie wzbudzać ciekawość.

Rok bieżący choć w części dozwolił brak ten uzupełnić. Nowo-odkryty napis, jedyny dotychczas w Judei, jest pierwszym i jedynym zabytkiem mowy żywéj, potocznéj, wziętéj z ust ludu; pierwszym i jedynym okazem używanego podówczas tam pisma.

Lecz przedewszystkiém poznajmy miejscowość, gdzie został odkryty.

I.

Stolica królewstwa Judzkiego, Jerozolima, przez Dawida na ziemi zdobytéj na Jebuzejczykach, dawniejszych niż Hebreowie przybyszach do Kanaanu, założona, doznawała wielkiéj a wspólnéj wielu miastom w tym kraju niewygody. Zbudowane na wyniosłym płaskowzgórzu, oddzielonym od okalających gór głębokiemi z trzech stron dolinami, miasto to cierpiało brak wody. Mieszkańcy, skoro tylko zapasy deszczówki, zebrane po cysternach, wyczerpały się, zstępo-

wać musieli po wodę w doliny. Lecz i te, będące właściwie rozpadlinami w skałach, w wodę obfitować nie mogły. Żadnéj tam rzeki nie było, żaden nawet stały płynący strumień ich nie zraszał.

W najgłębszéj z tych dolin, zwanéj *Kedron*, późniéj Jozafata, wyżłobionéj potężną siłą przyrody pomiędzy wschodnią stroną płaskowzgórza i nad całém otoczeniem wspaniale się piętrzącą górą Oliwną, z głębi ziemi wytryskiwało źródło. Woda w niém, jakby gwałtem wyrywając się z pod skały, biła bardzo silnie, skoro ono *wyrywającém się*, Gichon (od słowa *giach*) zostało nazwane. Było zaś ono w téj okolicy jedyném, skoro nazwą, każdemu źródłu właściwą, mianowano je bez żadnego jéj uzupełnienia. Wody przeto Gichonu mogły stanowić główny a co więcéj nigdy dla swéj obfitości niewyczerpany zapas wody żywéj. Podsycać niemi inne zbiorniki wód było zadaniem trudném ale konieczném. Ostatniemi czasy natrafiono na ślady takiego rodzaju robót.

W miejscu, gdzie dolina Kedron łączy się z drugą Ben-Hinnon otaczającą Jerozolimę od południa i zachodu, znaczne pogłębienie dna pozwoliło powstać sadzawce. Sadzawkę nazwano *Sziloach* (=wypuszczenie, od słowa *szalach* wypuścił). Zagadkowa ta nazwa wyjaśnia pochodzenie w niéj wody. Kanał podziemny, jak to nie dawno odkryto, łączył ową sadzawkę z Gichonem.

Kanał ów zbadany i wymierzony przez kilku podróżników (Robinsona, Toblera, półkownika Warrena) został wydrążony w skale; przechodzi pod górą, na któréj się wznosiła dzielnica miasta niegdyś Dawidową zwana. Stan ówczesny wiadomości technicznych nie pozwolił, jak widać, na wytknięcie pod ziemią linii prostéj. Kanał bowiem zbacza kilkakrotnie i nadto tworzy tak zwane *odnogi bez wyjścia* (culs de sac). Z téj właśnie przyczyny ciągnie się on 1708 stóp (angielskich), gdy tymczasem odległość między ostatecznemi punktami w linii prostéj wynosi zaledwo 1104 stopy. Obecnie jest on na całéj swéj długości znacznie zamulony oraz drobnemi kamykami i odłamami ścian zarzucony. Prąd w dy w nim jest bardzo szybki, poziom zaś jéj zależy od stanu wód w Gichonie.

Sadzawka więc Sziloach była jakoby *wypuszczeniem* wody Gichonu.

Przypadek zrządził, że zwiedzający w Czerwcu, roku zeszłego tę sadzawkę jeden z członków rodziny budowniczego Schick'a, oddawna w Jerozolimie zamieszkałego, zapuściwszy się w głąb' kanału, pośliznął się i upadł. Wstając, tuż obok na ścianie kanału dojrzał kilka wyrytych głosek.

Uwiadomiony o tém Schick przedsięwziął sam wkrótce wyprawę do kanału. I oto w odległości 19 stóp od wejścia, na ścianie po

prawéj stronie odkrył tablicę prawie kwadratową (26 cali szeroką, 27 długą) utworzoną wskutek umyślnego pogłębienia w skale. Część górna owéj tablicy, zupełnie wygładzona, jakby przygotowaną była dla rzeźbiarza mającego na niéj wyryć napis. Część dolną, znajdującą się całkowicie prawie w wodzie pokrywało sześć wierszy pisma. Kilka rysów w ścianie uszkodziło znacznie napis, a nadto, w wielu miejscach osad wodny pokrywał całkowicie wyżłobienia, stanowiące litery, lub téż piasek i drobne kamyki równały je z powierzchnią tablicy. W przeciwległéj ścianie wykuta trojkątna nisza jak się zdaje służyć mogła do stawiania światła przy robocie.

Tak więc istnienie w kanale napisu stało się faktem niepodlegającym wątpliwości żadnéj. Otrzymanie jednakże możebnie dokładnéj podobizny napisu, jak w tym razie połączone z wieloma trudnościami, przechodziło środki osoby prywatnéj.

II.

W celu czuwania nad zabytkami przeszłości w Palestynie, wyzyskania każdego szczęśliwego trafu, prowadzącego do odkryć na polu archeologii, podtrzymania prywatnych usiłowań, przez danie możności każdemu przedsięwzięcia pracy na swoję rękę, nakoniec, by donosić o rezultatach poszukiwań i do nauki je wprowadzać, zawiązały się dwa towarzystwa w Europie zachodniéj, niemieckie (*Deutsch Verein zur Erforschung Palästina's*) i angielskie (*Palestine Exploration Fund*).

Patronat królowéj Wiktoryi i uczestnictwo wielu wysoko w hierarchii administracyjnéj i kościelnéj postawionych osób zapewnia towarzystwu angielskiemu obfite środki materyalne oraz konieczną w wielu razach opiekę potężnego państwa.

Skoro wiadomość o napisie z pod Sziloach doszła do Londynu, komitet wykonawczy tego towarzystwa, upoważniwszy dr. Chaplin'a, agenta swego w Jerozolimie, do łożenia kosztów na wszelkie dalsze poszukiwania, zwrócił się jeszcze w Sierpniu z prożbą do p. Schilck'a o zrobienie i przesłanie towarzystwu podobizny tego napisu. W skutek tego, że napis pozostawał w wodzie, należało najpierwéj poniżyć poziom jéj w kanale. Nastąpić to mogło dopiéro w Styczniu roku bieżącego. Jakoż w tym miesiącu Schick pierwszą zdjął podobiznę. Przy pracach tego rodzaju konieczną jest dokładna znajomość pisma znajdowanego na napisach. Téj znajomości, jak się zdaje, brakło właśnie Schickowi. Pierwsza podobizna okazała się zupełnie nieczytelną. Chcąc uczynić zadość prożbie towarzystwa, należało

zdjąć drugą, dokładniejszą. Jakoż dopiéro drugą mógł posłać do Londynu, gdzie ją otrzymano pierwszych dni Marca.

Tymczasem w Lutym odwiedził Jerozolimę bawiący jakiś czas na Cyprze profesor Oxfordzkiego uniwersytetu, znany Asyryolog, A. H. Sayce. Jego zainteresowanie się napisem odpowiadało zajmowanemu przezeń stanowisku naukowemu. Naukowe zaś badania uzdolniały go bardziéj jak kogokolwiek innego do wzięcia się do dzieła. W czasie trzykrotnéj wycieczki na miejsce udało mu się zdjąć nową podobiznę.

Klęcząc po pas prawie w wodzie, przy blasku pochodni trzymanéj ręką towarzysza wycieczki p. J. Slattera, Sayce badał każdy cal powierzchni tablicy. Literę zupełnie pewną wpisywał, naśladując jéj kształty. Dające się tylko na pół odczytać oznaczał skrupulatnie przekopiowanemi z oryginału kreskami. A nadto w miejscach uszkodzonych wymierzył przestrzeń, by dojść, ile liter mogło się tam mieścić.

Poznanie tekstu przy kopiowaniu dało mu możność porobić wnioski tyczące się ogólnego charakteru napisu języka jego, oraz czasu, z którego mógł pochodzić. Dwa listy o tym przedmiocie wysłane do Europy z 7 i 26 Lutego pomieszczone zostały w *Athenaeum* (londyńskim), N. 2785. Wiadomości w listach, tych zawarte obiegły wkrótce różne, poważniejsze czasopisma europejskie. Następny numer Athenaeum, 2786, przyniósł list A. Neubauera, uzupełniający uwagi Sayce'a tyczące się języka napisu; notatkę historyczną Ch. Warrena zawierającą wnioski o dacie napisu; nakoniec rodzaj sprawozdania z czynności *Palestine Exploration Fund* w przedmiocie tego odkrycia, napisane przez Sekretarza Waltera Besant, w którém zapowiedział opublikowanie podobizny Schick'a w kwietniowym zeszycie organu Towarzystwa. Po wyjeździe z Jerozolimy Sayce'a przedsięwziął na miejscu badanie napisu *p. Pilter*. Zrobioną przez siebie podobiznę, *trzecią* już z kolei, przesłał Sayce'owi.

Lecz nie tylko uczeni angielscy zainteresowali się tém odkryciem. Na posiedzeniu Akademii francuskiéj *Des Inscriptions et Belles-Lettres* (1 go Kwietnia r. b.) J. Derenbourg odczytał sprawozdanie o dotychczasowym stanie kwestyi. Wsławiony zaś w świecie naukowym przez swe takiegoż rodzaju poszukiwania i odkrycia archeologiczne Clermont-Ganneau był już w drodze z Jaffy do Jerozolimy w celu przyjęcia osobiście udziału, gdy choroba gwałtowna zmusiła go do powrotu do Jaffy. Niemieckie *Palästina-Verein* upoważniło prezesa swego dr. Herm.Guthe do rozpoczęcia poszukiwań odpowiedniego temu napisu po drugiéj stronie kanału, od Gichonu (a jak obecnie—*Birket Sitti Maryam*: *Bibel-Lexikon*, t. 2 p. 463).

Nareszcie zapowiedziana podobizna Schicka ukazała się w kwietniowym *Quarterly Statement.* Ponieważ jednakże dla wielu braków podobizna ta nie mogła być przyjęta za podstawę naukowego badania, w następnym więc zeszycie Czasopisma, lipcowym, Towarzystwo *P. E. F.* opublikowało podobiznę wykonaną przez Sayce'a wraz z rozprawą jego historyczno-krytyczną w kwestyi napisu p. t. *The ancient Hebrew inscription discovered at the pool of Siloam in Jerusalem.*

Przechodzimy do tekstu napisu, mając przed sobą podobiznę przez A. H. Sayce'a zrobioną.

III.

Cały napis złożony jest z wierszy 6. Popękanie skały w wielu miejscach uszkodziło tekst. Każdy wiersz, jak to można wnosić z najmniéj uszkodzonych dwóch (4 i 5), mógł pomieścić głosek od 32 do 38. Tymczasem w wierszu 1-szym jest czytelnych 21; w 2-gim 26; w 3-cim, 27; w 6-tym, 20. Tak więc mniéj lub więcéj jedna trzecia głosek w 3 pierwszych i ostatnim wierszu jest nieznaną lub domyślną. Czytanie ułatwia wielce ta okoliczność, że każdy wyraz pojedyńczy od drugiego jest oddzielony kropką; dwukropek zaś dzieli zdania od zdania. Miejsc zepsutych, gdzie by mógł się pomieścić cały wyraz lub nawet dwa, jest zaledwo w tekście samym trzy, na początku i na końcu jedno. Najczęściéj brak w wyrazie po jednéj lub dwie głoski. Wtedy pozycya kropki wskazuje, gdzie brak i ilu.

Nad uzupełnieniem nie dających się wyczytać głosek i wyrazów pracowali A. H. Sayce i A. Neubauer. Uzupełnienie atoli tekstu nie uchylało wszystkich trudności w przekładzie. Inne wypływały z nieznanego lub dwojakiego znaczenia samych wyrazów.

Oto jest możebnie wierny przekład napisu; w nawias są ujęte wyrazy uzupełniające tekst; w kursywie wyrazy dodane przez nas skutkiem wymagań mowy polskiéj:

1) Oto kanał. I takie były dzieje przebijania: gdy jeszcze (robotnicy (1) przebijali) (2)

---

(1) Miejsce uszkodzone. Z wyraźnéj głoski *b* pod koniec wyrazu Sayce wnosi, że stać mógł tu rzeczownik, użyty następnie w wierszu 4-tym, החצבם i domyślnie jeszcze w 2-gim a pochodzący od słowa חצב, rąbał, przecinał, przebijał.

(2) Głoski stanowiące w oryginale to słowo nie są zbyt wyraźne. Sayce czyta je חצלו. Dopatrując w jednéj z nich kształt *d* radbym przeczytać דחו lub גרחו, gdyż przy częściéj je jak inne spotykamy. *Deut.* XX, 19; XIX,5. Znaczenie pozostanie to samo. גרון

2) siekierą jeden obok drugiego a jeszcze trzy łokcie *brakowało* do otworu (robotnicy)... (1) jeden

3) przyszedł do drugiego... (2) w skale, która od góry, i pracowali usilnie (3) .... (4)

4) otwór pracowali usilnie robotnicy jeden naprzeciwko drugiego, siekiera do siekiery, i popłynęły

5) wody od ujścia do sadzawki. Na przestrzeni tysiąca łokci (5) od

6) *miejsca* z dołu wydrążenia przebijali ku początkowi. Wydrążenie to...

Tak więc napis ten zawiera ,,dzieje przebicia kanału.“

Pomimo tak znacznego uszkodzenia tekstu dowiadujemy się, że roboty prowadzono z dołu (od Sziloach) ku górze (Gichonowi); następnie, że gdy jeszcze trzy łokcie brakło do zupełnego przebicia, w skutek jakiegoś wypadku, którego szczegóły są zatracone z przyczyny uszkodzenia tekstu, zaczęto roboty i z drugiéj strony (6), tak, że już pracowali jedni na przeciwko drugich, „siekiera do siekiery“; wówczas to dopiéro przebitą została skała „i wody popłynęły...“

---

(1) Na podstawie kilku dojrzanych kresek, przypominających kształtem głoski wchodzące do słowa קצה : odciąć, rozbić, Sayce tekst w tém miejscu uzupełnia tém słowém. Lecz wówczas czynność przebijania byłaby skończona; tymczasem w wierszu następnym znowu mowa o dalszym prowadzeniu roboty.

(2) Według Neubauera mogły tu stać dwa wyrazy: מצה יזרה (Mocah Jeruziddah) oznaczające miejscowość. O *Mocah* czytamy w *Jozue*: XVIII, 26.

(3) Takie bowiem tylko w tém miejscu może mieć znaczenie słowo דכה , dając się wyraźnie odczytać w tekście. Pożądać bowiem czego, czekać na co, jest to usilnie się starać osięgnąć coś, *pracować nad* osiągnięciem.

(4) W tekście najwyraźniéj czytamy *birh*; lecz czy to będzie rzeczownik ביה , oznaczający: zamek, świątynia; czy użytem jest tu jako przyimek przy imieniu własném ירה , *Jeru*, jak chce Neubauer, trudno stanowczo już coś wyrzec. *Jeru* jako imię własne mogłoby oznaczać część *Jerozolimy* i wejść następnie w skład nazwy tego miasta.

(5) W przekładzie swym na język angielski Sayce te wyrazy przyłącza do poprzednich: I popłynęły wody... W takim razie wyszłoby, że wody popłynęły z dolnéj części kanału ku górnéj —Przy przekładzie tego napisu korzystałem z uwag światłych i rad kompetentnych p. J. L. Grosglika.

(6) Dwa *culs de sac* w kanale prawie po środku jego (900 stóp od wejścia) naprowadziło na wniosek, że kanał ów przekopywano prowadząc robotę z dwóch stron, jak to obecnie tunele pod górami. Wniosek ten potwierdzało wyrażenie w 2 w. tekstu איש אל רעו, które, oznaczając *jeden przy drugim*, dawało się jeszcze przetłomaczyć: *jeden naprzeciwko drugiego*. Lecz ponieważ: 1) w wierszu 3-cim czytamy איש בא אל רעו *jeden do drugiego przyszedł*; co, przypuściwszy kopanie z dwóch stron, oznaczało by połączenie się robotników przez spotkanie w kanale, a więc koniec robót; czego jednakże nie było, gdyż „wody popłynęły,“ dopiéro późniéj; i 2) w wierszu 4-tym spotykamy איש לקרת רעו , co właściwie oznacza: *jeden naprzeciw drugiego*, sądzę, że dopiéro z dwóch stron przebijać zaczęto po owym w wierszu 2-gim opisanym wypadku.

Napis zaś ten, zostawiwszy naczelne miejsce u góry przełożonym swym lub królowi, położyli robotnicy, w celu upamiętnienia przebytych trudów i niebezpieczeństw. Ułożyli go w języku prostym, którym sami mówili, posiłkując się wyrazami technicznemi, prawdopodobnie obcego, co najmniéj fenickiego pochodzenia. Ztąd przeto może wypływać trudność przetłómaczenia kilku wyrazów; ztąd może pochodzić nieprawidłowość pisowni w porównaniu z pisownią klasyczną, używaną w pomnikach piśmiennictwa (1).

Lecz kiedy to mogły być dokonane te roboty? Jakich czasów sięga ów napis? Nie mając żadnych danych historycznych w samym tekście napisu, zwrócić się musimy do źródeł pobocznych.

IV.

W napisie z pod Sziloach spotykamy pismo staro-semickie (fenickie). Pisma staro-semickiego, które jest głoskowem, znane są *dwa* typy. Za typ starszy, archaiczny, służy abecadło z napisu króla Meszy (z IX w.) Typ młodszy, sydoński, przedstawia abecadło z napisu Esmunazara (z V w.) (2). Abecadło z napisu z pod Sziloach jest zupełnie podobne do abecadła z napisu króla moabskiego. Więc należy do typu archaicznego. Oto pierwsza wskazówka co do daty napisu z pod Sziloach.

Atoli obok wyraźnego podobieństwa abecadła z dwóch wymienionych pomników, zachodzi między niemi pewna różnica. Uwydatnia się ona głównie w kreśleniu głosek dwóch: *zain* i *cade*. Powstaje więc pytanie, z którego abecadła odmiana tych dwóch głosek jest archaiczniejszą. Rozwiązanie tego pytania przedstawi wskazówkę drugą.

Dla A. H. Sayce'a odmiana z napisu sziloachskiego jest archaiczniejszą. I w rzeczy saméj. Jeśli porównamy formę głoski *zain* z dwóch rzeczowych abecadeł z prototypem jéj, wziętym według Rougé'go z pisma egipskiego hieratycznego, *zain* z napisu sziloachskiego jest bardziéj zbliżony do swego prototypu niż *zain* z napisu moabskiego. Lecz to tylko da się powiedzieć co do *zain*.

---

(1) I tak widzimy: אש zamiast איש ; אמה zamiast אמת; לקרת zamiast לקראת; po dwa kroć *scriptio plena*: מוציא , במאתי .

(2) Dwa typy abecadła staro-semickiego wraz z głoskami prototypowemi z pisma hieratycznego przedstawiłem w tablicach do art *Abecadło*, pomieszczonym w 1 szym tomie *Encyklopedyi Wychowawczéj*.

Na téj więc podstawie przyznając większą starożytność napisowi naszemu i mieszcząc go wyżéj nad wiek IX, odnieść go chyba możemy do czasów Dawida a raczéj Salomona. Roboty tego rodzaju wymagające nakładu wielkiego, a nadto, mogące być związane z innemi lub i zależne od nich, najbardziéj odpowiadają wiekowi tego monarchy wspaniałego oraz owoczesnemu stanowisku Jerozolimy, jako stolicy wielkiego państwa hebrajskiego (1).

Lecz nie wszyscy, zabierający głos w sprawie tego odkrycia, na jedno się zgadzają. Iz. Taylor (*The Date of the Siloam Inscription*, rzecz pomieszczona także w *Quarterly Statement*) występuje przeciw przypuszczeniom tak wczesnéj daty napisu, przypuszczeniom opartym jedynie na dowodach paleograficznych. A nadto, upatrując w kształtach kilku głosek z napisu z pod Sziloach kierunek do zdwajania postaci, widzi w nich ogniwo łączące abecadło semitów północnych z abecadłem semitów południowych (himyaryckim), co, w każdym razie, zniżyło-by jego datę.

Od zniżania atoli daty na podstawie paleografii aż do czasów typu 2-go staro-semickiego abecadła, to jest do wieku V-go, z którego pochodzi napis Esmunazara, powstrzymują fakta historyczne. Po 1): Kroniki hebrajskie wspominają o jednym tylko królu Judzkim, że dokonywał takich robót, jakie upamiętniono napisem z pod Sziloach. I tak czytamy: „Ezechiasz zatkał źródło wód w Gichonie wyższe a przywiódł je dołem na zachód słońca ku miastu Dawidowemu (2 *Kron.* XXXII, 30)“ „Jako uczynił Ezechiasz sadzawkę i rury, któremi przywiódł wodę du miasta (2 *Król.* XX, 20).“ Wzmiankowany król panował od r. 725 do 696. Po 2): Wiek VII pochłonęły wojny z Asyryą i Egiptem; była-to epoka najburzliwsza ze wszystkich. Wiek VI położył ostateczny kres samodzielności Judei jako Państwa. Nie były-to więc czasy odpowiednie robotom takiego rodzaju.

A zatem, jeżeli napis z pod Sziloach nie sięga czasów Salomona, początków X w., to mógłby pochodzić z czasów Ezechiasza, z końca VIII stulecia przed erą naszą.

---

(1) A. H. Sayce przedstawia jeszcze jeden dowód starożytności napisu. Izajasz, żyjący pod koniec VIII i na końcu VII wieku, zna 4 sadzawki, z których każda nosi osobną nazwę (XXII, 9, 11; VII, 3; VIII, 6). W napisie tym wodozbiór Sziloach nazwano po prostu ברכה sadzawką. Otóż według uczonego profesora napis ten sięgać może czasów, kiedy sadzawka *Sziloach* była jedyną w Jerozolimie. Lecz czy robotnicy, mówiąc o sadzawce w napisie obok niéj umieszczonym, mieli koniecznie wymienić jéj nazwę, skoro z treści i miejsca napisu widać było, że o innéj sadzawce mowy tu być nie mogło?

Jeśli napis nowo-odkryty, jako niezawierający żadnych faktów dziejowych, mógł zawieść oczekiwania i nadzieje historyków; nie zawiódł on lingwisty, gdyż dostarczył mu jedynéj w tym rodzaju próbki mowy żywéj, z ust ludu wyjętéj, próbki języka technicznego; nie zawiódł archeologa, gdyż jako pierwszy zabytek pisma hebrajskiego z tak odległych czasów, przedstawia jedyny okaz grafiki używanej w Judei przed rozpowszechnieniem się w niéj pisma kwadratowego. A nadto, rzuciwszy pewne światło na topografią Jerozolimy, stał się cenną wskazówką, gdzie i jak dalsze prowadzić poszukiwania.

I. Radliński.

JEDEN Z NIESPEŁNIONYCH PROJEKTÓW.

Przeszłéj jesieni, wszystkie prawie pisma warszawskie zajmowały się wiadomością nadeszłą z Płockiego, że tamtejszy gubernator wezwał do siebie właścicieli ziemskich, celem naradzenia się z nimi, nad tém, co należałoby zrobić dla podniesienia dobrobytu guberni. Fakt ten zdawał się mieć doniosłe znaczenie. Pochwały, uwagi i rady, nieszczędzone wzywającemu i wezwanym, obudziły ciekawość powszechną, wyczekującą skutków, któreby, dla Płockiego przynosząc korzyści bezpośrednie, jednocześnie innym guberniom za wzór godzien naśladowania posłużyć mogły. Nastało jednak głuche milczenie: rok od tego czasu mija, ten i ów ogląda się wokoło, pragnąłby dojrzéć jeśli już nie owoce dojrzałe narady, to przynajmniéj ich zawiązki; rozpytuje znajomych—pytania daremne. Niejeden wzruszy ramionami i gotów winę włożyć na uczestników owéj narady, pomawiając ich o niezdolność lub apatyą, lub nawet zwątpić o pożyteczności wszelkich tego rodzaju zjazdów.

Mniemanie takie, krzywdzące dla Płocczan a zniechęcające obywateli innych okolic, mogłoby tém łatwiéj upowszechnić się wśród ogółu, im mniéj są znane szczegóły przebiegu narady. Wprawdzie pismo miejscowe, *Korespondent Płocki*, podało w swoim czasie dość szczegółowe sprawozdanie, nie wyczerpnęło jednak przedmiotu, wstrzymując się i od wszelkich uwag ze swéj strony i od przytoczenia wniosków, które zebrani, na wyraźne żądanie p. gubernatora, na piśmie mu złożyli.

Podając tutaj szczegółowe objaśnienia, sądzimy, że nietylko przerwiemy ciszę, jaka obecnie tę sprawę w Płockiem pokryła, ale zarazem uczynimy przysługę mieszkańcom innych stron kraju: wiadomość bowiem o tém, które to z potrzeb publicznych brane były

pod rozwagę, w jaki sposób zamierzano im zaradzić i na jakie przytém natrafiono przeszkody—nie może być bez istotnego pożytku.

Na zebraniu Płockiém zajmowano się przeważnie polepszeniem dróg, tak bitych, jak zwyczajnych; dodatkowo tylko, gubernator, przewodniczący na posiedzeniu, podniósł potrzebę urządzenia ochronek wiejskich, a także obmyślenia środków, któreby dopomódz mu mogły w gromadzeniu wiadomości statystycznych, dotychczas spisywanych tak niedokładnie przez wójtów.

Smutny stan komunikacyj zdawna już zwracał na się uwagę. Jeszcze przed jesiennem zebraniem w Płocku, bo na początku roku 1880, za staraniem właścicieli większych powiatu Płockiego, gubernator upoważnił ich do obmyślenia środków, pozwalających na połączenie dwiema szosami Płocka z Zakroczymiem a Płońska z Wyszogrodem. Zawezwani przez inicyatorów i licznie zebrani w Bodzanowie właściciele więksi łącznie z włościanami nakreślili projekt w głównych zarysach, wobec naczelnika powiatu płockiego, na którego terytoryum zjazd się odbywał. Wybrano dwa komitety—na powiat Płocki i na powiat Płoński, ponieważ każda z szos zamierzanych ciągnęłaby się w połowie przez jeden powiat a w połowie przez drugi. Do komitetów weszło po dwóch właścicieli większych i po jednym włościaninie. Szosy miały budować się siłami gminnemi, p. gubernator zaś *obiecywał być w możności* dodania po rubli 8000 corocznie, przez cały czas trwania budowy.

Komitety miały za zadanie:

1. opracować plany i projekta, wykładając na to własne fundusze, które zwrócono by im wówczas, gdy budowa dróg zostanie zatwierdzona;

2. ułożyć przedstawienie do ministeryum, wyjaśniające potrzebę tych dróg, poparte projektami technicznemi;

3. wyjednać od gmin, przyległych nowym liniom zgodę na dostarczenie potrzebnych do budowy szarwarków.

Z tych trzech obowiązków najtrudniejszym do uskutecznienia był ostatni, od niego więc zaczęto. Ale właśnie rzecz cała rozbiła się o opór gromad, jakkolwiek ci włościanie, którzy byli obecni na zjeździe, gorąco namawiali innych.

Wprawdzie te wioski, przez których grunta nowe szosy iść miały, zgadzały się na sprostowanie ich kierunku, zwłaszcza, że dziedzice przyrzekali im wynagrodzić stratę ziemi, która z rozszerzenia drogi wyniknąć by mogła,—ale, gdy przyszło do ustanowienia szarwarków, wszelkie namowy i wyjaśnienia okazały się bezskuteczne i sprawa ta upadła.

Chybione tym razem przedsiewzięcie, dotyczące dwóch powiatów, skłoniło ziemian płockich do ponownych usiłowań na innéj drodze w interesie całéj guberni, do których zwołana przez gubernatora w jesieni narada dogodną dawała sposobność. Przedstawione przez nich opracowanie zaczyna od klasyfikacyi dróg, które dzielą się na: *szosy*, budowane i utrzymywane kosztem funduszu drogowego gubernialnego; na *drogi zwyczajne 2-o rzędu*, tak zwane trakty lub gościńce, które gminy utrzymywać powinny w dobrym stanie; oraz na *drogi wioskowe*, spoczywające na opiece i dobréj woli właścicieli gruntów. Wykazano, że drogi wioskowe i trakty są bardzo zaniedbane, że należałoby pierwsze oddać staraniom gmin całych, w zamian za co, właściciele gruntów przyległych im obowiązani byliby, odpowiednią robociznę szarwarkową dostarczać do rozporządzenia gminy. Daléj powiedziano:

„W ten sposób rozdzieliwszy drogi, należałoby oddać je pod opiekę zarządów drogowych... których nagłą potrzebę uznajemy.. Sądzimy, że każden powiat mieć winien swój zarząd dróg oddzielny, stosownie do uznania władzy, składający się z członków 2 lub 3-ch, pozostający pod przewodnictwem miejscowego naczelnika powiatu, z włączeniem inżeniera powiatowego, jako technika zasiadającego z głosem doradczym... Szarwarki, potrzebne na uporządkowanie i utrzymanie w dobrym stanie dróg zwyczajnych 2-o rzędu, gminy dostarczać będą, przyjmując za zasadę... ilość koni utrzymywanych przez każdego mieszkańca... i rodziny, koni nieutrzymujące. Pierwsi dostarczą robocizny sprzężajnéj, drugie pieszéj, z pozostawieniem zarządowi drogowemu możności zamieniania szarwarku konnego na pieszy... odpowiednio do potrzeby... a nawet, ściągania szarwarku w gotowiznie, potrzebnéj na opłacanie: nadzoru, mostów... itp... W tém miejscu stawiamy przypuszczenie, że... w lat parę drogi 2-o rzędu zostaną doprowadzone do zupełnie dobrego stanu. W następstwie, utrzymanie ich bardzo mało pracy wymagać będzie, więc szarwark pozostały od tych potrzeb... użytym być może, na budowę szos miejscowych, czy to łączących poprzecznie szosy budowane kosztem guberni, czy też poprawiających te miejsca dróg zwyczajnych, które nigdy dobremi być nie mogą... Dochód z podatku drogowego obracanym być winien przedewszystkiém na utrzymanie w dobrym stanie szos już istniejących; następnie na budowanie nowych... Ponieważ, niniejszém tylko w ogólnych zarysach przedstawiamy nasze życzenia, nie możemy więc dostatecznie wyczerpnąć przedmiotu pod względem pieniężnym. Jeżeli ten wyraz naszych życzeń i potrzeb zyska sobie przychylność władzy, wówczas .. szczegóły podejmujemy się opracować, przy pomocy miejscowych inżenie-

rów... Obecnie zaznaczamy, że niezbędném jest utworzenie ogólnego zarządu gubernialnego, który powinien-by składać się z członków wysłanych po jednym z każdego zarządu powiatowego, a któremu... naczelnik guberni raczy przewodniczyć w obradach... Reparacye szos istniejących i budowa nowych odbywać się będzie: czy to przez przedsiębierstwo osób trzecich, czy też... przez same zarządy... w każdym razie, pod ścisłym i bezpośrednim nadzorem tegoż zarządu. Wszelkie kosztorysy i warunki licytacyjne, dozór nad sumienném wykonaniem robót, odbieraniem ich po wykończeniu, zależyć by winny od zarządu drogowego, który, w razach wymagających znajomości technicznéj, działać będzie spólnie z inżenierami rządowymi. Wypowiedziawszy nasz sposób widzenia rzeczy, na zakończenie poważamy się dodać, że czując potrzebę dobrych dróg, chętnie zajmiemy się niemi, pilnie spełniać jesteśmy gotowi przyjęte w ten sposób na siebie obowiązki, lecz abyśmy mogli to skutecznie wykonać, musimy mieć możność wykonania t. j. kontrolę ścisłą nad drogami i wszystkiém co się ich tyczy. Mając tylko głos doradczy, nie moglibyśmy skutecznie działać i narazilibyśmy na zawód zaufanie jw. gubernatora, w nas położone."

Po odczytaniu powyższego i przychylném przyjęciu przez gubernatora, na tegoż wezwanie, miejscowy inżenier gubernialny odczytał sprawozdanie o stanie dróg i sposobie użycia podatku drogowego. Pomijając całe szeregi liczb, przytoczyć musimy ostateczny wypadek, że podatek drogowy z gub. Płockiéj wynosi rocznie rs. 70.000, co zwiększone 10 procentami od patentów, na ten cel przeznaczonemi, podniesie ogólną kwotę do rs. 90.000; że utrzymanie w dobrym stanie szos już pobudowanych zabiera z tego około rs. 70.000, więc na budowę nowych pozostaje 20.000, co wystarczało na pobudowanie w ciągu lat 12, wiorst 138.

W dalszym ciągu posiedzenia roztrząsano owe uwagi i życzenia obywateli zebranych, oraz wiadomości objęte sprawozdaniem inżeniera gubernialnego. Co do uwag nad stanem dróg zwyczajnych, to gubernator zaraz przyznał, iż skoro mocen jest drogi wioskowe (3-go rzędu) zamieniać na trakty (2-go rzadu), więc chętnie tego dokona i, tém samém, wszystkie drogi zwyczajne mogą być w porządku utrzymywanemi; byle pełnomocnicy gminni porozumieli się z mieszkańcami, o ilość potrzebnych szarwarków i dopilnować chcieli dobrego ich użycia. Nie tak gładko poszła sprawa szosowa. Wszyscy uznawali potrzebę nowych szos, obok utrzymania dobrego stanu już istniejących; lecz wiadomo, że fundusz drogowy gubernialny starczyć by na to nie mógł, nawet przy możliwéj a przewidywanéj oszczędności. Przedstawiano rozmaite środki, mniéj lub więcéj, wiodące do celu;

wnoszono pobieranie myta drogowego i t. p., lecz obowiązujące przepisy stawały na przeszkodzie, a nieprzewidywano możności uzyskania ich zmiany.

W tym stanie rzeczy, zebrani obywatele postanowili skuteczniéj wziąść się do niéj i po krótkich rozprawach, jednozgodnie uznali za konieczne, włożenie na gminy obowiązku utrzymania szos przez gubernią już posiadanych, przeznaczając na budowę nowych, cały dochód guberni, wyżéj wskazany. Ten nowo przyjęty na się ciężar, łącznie z szarwarkami, których dostarczyć będą obowiązani, do dróg zwyczajnych, podług ich obliczenia wyniesie około 75% obecnego podatku drogowego, płaconego przez folwarki; boć część tych ciężarów, tym sposobem zamienionych na gminne, dźwigać będą i włościanie, obecnie prawie wolni od nich.

W przypuszczeniu, że zmiany te dadzą się wykonać, obradujący oznaczyli ilość nowych szos, koniecznie potrzebnych, na wiorst 315. Inżenier objaśniał, że pobudowanie szosy kosztowało dotychczas od rs. 2 500 do 5 000 na wiorstę, więc przyjęto, że przy oszczędném użyciu grosza publicznego, wiorsta wyniesie średnio rs. 3.000, a tém samem, potrzebne 315 wiorst wykończone być mogą, w ciągu lat 10. Następnie, cały dochód drogowy guberni mógłby być obróconym, jako pomoc dla gmin, które miałyby zbyt wiele szos do utrzymywania, bo wiorst 600.

Na powyższe, jak również, na utworzenie zarządów (komitetów) drogowych, gubernator zgodził się w zasadzie i przyobiecał dołożyć wszelkich starań, by to wszystko dało się wykonać, lecz nie tail, że trafi na pewne przeszkody, odwlekające skutek jego dobrych chęci. Przeszkody te wyjść mogą: najpierw, od ludzi niechętnie widzących zmiany w stanie rzeczy, dotychczas dla nich dogodnym; następnie, wypływają z przepisów prawnych, obecnie obowiązujących. Pierwszych nie będziemy rozbierali, bo to drażliwa sprawa i zależna tylko od stanowczości naczelnika guberni, który powinien umiéć odróżnić ziarno od plewy, który może zrozumiéć, gdzie kończy się działanie prawa i gdzie zaczyna się niewłaściwe objaśnienie jego. Co do praw i przepisów administracyjnych, to tu znajdujemy dwie trudności, odpowiednio dwóm rodzajom dróg, o które chodzi.

Drogi zwyczajne 2-go rzędu, tak zwane gościńce lub trakty, są naprawiane szarwarkami gminnemi, w miarę potrzeby, przez wójtów nakazywanemi; weszło to w zwyczaj i oporu włościanie temu nie stawiają. Gdyby więc gubernator, co leży w jego władzy, choćby większą część dróg wioskowych, zwanych obecnie drogami zwyczajnemi 3-go rzędu, zrównał z traktami, w takim razie, gminy nie mogłyby odmówić robocizny na ich uporządkowanie i musiałyby poddać się odpowiedniemu nadzorowi komitetów powiatowych.

Inaczéj przedstawia się sprawa szos, chociażby ostatniego rzędu. Kierunek ich bywał zatwierdzany przez najwyższe władze i znajduje się pod tychże opieką. Gościniec lub droga wioskowa, stając się szosą, już tém samém wyłącza się z pod bezpośredniego rozporządzania władzy gubernialnéj, powiatowéj lub gminnéj i przechodzi w zależność od ministeryum. Z tego wypływa wielka trudność, w oddaniu ich staraniom sił gminnych, bo włościanie dobrowolnie nie przyjmą na się tego nowego ciężaru, a nie będzie można pokonać ich prawem, skoro takowe tylko drogi zwyczajne wkłada na ich barki. Nie pomoże tu wpływ większych właścicieli ziemskich, chętnych tym zmianom, bo chociaż na zebraniach gminnych wpływ ten jest coraz wyraźniejszym, każdy jednak, obeznany z usposobieniem włościan, wie, że wpływ kończy się tam, gdzie zaczyna się ich kieszeń. Zapewne, można-by rozciąć ten węzeł, przenosząc szosy gubernialne, tam gdzie były, przed dostaniem pokładu zwirowego, to jest: do rzędu gościńców, lecz po miecz odpowiedni sięgnąć należy, aż do ministeryum; więc droga powolna i daleka, a prawdopodobnie, trudno byłoby sprowadzić jego wyciągnięcie z pochew: rutyny, obojętności i wpływów niechętnych tym zmianom.

Uwagi powyższe naprowadzają na domysł, że wnioski zgromadzonych ziemian były zbyt pośpiesznie stawione i tak samo przyjęte przez gubernatora; obie strony nie były dostatecznie przygotowane do tego. Obecnie, współuczestnicy zebrania jesiennego, nie zapierając tego, sądzą, że możnaby dojść do celu inną drogą, którą powtarzamy za nimi, w głównych zarysach, bo jesteśmy przekonani, że rozgłos, jaki daje druk każdéj nowéj myśli, każdemu zamiarowi, wyjdzie na pożytek sprawy, zajmującéj nas w téj chwili.

Jeżeli nie można powołać drobnéj własności wiejskiéj, by pospołu z wielką podtrzymywała szosy już istniejące, poprzestać należy na dopilnowaniu, żeby chociaż o drogach nie bitych pamiętała lepiéj, niżeli poprzednio robiła; co, jak wspomnieliśmy, zależy tylko od gubernatora. Szosy istniejące pozostałyby na koszcie podatku drogowego, lecz przynajmniéj, wypada dołożyć starań, żeby jak najtaniéj utrzymanie ich kosztowało. Obok tego, budowę szos, już zatwierdzonych, należałoby prowadzić oszczędniéj—baczyć więcéj na dobro kraju, niżeli na zyski przedsiębierców. Do tych celów następującym sposobem iść by należało.

Co do dróg zwyczajnych 2-go i 3-go rzędu. Jak już tyle razy powtarzaliśmy, zależą one w zupełności od gubernatora, a skoro nic nas nie upoważnia, do podejrzewania jego dobrych chęci, uważamy więc przedmiot ten za niepotrzebujący dalszego wyjaśnienia i przechodzimy do:

Dróg bitych czyli szos. Jak dotychczas tak i na przyszłość, całość podatku drogowego, zebranego w gub. Płockiéj, byłaby obracaną na podtrzymywanie dawniejszych, oraz budowę nowych szos; lecz z tą odmianą, że kiedy do chwili obecnéj, w miarę uznania służby drogowéj, na poprawę pewnych szos przeznaczano odpowiednie kwoty, zaś pozostałość zapasu pieniężnego używano na budowę, to na przyszłość, każdy powiat miałby oddaną sobie do rozporządzenia pewną kwotę, którą-by wydawał stosownie do swych potrzeb, na zużyte szosy lub budowanie nowych, o ile starczyłoby na te ostatnie.

Tu zachodzi ważne pytanie, w jakim stosunku należałoby rozdzielić ogół pieniędzy, któremi gubernia rozporządza? Noszący się z tym nowym wnioskiem, w następujący sposób dają odpowiedź.

Wiadomo ile wydawano w latach poprzednich na utrzymanie szos zużywających się; również wiadomo, za ile rubli budowała gubernia szos nowych. Stosunek ten należałoby utrzymać, to jest: kierując się wiadomościami przedstawionemi przez inżeniera, wypada około rs. 70.000 na stare i około rs. 20.000 na nowe szosy. Tę ostatnią kwotę miałaby gubernia do swego rozporządzenia, rs. 70.000 należy rozdzielić między powiaty. Przytém nadmienić godzi się, że w kasie gubernialnéj są zapasy gotówki, z roku na rok pozostające z wpływów drogowych, które jakoby są do rozporządzenia ministeryum lub dla nagłych a nieprzewidzianych wypadków. Nie wdając się w ocenienie o ile nagłe i nieprzewidziane zdarzenia mogą wpływać na stan szos, dobrze-by było, gdyby i te kilkadziesiąt tysięcy (tak) rubli dały się użyć na przedłużenie szos nowych; wszakże, tego obecnie przesądzać nie można. W ten sposób oddzieliwszy, to czém zarząd gubernialny rozporządzać będzie, pozostałe około rs. 70.000 odbierać będą powiaty: czy to w stosunku do długości szos posiadanych u siebie, czy też w stosunku rozległości swéj, lub nakoniec w stosunku podatku drogowego, jaki płacą powiaty. Każdy z tych trzech sposobów ma i dobre i złe strony, które tak rozumiemy:

1-o Zapewne, długość szosy, przez powiat idącéj, najsilniéj przemawia za ilością potrzebnych pieniędzy na jéj utrzymanie; lecz z drugiéj strony, trzebaby uwzględnić potrzeby drugich. Jeżeli pewien powiat ma więcéj szos niżeli drugi, co mu dopomogło do silniejszego rozwoju przemysłowego i społecznego, to dla czego sąsiad jego ma wciąż pozostawać uboższym? Owszem trzeba tu stosować zasadę, że nie liczba bardzo bogatych jednostek w kraju, daje miarę jego zamożności, lecz średnia zamożność ogółu. Powiat, posiadający większą zamożność w szosach, powinien znaleść w sobie samym dodatek, na ich utrzymanie potrzebny, jeżeli nie starczy kwota otrzymana. Nie zdoławszy zrobić tego, dowiedzie, że dobrych dróg nie umiał

spożytkować należycie, że to jest zbytkowny przyrząd, z którym obchodzić się nie potrafi.

2-o *Za* wysokością zasiłku pieniężnego, odpowiednią do rozległości powiatu, przemawia wzgląd, że jeżeli otrzyma więcéj, niż wydać musi na szosy istniejące już, to będzie to dowodem, że ma szos za mało, więc budować będzie nowe, które zrównają go ze szczęśliwszym sąsiadem.

3-o *Zasada* wysokości podatku drogowego, ma również dobrą stronę. Płacący więcéj jest: albo obszerniejszy, za czém idzie potrzeba dróg; albo ma mniéj nieużytków i glebę lepszą, więc gęściéj osiadły, więcéj ma i płodów i ludzi do przewiezienia. Zresztą, skoro płaci większe podatki, powinienby mieć prawo do większego udziału w ich zwrocie.

Trudny wybór między temi trzema zasadami rozstrzygnie narada wspólna, jeżeli takową powtórnie gubernator zebrać zechce. Możnaby wybrać pośrednią drogę, rozdzielając ogólną kwotę, dla powiatów przeznaczoną, na trzy części, z których każda oddzielnie dzieloną być może, podług zasad powyższych i co z tych podziałów wypadnie, tyle powiat otrzyma.

O ile znamy przepisy, sposób ten wyjścia nie natrafi na przeszkody téj doniosłości, jakie stanęły-by przeciwko wnioskom, przedstawionym pierwotnie gubernatorowi płockiemu, a z których już tu zdano sprawę; jeszcze więc raz zmuszeni są wszyscy powierzyć to jego dobréj woli i... czekać końca wskazującego jaka, tym razem, będzie różnica między chęciami a uczynkami, między pięknemi obietnicami a ich spełnieniem.

KRONIKA PRZYRODNICZA.

Z nowych badań nad zjawiskami i składem atmosfery.

Jak trudno pochlubić się człowiekowi dokładną znajomością jakiegokolwiek, choćby najprostszego zjawiska przyrody, najlepszym dowodem są badania nowe, które albo poglądy nasze rozszerzają i otwierają nam obszerniejsze pole widzenia, albo też wręcz zmuszają do zastąpienia pojęć dawnych nowemi. Niemasz zapewnie w całym obszarze wiedzy rozdziału, któryby stanowczo podkreślić można i rzecz za skończoną uważać, na każdém polu życie nauki granicy nie ma.

Uwagę tę nasunęła nam praca p. Aitkena, złożona niedawno towarzystwu królewskiemu w Londynie, *o warunkach powstawania mgły.* Od bardzo dawnych czasów tworzenie się mgły objaśniano sposobem zarówno prostym, jak ścisłym; powietrze zawiera zawsze większą lub mniejszą ilość pary wodnéj, a skoro pewna jego masa ulega oziębieniu, nie może już ono utrzymać wszystkiéj pary w postaci gazu niewidzialnego, część jéj skrapla się, a raczéj przechodzi w postać drobniutkich pęcherzyków wodnych, wypełnionych parą, które unoszą się w powietrzu jakby drobne baloniki. Pęcherzyki te rozróżnił pierwszy Saussure. „Stoję, mówi on, w pośrodku chmury, trzymając w jednéj ręce, tuż przy oku szkło powiększające, a w drugiéj czarną, należycie wygładzoną powierzchnię. Powierzchnię tę umieszczam w pobliżu ogniska soczewki, a następnie, jakby myśliwy na czatach, czyham na każdą cząstkę chmury, którą ruch powietrza do ogniska szkła doprowadzi. Jeżeli chmura jest gęsta, nie trzeba mi długo czekać; widzę przebiegające cząsteczki, okrągłe i białe, niektóre szybko jak błyskawice, inne uderzają o nią skośnie i odskakują, jak piłka od muru, inne znów przyczepiają się do niéj i przybierają postać półkuli. Zresztą i bez szkła powiększającego można we mgle lub chmurze dostrzedz owe cząsteczki, jeżeli tylko dostatecznie są oświetlone.“

Mowa tu zarówno o mgle jak i o chmurze, między jedną a drugą bowiem istotnéj różnicy nie ma; w ostrych swych zarysach chmura przedstawia się wprawdzie odmiennie od mgły o granicach nieokreślonych, ale różnica ta jest tylko skutkiem odległości, z których je rozpatrujemy. Chmura, skoro się w niéj znajdziemy, zamienia się dla nas w mgłę, a nieoznaczona postać mgły w miarę jak się od niéj oddalamy, przybiera określoną postać chmury.

Średnica owych ciałek mgły wynosi według Kämtza od 0,014 do 0,035 milimetra, w lecie bywają nieco mniejsze, aniżeli w zimie. P. Dines w roku zeszłym znalazł różnice większe od 0,016 do 0,127, nawet w jednéj mgle kuleczki nie są równe.

W ten sposób tłómaczono powstawanie mgły w różnych okolicznościach, nie zwrócono atoli uwagi na jeden z najniezbędniejszych do jéj tworzenia się czynników; czynnikiem owym, który odegrywa tę niedojrzaną przedtém rolę, według p. Aitkena, jest pył w powietrzu się unoszący.

Pył i mgła, są-to rzeczy tak na pozór różne, że zestawienie ich dziwném wydawać się musi, ale proste doświadczenie nauczyć może, że zostają one w ścisłym z sobą związku i że pył jest jakby zarodkiem, którego objaw rozwinięty stanowi mgła lub chmura.

Dwa wielkie zbiorniki szklane napełnione zostały powietrzem przejętém parą wodną, ale jeden z nich zawierał powietrze zwykłe, drugi zaś powietrze oczyszczone, które przeszło przez filtr bawełniany i oswobodzoném zostało od wszelkiego pyłu. W powietrzu nie przecedzoném po oziębieniu wystąpiły zwykłe, obłokowate formy skroplenia pary, w naczyniu zaś drugiém powietrze pozostało czystém i niezmąconém; pomimo to, że było przesyconém, zachowało zupełną swą przejrzystość.

Rozmaitość ta zachowywania się pary wodnéj w różnych tych warunkach przypomina odpowiednie zjawisko przy marznięciu wody; jak osadzanie się kryształów lodu rozpoczyna się przedewszystkiém na ścianach naczynia i w ogóle na cząstkach ciał stałych w wodzie zawartych, tak téż i cząstki pary wodnéj nie zbiegają się wprost z sobą dla utworzenia pęcherzyka mgły, ale potrzeba im cząstki ciała stałego lub ciekłego, na którejby się zgęszczać mogły. W powietrzu zupełnie czystém para nie skrapla się zgoła, w zwykłém zaś powietrzu cząstki pyłu stanowią jądra, na których para się osadza, tworząc cząsteczki mgły lub chmury. Mgła jest jakby rozwiniętym objawem pyłu, który poprzednio już istniał w powietrzu, a każdy pęcherzyk mgły był pierwotnie cząsteczką pyłu. Gdy w powietrzu znajduje się znaczna ilość pyłu, wtedy na każdéj cząsteczce osiada niewielka ilość pary, ciężar ich powiększa się nieznacznie i łatwo bujają w powietrzu;

ale gdy owych cząstek pyłu jest niewiele, na każdéj nagromadza się więcéj pary, stają się cięższemi i opadają szybciéj.

Wyraźniéj jeszcze okazywały to zjawisko doświadczenia z pompą powietrzną. Wiadomo, że przy rozrzedzaniu powietrza temperatura się obniża. Dla nasycenia powietrza parą umieszczono pod dzwonem naczynie z wodą i pompę wprawiono w ruch. Gdy doświadczenie to wykonywa się z powietrzem zwykłém, nieoczyszczoném, gęste zamącenie wypełnia zbiornik; ale, jeżeli w zbiorniku powietrze było zupełnie czyste, mgła nie występowała, nie było bowiem ziarn, na których para osiadaćby mogła. Gdy powietrze było tylko prawie czystém, tworzyło się nie wiele cząstek mgły, które w skutek ciężaru opadały w postaci drobnego deszczu.

Gdyby zatém w powietrzu zgoła pyłu nie było, nie byłoby téż mgły, chmur, a prawdopodobnie i deszczu; powietrze przesycone parą wydzielałoby wodę na powierzchni ziemi, na każdym przedmiocie, z którym się styka. Gdy w czasie zimnego ranka oddech nasz staje się widocznym, podobnie jak każdy pęd pary wyrywający się w powietrze, okazuje to, że atmosfera jest nieczysta i przejęta pyłem. Wszystkie okoliczności, które wpływają na wzmożenie ilości pyłu w powietrzu, powiększają także i mgłę; gdy natomiast cząstki pyłu nie są tak liczne, kuleczki mgły są cięższe i prędzéj opadają.

Przez ogrzewanie jakiegokolwiek ciała, szkła, żelaza, mosiądzu, zwłaszcza téż soli, wznosi się w górę obłok pyłu, który wprowadzony do czystego zbiornika, przez zmięszanie z parą wytwarza natychmiast gęstą mgłę.

Pył atmosferyczny pod wpływem ciepła ulega zniszczeniu, możnaby się przeto spodziewać, że płomienie i wogóle palenie ciał wydadzą powietrze czystsze. Tak wszakże nie jest, bo przez spalenie choćby czystego gazu tworzy się atmosfera wydająca mgłę. Jądra przeto mgły i chmur nie są cząsteczkami owego pyłu, którego obecność zdradza promień światła, wpuszczony do ciemnéj przestrzeni, te bowiem cząsteczki mogą być przez ciepło zupełnie usunięte a w powietrzu takiém pomimo to mgła tworzyć się może. Przypuścić można, że owe większe cząsteczki, które stają się widoczne przy silném oświetleniu, ulegają pod wpływem ciepła rozdzieleniu na cząstki niesłychanie drobne, niewidzialne. Tym ostatnim właśnie drobinom przypisuje p. Aitken wytwarzanie mgły; i cząstki większe są tu zapewne skuteczne, ale ilość ich jest zbyt mała, aby wywołać zdołały znaczne działanie.

Nie wszystkie ciała palone okazują jednakową zdolność wywoływania mgły; najdzielniejszą okazała się siarka; wydawała ona mgłę tak gęstą, że warstwa jéj, mająca zaledwie 5 centymetrów grubości,

stawała się już zupełnie nieprzejrzystą. Dodać należy, że oprócz wody badano też i inne ciała, jak alkohol, benzol, parafinę,—wszystkie zachowały się jak para wodna, t. j. wytwarzały skroplenie obłokowate jedynie tylko w powietrzu zapylonem, a zmieszane z powietrzem oczyszczonem mętnienia nie sprowadzały.

Wyniki tych doświadczeń w ogólnych przynajmniéj zarysach objaśniają warunki tworzenia się mgły w atmosferze. Gęstość mgły zależéć musi od ilości drobnego pyłu w powietrzu; im tego pyłu jest więcéj, tém drobniejsze są kuleczki mgły i tém dłużéj w powietrzu bujają. Widzieliśmy dalej, że wszelkie palenie wytwarza pył, mogący stanowić jądra mgły, nie można przeto się spodziewać, aby w miastach angielskich fabrycznych np. można było zmniejszyć obfitość lub gęstość mgły wtedy, gdy przez ulepszoną konstrukcyą pieców zdołamy osiągnąć dokładniejsze, zupełniejsze spalenie materyałów opałowych, lubo przez zmniejszenie dymu mgła będzie czyściejszą i bielszą i utraci przeto najprzykrzejsze swe cechy. Węgiel kamienny bardzo często zawiera siarkę; obliczono też, że w ciągu dnia zimowego w Londynie spala się około 200 ton siarki; widzieliśmy zaś, jak gęstą mgłę wytwarza palona siarka, a to wystarcza do objaśnienia gęstości sławnéj mgły londyńskiéj.

P. Aitken wszakże radzi się powstrzymać od zupełnego potępienia dymu i siarki, dym bowiem i kwas siarkowy, powstający przy spaleniu siarki, zalecają się własnościami odwaniającemi, antyseptycznemi. W czasie mgły powietrze jest spokojne, brak prądów, któreby oddalały przykrą woń i zabójcze zarodki w powietrzu, a któreby były bardziéj jeszcze szkodliwe, gdyby brakło unoszącéj się sadzy i spalonéj siarki.

Podczas mgły dym opada, cząstki jego bowiem stygnąc, stają się jądrami, na których się para wodna skrapla, dym staje się przeto cięższym i osuwa się na dół. To tłómaczy, dlaczego dym opadający jest często zapowiedzią deszczu, uwidocznia on nasycony wilgocią stan powietrza.

Pochodzenie pyłu atmosferycznego było już nieraz przedmiotem badania, szczególniéj zaś od dawna zwracano uwagę na masy pyłu, spadającego z deszczem, gradem, śniegiem, bądź wreszcie suchego. Deszcz krwawy albo siarczysty nieraz stawał się powodem ogólnego przerażenia, zanim przyczynę tego zjawiska wykazano w mnóstwie pyłku kwiatowego, który deszcz sprowadza na ziemię, albo też w innych utworach organicznych. Trudniéj wszakże było załatwić się z pyłem mineralnym. Gdy w początku bieżącego stulecia uczeni uwierzyli nakoniec baśniom ludowym o kamieniach spadających z nieba, wtedy Arago i owym masom pyłu mineralnego przypisał

początek pozaziemski, kosmiczny. W ostatnich czasach Nordenskjöld, a za nim Silvestri i Tissandrier wrócili do tego poglądu. Nordenskjöld mianowicie zbierał pył na śnieżnych i lodowych polach północy Skandynawskiéj, daleko od wszelkich osad ludzkich, oraz w zagłębieniach lodu grenlandzkiego,—i znajdywał w nim zawsze żelazo rodzime w połączeniu z niklem i z powodu téj właśnie zawartości żelaza rodzimego osądził, że pył ten nie może być pochodzenia ziemskiego. Podobnież Silvestri wykazał obecność żelaza rodzimego w pyle spadłym w Katanii, a Tissandrier w pyle zebranym w Paryżu, i z tego względu również przypisali mu początek kosmiczny.

Niedawno jednak p. A. Lassaulx rozebrał dokładniéj części składowe pyłu,—zbadał on mianowicie pył czyli kryokonit z Grenlandyi, jak go nazwał Nordenskjöld, próbę pyłu zebrane w Katanii, oraz pewną ilość pyłu zebranego po stopieniu śniegu w pobliżu Kielu, i w każdym z tych proszków wykazał części składowe skał, znajdujących się w pobliżu miejscowości, zkąd dany pył pochodził, tak że każdy z nich uważać można za materyał pochodzący z rozsypiska skał sąsiednich.

Wszędzie wprawdzie znajduje się niewielka ilość żelaza metalicznego, i ono tylko mogłoby wskazywać pochodzenie kosmiczne. Ale należy zwrócić tu uwagę na skład brył meteorycznych; aerolity, złożone w przeważnéj części z żelaza rodzimego, stanowią okazy bardzo rzadkie, pospolicie składają się one z pewnych krzemianów, jak augitu, anortytu, oliwinu, żelazo zaś występuje w nich w ilości bardzo małéj, pył natomiast atmosferyczny nie zawiera wcale owych cechujących krzemianów, a niewielka ilość żelaza pomięszana tam jest z częściami składowemi skał, a mianowicie z takiemi, które, jak kwarc np. najsilniéj opierają się zwietrzeniu, to jest najlepiéj się przechowują.

Podobny skład pyłu przemawia bardzo silnie za jego pochodzeniem ziemskiém, sama zaś obecność niewielkiéj ilości żelaza nie stanowi argumentu dostatecznego, aby to najbliższe jego źródło usunąć. Bo chociaż istnienie żelaza rodzimego na ziemi jest rzeczą dosyć wątpliwą, to jednak Lassaulx zwraca uwagę na obecność w pyle atmosferycznym cząstek organicznych, węglowodorów, które mogą być dla związków żelaza środkami redukującemi, odtleniającemi; żelazo mogło tam powstać z rozłożonych jego związków, jest ono zapewne czystém, metalicznėm, ale nie koniecznie rodzimém.

Jednėm słowem, nie mamy dostatecznie uzasadnionych powodów do wyprowadzania pyłu atmosferycznego z obszarów pozaziemskich;—skały na ziemi niszczą się, rozsypują, a szczątki te przenosić

może powietrze, podobnie jak i woda, któréj rola w ścieraniu skał dobrze jest znaną.

Skorośmy potrącili o kwestyą powstawania chmur, nie możemy pominąć tu spostrzeżenia, że meteorologia zaczyna baczniejszą uwagę zwracać na *stopień pochmurności nieba w różnych okolicach*; jest to bowiem bardzo ważny czynnik klimatyczny, na który dotąd należycie nie baczono. Nie tylko na temperaturę powietrza zważać należy, insolacya czyli bezpośrednie działanie promieni słonecznych odgrywa tu także ważną rolę, a oczywiście zostaje w bezpośrednim związku ze stanem zachmurzenia nieba. Dawno już poznano, że jeżeli się rozpostrze czarną tkaninę nad gruntem, na którym rośnie winorośl, grona nie dojrzewają, lubo pod czarném pokryciem temperatura ulega podniesieniu.

Otóż obecnie p. Rénou ogłosił rezultat poszukiwań nad średnim stanem zachmurzenia nieba w Europie. Zbyt mało wszakże, a zwłaszcza zbyt niedokładnie prowadzono dział ten dostrzeżeń meteorologicznych, aby można z nich było wysnuć wnioski dosyć pewne i dosyć ogólne; z obserwacyj wszakże zebranych sądzi p. Rénou, że niebo najpogodniejszém bywa przeciętnie około 10 i 11 godziny wieczorem, najsilniejsze zaś zachmurzenie przepada średnio na 1 godzinę popołudniu. Przebieg roczny jest wybitniejszy: w Paryżu najsilniejsze zachmurzenie przypada na Grudzień, najmniejsze na Kwiecień i Wrzesień. Wyrażając przez 100 stan zupełnego zachmurzenia nieba, a przez 0 stan zupełnéj pogody, znajduje p. Rénou na średnie roczne zachmurzenie nieba w Paryżu liczbę 63. Jest to liczba stosunkowo wielka, u nas—daléj od Atlantyku, okazałaby się zapewne znacznie mniejszą.

Wiadomo, że dla uzmysłowienia rozkładu ciepła na ziemi poprowadzono na kartach linie izotermiczne czyli linie jednakiéj temperatury rocznéj, t. j. linie łączące miejsca posiadające jednakową temperaturę średnią roczną. W podobnyż sposób p. Rénou połączył liniami miejsca na ziemi, posiadające jednakie zachmurzenie; linie te jednakowego zachmurzenia rocznego nazwał *liniami izoneficznemi*, *izonefami*. Przebieg tych linij wskazuje ścisłą ich zależność od rozkładu mórz, postać ich bowiem w Europie odpowiada zarysom wybrzeży Atlantyku lub też morza Śródziemnego. Wschodnie części Hiszpanii okazują zachmurzenie średnie bardzo słabe, i téj to okoliczności przypisuje p. Rénou możność dojrzewania owoców palmy daktylowéj w Hiszpanii, lubo nie dojrzewają one w Algieryi, chociaż tam lato gorętsze jest niż w Walencyi lub Alkantarze.

Linie te jednakiego zachmurzenia mogą niewątpliwie okazać się użytecznemi w badaniach klimatycznych, ale dokładne ich na-

kreślenie wymaga bardzo jeszcze długich obserwacyj. Zresztą jak same izotermy małe jeszcze dają pojęcie o warunkach klimatycznych miejsc, przez które przechodzą, a do scharakteryzowania danéj miejscowości potrzeba powołać się na średnią temperaturę lata i zimy, to jest posiadać kartę izoterów i izochimenów, tak téż niewątpliwie trzeba będzie brać pod uwagę nie tyle średnie zachmurzenie roczne, ile raczéj jego rozkład na różne pory roku.

Do spraw *napozór* bardzo dobrze w nauce załatwionych należy téż pytanie, jaką drogą utrzymuje się stateczność składu atmosfery, a zwłaszcza też *równowaga zawartego w niém kwasu węglanego.* Ilość tego gazu w powietrzu nie przechodzi nigdy kilku dziesięciotysiącznych, powietrze bardziéj weń obfitujące byłoby już zabójczém dla człowieka i dla zwierząt wyższéj organizacyi; palenie wszakże, zarówno jak i oddychanie zasób jego powiększają bezustanku. Nauka dosyć już dawno rozwiązała zagadkę, gdzie się nadmiar ten podziewa: kwas węglany wyziewany przez zwierzęta służy do oddychania roślinom. Pod wpływem światła części zielone rośliny rozkładają kwas węglany, zatrzymują węgiel i przeprowadzają go w pracowniach swych w związki organiczne, a tlen oswobodzony zasila zubożałe powietrze. Odkrycie to uważaném jest za jeden z tryumfów nauki i słusznie, choćby dlatego, że wtajemnicza nas w bardzo ważne sprawy żywotne, ale nie może usunąć wątpliwości, aby ta droga starczyła do utrzymania tak bezwzględnéj jednostajności atmosfery, jak ją rzeczywiście widzimy,—bo oto życie zwierzęce wzmaga się, węgle palą się w ilościach, o których dawniéj pojęcia nie miano, a lasy natomiast ulegają niemiłosiernemu niszczeniu.

Rachunek ścisły wprawia nas w cięższy jeszcze kłopot, a rachunek ten przeprowadził niedawno p. J. B. Lawes, na zasadzie doświadczeń rolniczo-chemicznych prowadzonych w Rothamsted. Za podstawę rachunku swego bierze p. Lawes Wielką Brytanią, któréj powierzchnia wynosi około 57 milionów akrów (akr=40,46 ara), a raczéj powierzchnię 1 akra, przypuszczając, że powietrze nad nim jest nieruchome, jak sama ziemia, że nie ma w nim dopływów ani odpływów żadnych.

Kwas węglany wytwarza się z trzech źródeł—z palenia węgla, z materyałów wprowadzonych na pokarmy i na opał, oraz z produktów roli angielskiéj.

Dane statystyczne uczą, że przeciętnie na 1 akr w ciągu roku przypada 3942 funty spalonego węgla, a ta ilość uchodzi w powietrze w postaci kwasu węglanego; podobnież zużycie materyałów przywo-

zowych—mięsa, cukru, ziemniaków, łoju, nafty powiększa ten zasób węgla o 300 fun. a konsumcya materyałów krajowych o 1275 funtów, czyli razem zasób węgla, zawarty w słupie powietrza unoszącym się nad przestrzenią jednego akra ziemi angielskiéj, powiększa się rocznie o 5500 przeszło funtów. Z drugiéj zaś strony, znajomość składu atmosfery pozwala ocenić, że taż sama ilość powietrza, spoczywająca nad jednym akrem, zawiera około 14000 funtów. Gdyby zatém nie było żadnéj kompensaty, ilość ta węgla po upływie trzech lat jużby się z górą podwoiła, a istnienie człowieka na ziemi stałoby się zagrożoném.

Otóż łatwo osądzić, że kompensata taka co do węgla spalonego i co do materyałów przywozowych jest bardzo mało możliwą, jedynie tylko co do płodów na gruncie krajowym rosnących zachodzi ciągła wymiana węgla między roślinami a atmosferą, ale bliższe rozważanie uczy, że i tu szala przeważa na korzyść atmosfery, że w ogólności więcéj węgla z roli odchodzi aniżeli do niéj wraca.

Wymiana powietrza między różnemi częściami lądów także wpłynąć nie może na przywrócenie równowagi kwasu węglanego, wszędzie bowiem liczba ludzi i zwierząt wzrasta, opał się pali, lasy niszczą, a zapasy węgla nagromadzone w gruncie przez naturalną rośliność zwolna się tracą. Stoimy przeto jeszcze wobec zagadki nierozwiązanéj; pytanie, jaką drogą utrzymuje się stateczność atmosfery, pozostaje dotąd bez odpowiedzi.

P. Lawes sądzi wszakże, że może to ocean odgrywa rolę niszczyciela tego nadmiaru węgla atmosferycznego; według bowiem rozbiorów Franklanda, morze w znacznych bardzo jeszcze głębiach bogate jest w węgiel organiczny. Analizy Franklanda wody morskiéj nie sięgają ani do połowy głębokości oceanu, ale uczą, że i w téj warstwie zasób węgla jest przeszło trzy razy większy, niż ilość węgla w atmosferze unoszącéj się nad oceanem. Przy znacznéj rozległości oceanu objawy rozwijającego się w nim życia zwierzęcego i roślinnego wywierają niezawodnie wpływ znaczny na atmosferę, wpływ, którego dotąd nie znamy.

Zresztą skład atmosfery przedstawia niejeden jeszcze nieznany nam szczegół. Jakkolwiek oddawna uważać ją przywykliśmy za olbrzymi zbiornik, przepełniony najrozmaitszemi wyziewami ziemskiemi, nie spodziewano się zapewne, aby w niéj mieściła się i *para alkoholu*. Niedawno wszakże p. A. Müntz podał sposób wykrywania niezmiernie drobnych ilości alkoholu, tak że można go wykazać nawet w wodzie, zawierającéj go jednę milionową część. Tą drogą przez ostatnie cztery lata poszukiwał on wszędzie alkoholu i rzeczywiście znalazł go w wodzie rzecznéj, morskiéj, deszczowéj, w śniegu;

w wodzie tylko źródlanéj nie można go było wykryć. Woda Sekwany i woda deszczowa w objętości jednego metra sześciennego, czyli tysiąca kilogramów na wagę, zawiera mniéj więcéj jeden gram alkoholu; w śniegu i deszczu zimnym jest go nieco więcéj, w wodzie morskiéj mniéj.

Z tego łatwo wnieść, że alkohol znajdować się musi i w powietrzu, zresztą już dawno Boussingault i Saussure podejrzywali w powietrzu obecność jakiegoś węglowodoru. Alkohol ten pochodzi niewątpliwie z rozkładu ciał organicznych, znajduje się więc i w gruncie, i rzeczywiście z ziemi ogrodowéj zdołano tyle wyciągnąć alkoholu, że na téj ilości można było wykazać wszystkie jego główne własności.

S. K.

ROZBIORY, SPRAWOZDANIA

I WRAŻENIA LITERACKIE.

Pamiętnik fizyograficzny wydawany staraniem E. Dziewulskiego i B. Znatowicza, tom pierwszy. (Warszawa, 1881, 8-vo Lex., str. XII+464, XVI tablic rysunków).

Jeszcze 4 Maja r. 1865, prezes ówczesnego towarzystwa naukowego Krakowskiego, prof. Józef Majer, postawił w oddziale przyrodniczo-lekarskim téj instytucyi wniosek utworzenia komisyi w celu badania północnych i północno-wschodnich stoków Karpat pod względem fizyograficznym. Opracowawszy odpowiednie instrukcye, zjednawszy licznych a chętnych i sumiennych obserwatorów, zaraz energicznie wzięto się do pracy. Krótkie wzmianki o działalności téj komisyi fizyograficznéj, dziś wchodzącéj w skład akademii umiejętności w Krakowie, podawaliśmy dwukrotnie w „Ateneum" (R. 1877, t. II, str. 372; r. 1879, t. I. str. 382). Komisya fizyograficzna Krakowska, otrzymując pomoc pieniężną ze strony akademii i prócz tego zasiłku 3000 złr. rocznie z funduszów zostających w rozporządzaniu sejmu, utworzyła w Galicyi gęstą sieć starannie urządzonych najrozmaitszych dostrzegalni, a zamiłowanych spółpracowników posiada zastęp cały, złożony z księży, lekarzów, obywateli wiejskich, nauczycieli itd. Nie dziw więc, że prowadzi systematyczne badania téj dzielnicy i znakomite materyały nagromadziła w swych „Rocznikach", których tom XIV jest obecnie w druku.

U nas podobne badanie kraju musiało wziąć na siebie prywatne grono ludzi dobréj woli... W rzewnéj chwili myśl rzucona, prędko przyoblekła się w ciało. Nie było ani pieniężnego zasiłku, ani możności przygotowania licznych spółpracujących, ani nawet nadziei zainteresowania naszego ogółu choćby na tyle, by koszta wydawnictwa pokryć można było. Nie mogąc odrazu badań tych prowadzić

na wzór Galicyjskich, musiano, jako zadanie postawić sobie tymczasem korzystanie z tych sił, jakie się znalazły, częścią zwracając je ku opracowaniu materyałów, jakie były już sporadycznie nagromadzone, częścią skłaniając je ku podjęciu studyów specyalnych. Chociaż wydawcy scharakteryzowali w przedmowie te usiłowania, jako „wzięcie się do pracy w jakikolwiek sposób“, to jednak bezinteresowne, prawdziwém zamiłowaniem rzeczy natchnione prace, które się na ten tom pierwszy złożyły, dały nam zbiór wielce pokaźny i treścią swą, jak zobaczymy, nader poważny i cenny, co samo przez się jest już dobrą wróżbą dla dalszych badań stosunków fizyograficznych naszego kraju. Drugą dobrą wróżbą dla wydawnictwa jest przypisanie tego tomu pierwszego „w jubileuszowym roku naukowéj działalności“ temuż Majerowi, który tak szczęśliwie powołał do życia wciąż coraz więcéj się rozwijającą komisyą fizyograficzną Krakowską.

„Pamiętnik fizyograficzny“ rozpada się na pięć działów.

Dział pierwszy: „*meteorologia i hydrografia*“ zawiera następujące prace:

„*O spostrzeżeniach meteorologicznych w Warszawie*“ przez d-ra Jana *Kowalczyka* (str. 1—46). Podawszy ogólne uwagi o ważności obserwacyj meteorologicznych oraz krótką wiadomość historyczną o dokonywaniu takowych w naszym kraju, autor zdaje następnie sprawę ze sposobu robienia tych dostrzeżeń w Warszawie, a opisawszy przyrządy, używane do doświadczeń, objaśnia pięć „wykazów,“ stanowiących treść téj pracy. W pierwszym podaje średnie dzienne i miesięczne stanu termometru za lat 55, od r. 1826 do końca r. 1880; są one tak zestawione, że dają jednocześnie obraz przebiegu temperatury za każdy dzień i miesiąc w ciągu całego okresu. Wykaz drugi obejmuje miesięczną ilość wody spadłéj z deszczu, śniegu i gradu dla 21 lat od r. 1860 do r. 1880, wraz z liczbą dni, w których ta woda w odpowiednich miesiącach spadała; w dodatku do niego podane są wydobyte z papierów zmarłego astronoma Jana Baranowskiego liczby, wykazujące średnie miesięczne z okresu 42 lat od r. 1828 do r. 1870 ilości opadów deszczowego oddzielnie i śniegowego oddzielnie, oraz największe w tym okresie miesięczne ilości wody z samego śniegu. Wykaz trzeci obejmuje obliczoną na mocy wykazu pierwszego średnią normalną temperaturę każdego dnia wziętą z owego 55 letniego okresu, oraz w ciągu tegoż okresu przytrafiające się w każdym dniu: temperatury średnie maksymalne i minimalne, deszcze, śniegi, grady i wichry. Ten więc wykaz podaje niejako monografie oddzielnych dni roku, obliczone za peryód dostatecznie długi, aby te dane przyjąć za charakteryzujące oddzielne dnie w roku, uważane normal-

nie. Podobne liczby za tenże okres, obliczone dla miesięcy, stanowią jedną część wykazu czwartego; drugą zaś jego część stanowią średnie miesięczne normalne, maksymalne i minimalne obliczone z tegoż okresu, oraz miesięczne ilości opadów wodnych obrachowane z danych wykazu drugiego. Piąty wreszcie, dodatkowy wykaz obejmuje wypadki miesięczne ze spostrzeżeń ks. Bystrzyckiego, astronoma Stanisława-Augusta (1779—1799) i fizyka Magiera (1803—1828), według obrachowań Baranowskiego, który owe spostrzeżenia uchronił swego czasu od zagłady i nabył na własność obserwatoryum.

Skutkiem trafnego zużytkowania danych, właściwego zestawienia rezultatów, uciążliwych obliczań, praca p. Kowalczyka stała się taką, iż wszelkie wnioski z danych meteorologicznych w Warszawie na niéj opierać się będą musiały. Dlatego téż wydawcy „Pam. Fizyog.", rozumiejąc ważność téj pracy, podnieśli jeszcze jéj użyteczność przez dodanie tablicy, na któréj p. Słowikowski, inżynier, w świetny sposób uwidocznił wykazy II i III studyum p. Kowalczyka. Trudno tu opisywać tę tablicę. Trzeba ją widzić, by ocenić zręczność w obmyśleniu uplastycznienia i pracowitość ilustratora.

„*Spostrzeżenia stacyi meteorologicznej w Płońsku, w gubernii płockiéj*" przez dra med. *Jędrzejewicza* (str. 47—54). Po podaniu opisu położenia obserwatoryum, sposobu dokonywania doświadczeń i przyrządów używanych, autor, który poważne imię już sobie wyrobić zdołał, zestawia średnie miesięczne i roczne stanu termometru i barometru, wilgotności powietrza, kierunku wypadkowego oraz stosunku różnokierunkowych wiatrów, natężenia ozonu, zachmurzenia, dni deszczu, śniegu itd , oraz ilości opadu. Z tych zaś liczb wyprowadza ciekawe wnioski dla klimatu, zdrowotności i rozwoju roślinności okolicy. Pozwolimy sobie tylko zauważyć, że autor nie objaśnił, dla czego drugiéj codziennéj obserwacyi stanu termometru dokonywa na swojem obserwatoryum o godzinie 2 po poł. (str. 48), gdy na obserwatoryum warsz. robią ją o godzinę wcześniéj (str. 4).

„*Stan wody na Wiśle pod Warszawą od 1860 do r. 1880, z oznaczaniem peryodów stawania i puszczania lodów*" przez mag. Józefa *Słowikowskiego*, inżyniera (str. 55—73). Praca niniejsza jest dalszym ciągiem, o ile się to odnosi do obserwacyj pod Warszawą dokonywanych, ogłoszonéj przed 20 laty części pracy Wilhelma Kolberga: „Wisła, jéj bieg, własności i spławność", w któréj podobne obserwacye doprowadzone są do końca r. 1859. Dawszy we wstępie charakterystyczny rys historyczny oznaczania zera, oraz rozmaitości jednostek miary używanych, autor w wykazie zestawia obserwacye każdodzienne oraz średnie miesięczne stanu wody w ciągu lat 20 od 1860 do 1879; dane te zaś uwidocznia graficznie na dołączonéj ta-

blicy. Szkoda tylko, że autor bliżéj nie objaśnił, w czém i dla jakich mianowicie pobudek odstąpił „od schematu, nakreślonego przez“ Kolberga (str. 59).

„*Osuszenie błot Poleskich*“ (str. 75—79). Artykuł ten jest streszczeniem broszury „Osuszytelnyja roboty w Polesii,“ zawiera krótkie wiadomości o warunkach geograficznych i klimatologicznych Polesia, wzmiankę o roślinności, jakotéż opis tak badań przygowawczych, jak i samego osuszenia téj prowincyi. Wydawcy go umieścili ze względu na niżéj podane studyum o stosunkach geologicznych Polesia.

„*Ołowianka i jéj użycie przy mierzeniu głębokości wód*“ przez mag. Eugeniusza *Dziewulskiego* (str. 80—85). Jestto szczegółowy opis, objaśniony rysunkiem, ołowianki do mierzenia głębokości wód i dobywania próby dna pomysłu prof. Dybowskiego, wraz ze wskazówkami jéj użycia.

„*Pięć stawów w dolinie Roztoki w Tatrach polskich*“ (str. 86—100) „*Jeziora rypińskie*“ (str. 101—109) „*Jeziora Firlejowskie*“ (str. 110—111) p. *Dziewulskiego*. Pierwsza z tych prac jest wyczerpującą wielostronną monografią tych wysoko nad poziom morza wyniesionych zbiorników wód. Druga jest sprawozdaniem z tygodniowéj wycieczki, w czasie któréj autor zebrał stosunkowo znaczną ilość obserwacyj. Ostatnia wreszcie jest sprawozdaniem z pomiarów dokonanych przez pp. Gepnera i Ślósarskiego dwu jezior w okolicy m. Firleja po lewym brzegu Wieprza, będących niejako ostatniemi w szeregu jezior, tworzących pewien łańcuch, wychodzący z błot Pińskich. Mapy okolic każdéj grupy tych jezior, jakotéż karty z oznaczeniem głębokości ich w różnych punktach są do tych prac dołączone.

Dział drugi: „*geologia i chemia*“ składają prace:

„*Poszukiwania geologiczne dokonane w ostatnich latach na Polesiu*“ przez Inż. Wincentego *Choroszewskiego* (str. 115—132). W artykule tym, do którego dodana jest szczegółowa mapa Polesia z oznaczeniem na niéj kanałów dawnych, nowych i projektowanych, oraz otworów świdrowych, robionych teraz w celach geologicznych, autor, zastanowiwszy się krytycznie nad poprzedniemi badaniami częściowemi i różnemi rozpowszechnionemi domysłami o stosunkach geologicznych Polesia, przedstawia następnie rezultaty systematycznych poszukiwań, prowadzonych w ostatnich czasach. Z wyczerpującego zestawienia niektórych z tych wyników autor wyprowadza wniosek, iż powtarzane i podtrzymywane przez wielu geologów przypuszczenie prof. Eichwalda, jakoby błota poleskie spoczywały bezpośrednio na granitach, nie ma racyi bytu; podstawą zaś, czyli łożem błot Polesia jest niebiesko-szaro-czarna, mocno zbita glina, w niektórych zaś

miejscach Polesia zachodniego masy kredowe, utworzone skutkiem starcia skał formacyi kredowéj przez lodowce i głazy narzutowe, przyczém tak gliny jak i masy kredowe uznać należy za późniejsze niż formacya trzeciorzędowa, mianowicie za utwory tak zwanéj epoki popliocenowéj. Szczegółowiéj autor podaje swe badania o wyjątkowéj naturze źródła Oko w powiecie Łuckim, jedynym pokładzie wegla brunatnego pod Mozyrzem i bursztynie znalezionym w pobliżu wsi Lubiazia. Kończy zaś tę pracę zapowiedzią ciekawego artykułu o okolicach Owrucza, a osobliwie wsi Zbranki, gdzie na niewielkiéj stosunkowo przestrzeni znajdować się mają przedstawiciele wszystkich geologicznych formacyi i utworów.

„*Nowe przyczynki do geognozyi Polski*" przez J. B. *Puscha*, tłómaczył kand. B. *Rajchman* (str. 133—167). Jestto pierwsza z siedmiu rozpraw napisanych przez Puscha między 1836—1846 r., w których ten uczony zamierzył zebrać uzupełnienia i sprostowania opisów, podanych w jego dziele „Geognostyczne opisanie Polski i innych krajów północno Karpackich" (1833, 1836); poświęcona jest ona mianowicie dokładniejszemu rozróżnieniu i oznaczeniu ogniw Polsko-Górnoszląskiéj formacyi i wapienia muszlowego i istnieniu grupy gipsowéj, albo anhydrytowéj w wapieniu muszlowym Polski południowo-zachodniéj. Uznana wartość naukowa i źródłowość prac Puscha słusznie skłoniła redakcyą Pamiętnika do wydania z rękopismu téj rozprawy, dotąd na ogłoszenie drukiem czekającéj. Dalsze mają się ukazać w następujących tomach.

„*Krótkie sprawozdanie z badań geologicznych, dokonanych w południowo zachodniéj części Królestwa Polskiego w r. 1880*" przez Inż. Stanisława *Kontkiewicza* (str. 168—171). Przedmiotem szczegółowych badań autora, których rezultaty w tym artykule podaje, była okolica między Wisłą, Nidą, Czarną i górami Śto-Krzyskiemi. Z uwag autora nad występującemi tu, oprócz utworów aluwialnych, formacyami: kredową, trzeciorzędową i dyluwialną, najważniejszemi są uwagi odnoszące się do utworów trzeciorzędowych; utwory te zupełnie podobne do takichże utworów Galicyi i zagłębia Wiedeńskiego. W tych zaś utworach, które w téj okolicy były oddzielone od innych pod nazwą najmłodszej formacyi piaskowca muszlowego, autor konstatuje występowanie piętra sarmackiego, dotychczas nieznanego w Królestwie.

„*O występowaniu piętra sarmackiego i górnego śródziemnego formacyi miocenicznéj w gubernii Lubelskiéj*" przez prof. Jana *Trejdosiewicza* (str. 171—172). Autor wylicza w tym artykule miejscowości na prawym brzegu Wisły, w których w wycieczkach swych znalazł

utwory piętra sarmackiego jakotéż górnego śródziemnego, oraz zaznacza ich łączność z galicyjskiemi osadami sarmackiemi.

„*Kilka słów o karcie geologicznéj Wołynia Godfryda Ossowskiego*“ (str. 173—175). „*Zbiory geologiczne pozostałe po Ludwiku Zejsznerze*“ (str. 175) p. *Kontkiewicza.* W pierwszym artykule recenzent wszystkie swoje zarzuty uzasadnia gruntownie. Drugi ma na celu zaznaczenie smutnego losu bogatéj i cennéj niegdyś kolekcyi, pracowicie przez Zejsznera zbieranéj.

„*O wodach mineralnych buskich*“ przez kand. Bronisława *Pawlewskiego* (176—179). Wzmianka historyczna i szczegółowe rozbiory źródeł.

„*Rozbiory chemiczne czterech skał Tatrzańskich*“ dokonane przez kand. Bronisława *Znatowicza* (str. 180—182).

Dział trzeci: „*botanika i zoologia*“ obejmuje rozprawy:

„*O Łukowskiem płaskowzgórzu i nieco o jego roślinności jawnokwiatowéj*“ przez Kazimierza *Łapczyńskiego* (str. 183—199). Autor w części pierwszéj podaje opis okolic Łukowa, ze szczególném uwzględnieniem biegu rzek i znajdowania się jodły oraz wspomina o roślinach wymienianych przez Jastrzębowskiego. Następnie podaje obszerny przegląd roślinności jawnokwiatowéj tego płaskowzgórza, w czém pewną dlań pomocą były zielniki rodziny Hemplów i wskazówki rozmieszczenia roślin p. Joachima Hempla.

„*Wiadomość o trzech roślinach z rodziny złożonych, znalezionych w Lubelskiem*“ podał K. *Łapczyński* (str. 200—207). Dwie z nich: Kąsinę akantolistną, znalezioną koło Chełma przez p. Maryą Hemplówną, i Kąsinę pojedyńczą, zebraną koło Dubieńki przez p. Joachima Hempla, jako pierwsze u nas okazy, p. Łapczyński opisuje drobiazgowo.

„*Flora okolic Częstochowy*“ przez Ferdynanda *Karo* (str. 208—257). Autor wylicza zebrane lub obserwowane gatunki, notując je rodzinami, według systematu Brauna, a przy każdym gatunku podaje miejscowości ich znajdowania się, oraz miesiące ich kwitnienia. Jestto rezultat sześcioletnich systematycznych zbierań.

„*Spis mchów, wątrobowców i porostów z niektórych stanowisk Królestwa Polskiego*“ przez dra Kazimierza *Filipowicza* (str. 258—267) a mianowicie z doliny Ojcowskiéj i Bentkowickiéj, okolic Warszawy, Łukowa, Puław i Brześcia Litewskiego.

„*Fauna zwierząt ssących Warszawy i jéj stosunek do fauny całego kraju*“ przez A. *Wałeckiego* (str. 268—291). Autor zaznacza kolejno rozmaite gatunki ssących, napotykanych w obrębie wałów Warszawy, nie wyłączając więc takich np. miejscowości, jak Łazienek. Opisuje przytém różne swoje dostrzeżenia, czynione co do

niektórych właściwości i zwyczajów tych zwierząt. Ciekawe są np. uwagi o niedoperzach miejscowych, jeżu itd. Z ogólnéj liczby 69 gatunków ssących w kraju, w Warszawie pojawiają się przedstawicieiele 28 gatunków. Oprócz tego podany jest wykaz dostrzeżeń nieznanych przedtem w kraju gatunków od r. 1857 do roku 1880.

„*Materyały do fauny malakologicznéj Królestwa Polskiego*“ przez mag. Antoniego *Ślósarskiego* (str. 292—320). Rzecz swą rozpoczyna autor od podania szczegółowych wskazówek o sposobie zbierania i przechowywania mięczaków. Podawszy ogólne cechy ślimaków nagich, przechodzi szczegółowo rodzaje i znajdujące się w kraju gatunki, do czego jest dodana tablicą starannie zrobionych rysunków. Kończy zaś rzecz opisem nowego gatunku ślimaka z gór Święto-Krzyzkich, który autor nazwał Helix Lubomirski.

„*Goplana polonica*“ przez prof. Augusta *Wrześniowskiego* (str. 321—347). Po ustaleniu terminologii i uwagach ogólnych o budowie skorupiaków obunogich, autor ustanawia nowy rodzaj Goplana i szczegółowo opisuje ustalony przez siebie gatunek Goplana polonica, którego wiele okazów napotkał po raz pierwszy przed sześciu laty w rowie oddzielającym ogrody Belwederski i Łazienkowski od pól zamiejskich; przed trzema laty takież okazy znalazł prof. Dybowski we wsi Białopole w Hrubieszowskiem. Nadto autor zaznacza, iż opisany w r. 1846 przez F. Müllera skorupiak pod nazwą Gammarus ambulans wypada uważać za inny gatunek tegoż rodzaju Goplana. Do rozprawy dodane dwie tablice rysunków.

„*Uzbrojenie gęby i mechanizm wysysania pokarmów u gąsienicy mrówkolwa*“ przez studenta J. *Nusbauma* (str. 349—355) z jedną tablicą rysunków. W pracowitéj téj monografii autor podaje te tylko wyniki własnych badań, które mają związek z mechanizmem wysysania zdobyczy, pomijając szczegóły histologiczne. Monografią tą p. Nusbaum stanął w rzędzie poważnych badaczów.

„*Spis owadów dwuskrzydłych, zebranych w Królestwie Polskiem i gubernii Mińskiéj*“ przez dra J. *Sznabla* (str. 357—390). Obszerne wskazówki zbierania u nas owadów dwuskrzydłych, które rozpoczynają tę rozprawę, mają wielką wartość ze względu na masę cennych szczegółów. W spisie samym podane są miejscowości i miesiące.

Dział czwarty, poświęcony „*antropologii*“, złożył się z następujących rozpraw:

„*Żalnik w Kwiatkowie*“ przez Seweryna *Tymienieckiego*o (str. 393—398). Autor zdaje sprawę z urn, wyrobów żelaznych i bronzowych, znalezionych na cmentarzysku we wsi Kwiatkowie nad Wartą w powiecie Kolskim, a tak z tych zabytków, jak i z formy grobów

wnosi, iż ono ze świeższych przedhistorycznych datuje się czasów; 25 rysunków, wykonanych przez J. *Peszkego*, przedstawiają ważniejsze z tych zabytków.

„*Wykopaliska Marienhauskie*“ przez Zygmunta *Glogera* (str. 399—402). Artykuł ten poświęcony jest opisowi podobnych przedmiotów, znalezionych na cmentarzyskach w Marienhausie, ostatnim na północy zameczku z miasteczkiem, należącem niegdyś do Polski, oraz w pobliskiéj miejscowości, zwanéj Gabaczewo. Ciekawsze są przedstawione na załączonéj tablicy. Zabytki te należą już do pierwszych wieków chrześcijaństwa w tym kraju. Na pierwszém z tych cmentarzysk znalazł jednak autor pierwszą na ziemiach polskich czaszkę trepanowaną; czaszki były częścią długogłowe, częścią krótkogłowe. Opisowi szczegółowemu czaszki trepanowanéj i dwu również jak i tamta długogłowych czaszek jest poświęcony następny artykuł:

„*O czaszkach ludzkich z cmentarzyska w Marienhausie*“ przez d-ra L. *Dudrewicza* (str. 403—406). Czaszka trepanowana należy do epoki o wiele wieków późniejszéj, niż podobne czaszki napotykane w dolmenach i jaskiniach Francyi, i według zdania autora, była prześwidrowaną za pomocą stalowéj cylindrycznéj piły, czyli tak zwanego trepana i elewatora u lewego końca rany kości w celu podniesienia lub wydobycia zapadłego kawałka, po którym nawet został ślad na wewnętrznéj blaszce kości u prawego brzegu otworu.

„*Czaszka z torfowiska wsi Salwonki*“ p. *Dudrewicza* (str. 407—409). Autor udawadnia, iż czaszka ta, znaleziona pod torfowiskiem w okolicach Białéjcerkwi, należąc do typu długogłowego, nie ma najmniejszego powinowactwa rasowego z tegoczesną ludnością Wołynia i Słowianami w ogólności. Do obu tych artykułów dodana jest tablica rysunków, wykonanych przez d-ra Peszkego.

„*O imieniu Polaków i Polski*“ przez d-ra Jana *Karłowicza* (str. 410—423). Podawszy wzmianki kronikarskie imienia Polaków i Polski i słoworody tak dawniejsze jak i nowsze, autor uzasadnia wywód słów Polak, Polska od pole, objaśnia rzeczownikową odmianę pierwotnego przymiotnika Polska i zastanawia się nad formą: w Polszcze. Kończy zaś ustępem o Polaku i Polsce w wyobrażeniu i gwarach ludu, u cudzoziemców, w przysłowiach i t. d.

Nakoniec w piątym dziale „*Miscelanea*“ znalazły pomieszczenie: *Krótka wiadomość o robieniu spostrzeżeń meteorologicznych* p. *Kowalczyka* (str. 427—445); *O spostrzeżeniach meteorologicznych, dokonywanych bez pomocy przyrządów* przez Apol. *Pietkiewicza* i *Jędrzejewicza* (str. 446—448); *Brzegi i dolina rzeki Liwca* przez Tymoteusza *Łuniewskiego* (str 453—463) z mapą; jest-to wielostronnie opracowana mono-

grafia téj okolicy; *Skamieniałości, nadesłane do wydawnictwa* (str. 464), opis według zdeterminowania p. Ślósarskiego; wreszcie praca przysłana zbyt późno, by mogła być w dziale pierwszym zamieszczona: *Wyniki z doświadczeń meteorologicznych, dokonanych w ciągu ostatnich lat pięciu* (1876—1880) *w Pińsku* p. *Choroszewskiego* (str. 449—452).

Zewnętrzna strona wydawnictwa nader staranna i poważna. Pod względem typograficznym zaznaczyć także należy niezbite czcionki i bardzo staranną korektę, do czego nas drukarnie tutejsze nie przyzwyczaiły. Tablice rysunków wykonane w litografii W. Główczewskiego przepysznie, nie pozostawiają nic do życzenia. Redakcya zachowała pisownią jednostajną, postępową.

Dla czegośmy się podjęli sprawozdania z tego wydawnictwa i tak obszernie o niem się rozpisali? Dlaczego redakcya „Ateneum“ tyle nam na to miejsca udzieliła?

Chcieliśmy przedewszystkiem podaniem treści tego tomu zwrócić nań uwagę tych wszystkich czytelników „Ateneum,“ którzy ocenić mogą poważne usiłowania należytego poznania naszego kraju. Zrozumieć oni przytem winni, iż dalsze losy tego doniosłego wydawnictwa zależą w części od zainteresowania się niém szerszéj publiczności. Ubliżalibyśmy naszemu społeczeństwu, gdybyśmy przypuszczali, iż obojętnością ostudzi poczciwe usiłowania wydawców i spółpracowników „Pamiętnika Fizyograficznego.“

Chcielibyśmy nadto, aby u nas mógł się wytworzyć zastęp, na wzór Galicyjskiego, ludzi pragnących wedle sił i możności przyłożyć się do fizyograficznego zbadania kraju. W tomie pierwszym umyślnie pomieszczono wiele wskazówek, mogących im w tym celu być użytecznemi. Prócz dwu pierwszych bowiem artykułów działu piątego, podają je na początku swych prac pp. Ślósarski i Sznabl; wskazówkami same przez się są wreszcie artykuły pp. Wałeckiego i Łuniewskiego. Nadto, drobiazgowych wszelkich objaśnień mogą dostarczyć wydawcy, którzy nawet (str. 445) wzywają osoby chętne do zakładania stacyj meteorologicznych. Nie zapominajmy, iż do wytrwałéj, w celu poznania własnego kraju, spólnéj pracy całym zastępem gorąco nawoływał mąż wielkiego serca, Stanisław Staszyc. A przez lat tyle takeśmy mało w tym kierunku robili.

Maryan A. Baraniecki.

Gwara brzezińska w starostwie Ropczyckim. Studyum dyalektologiczne Romana Zawilińskiego. (Osobne odbicie z Rozpraw Akad. umiej. Wydz. filolog. tom VIII, Kraków 1880. 8-o str. 58,9).

Badania dyalektologiczne, któremi teraźniejsi gramatycy tak gorąco się zajmują, liczą i u nas coraz więcéj zwolenników. W styczniowym zeszycie podaliśmy ocenę „Gwary lasowskiéj" p. S. Matusiaka, teraz zaś mamy znowu przed oczyma podobną pracę p. R. Zawilińskiego, w któréj autor podaje nam umiejętne opracowanie języka, jakim mówi lud we wsi Brzezinach, koło Ropczyc w Galicyi.

Nim przystąpię do wykazania wad i zalet téj pracy, przytoczę niektóre właściwości gwary brzezińskiéj: 1) Samogłoski, zaczynające wyraz, mają prawie zawsze przed sobą dźwięk spółgłoskowy, a mianowicie: *o* ma dźwięk wargowy ŭ, przed *a* stoi *j* lub *h*; przed *i*, a niekiedy i przed *e*, jest *j*. Właściwość ta wspólna jest i innym gwarom polskim. 2) Pierwotne *e* wraca w wyrazach, jak: wiedę, mietę, bierę, niesą wiezą, gnietwa, pletwa (og. pols. gniotła, plotła), mietwa (miotła), wiesna, zeniaty, biedra, pieter, wawrzeniec. 3) Dążność do samogłoski *e* objawia się w wyrazach, jak: preceŝ (og. pols. proces), hereśt, krechy (og. pols. kruchy), daléj w formach deklinacyjnych i konjugacyjnych, jak: dobrem panem, cawem sercem; w dobrem panie, w dobrem dziecku; dobremi ziemniakami, dobremi córkami, mawemi nocami, a nawet w celowniku l. mn. dobrem panom, dobrem matkom, dobrem dzieciom, co już i w ogólnéj mowie pewnych okolic zauważył prof. Baudouin de Courtenay (Beitr. VIII. 238—239); w trybie rozkazującym słów, jak: cekej (og. pols. czekaj), swuchej (sluchaj), spytej sie, witejcie i t. p. w formach analog. bedemy, vlekemy i t. p., daléj w wyrazach: dzisiej, bodej. 4) Samogłoska *i* przechodzi przed *w* (wargowe *ł*) na *u* w imiesł. czasu przeszłego, np. męskie patrzuw, lubiuw, nijakie mówiuo, w rodzaju żeńskim zaś przytém *w* niknie np. spalua, parzua, zamiast: spaluwa, parzuwa i t. p. 5) Miękkie *e* + *w* (*ł*) przechodzi w miękkie *o* + *w* (*ł*) w wyrazach, jak: uorzow, uosiow, koziow (og. pols. orzeł, osieł, kozieł). 6) *u* przed nosowemi przechodzi na *o* w przyswojonych: tronna, fortona, font, gront. 7) Samogłoski ścieśnione: *é*, *ó*, *á* występują tu wyraźnie, jak w innych gwarach polskich. 8) Samogłoski nosowe nie różnią się prawie od tych jakie są w ogólnym języku, z tym wyjątkiem, że w niektórych formach ginie rynezm, jak np. piekny, do studnie, mie, cie, sie, biernik: córke, studnio; w innych zaś występują twory analogiczne, jak np. narzędnik: s flaskom, mwodom, ze mnom. 9) Nowotwory jak: zawilęński, mercęński zamiast Zawiliński, merczyński, margorzęⁿta (małgorzata). 10) Dwadzieścia ściąga się w dwaścia, powiedział w pedziaᵘ, lecz

nie ściąga się w imiesłowie czasu przeszłego rodz. żeń. po zniknięciu *w* (*ł*): braa, daa i t. p. zamiast brała, dała. 11) *kt* przechodzi na *cht*, np. utchnąć, dochtór; *chv* na *kv* np. kwast, kwalić; *ch* występuje obok *f* lub je zastępuje np. uochfiara, niefcący. 12) W miejscu og. pols. *j*. często z rozmaitych przyczyn występuje dźwięk *ń*: weńść, wyńść, uodeńść, mieńsce, bartwomień, wcorańsy, dzisieńsy. 13) Gwara brzezińska jest na pół mazurską, bo obok: zenić, cięzar, bozy, zelazo słychać: żyd, żyto, boży, szcekać, szczęście, pożycać, duszycka i t. p. Mówią tu, jak w gwarze lasowskiéj, obok: lekarztwo, cesarzki, naparztek, warztat, także gospodarzstwo. Zębowo sycząca podwaja się w wyrazach: mięsso, do lassa, bosso i t. p. 13) *r* i *z* zlewa się w ř w wyrazach: mařnąć, bař; *r* znika na początku w prepozycyi roz-: ᵘozdar; *ł* brzmi wargowo jak ŭ, co oznacza autor przez *w*, np. gwowa, mwyjn (młyn), mìwy (miły), mwody, uorzow (orzeł) i t. p. ginie na końcu w imiesłowach czasu przeszłego po spółgłoskach np. móg, umar, zezar, zjad; przechodzi zaś na słabe wargowe *u* po samogłoskach: swysáᵘ, chciaᵘ. Nadto ginie *ł* w tychże imiesłowach żeń. braa, miaa; po niektórych spółgłoskach w wyrazach, jak: stuc, pcha, gupi, dugo, zamiast słuc, pchła, głupi, długo i t. p. 14) Zębowe *t*, *d*, giną w wyrazach, jak: paśvisko, rzonmie (rządnie, porządnie), przyświacać, zaświacenie; *m* występuje, gdzie w og. pols. jest *n*: mikwy (nikły), mikodem. 15) Wargowe *w* ginie w chytać, stązką, schód, piersy, dzikoski, boboski i t. p. 16) Imiesłowy: umarty, podstany; temata rzeczownikowe: uopwat, por. staropols. *płat* i dzisiejsze u klas rzemieślniczych używane wypłat; żeńskie: biedra, kapuścina, kądzielina, goszcelina, próznica, liska, mrocka (mrówka); nijakie: pozwoleństwo; temata przymiotnikowe: probantny (doświadczony), śwarny, wilgny, wartny, wsioski (wiejski), stopień wyższy: piersiejsy, chorsy, terańsy. 17) W deklinacyi: ze dvora, deszca, z jutrznie, z duse, panowi, uojcovi; biernik: moję corke, drugo noge, dobrom paso, lepsą studnio mámy, dobrom fuzyjom; wołacz: sváku, bratu; narzędnik: s flaskom, s pomocom; miejscownik: w panie, w synie; liczba mnoga: roki, pśi, bartowie, bratów; liczba podwójna: dwa garca, dwa korca, paru chwopóv, rzadko: dwiema rękama i dwioma (str. 6). 18) W konjugacyi: końcówka tr. rozkazującego *-va*, np. zabierzwa sie; z kombinacyi téj końcówki z końcówką *-my* liczby mnogiej powstała końcówka *-ma*, np. weźma sie. Formy: jezdem, jezdeś, jest, sąmy, sąście, są; z analogii do 1 osoby liczby pojedyńczéj są tu formy: bedemy, jidemy, gnietemy, zasnemy, kwalemy, widzemy, wrócemy, lezemy i t. p.

Większa część wyliczonych tu zjawisk w gwarze brzezińskiéj nie jest cechą wyłączną téj gwary, lecz znajduje się i w innych zna-

nych dotychczas, jak np. w opolskiéj, kasińskiéj (1), kozielskiéj (2) i lasowskiéj. Nie znajdujemy tu ani tak ważnych odkryć niejako i objaśnień, jak w gwarze opolskiéj prof. Malinowskiego, ani téż z drugiéj strony tak ciekawego materyału, jak w gwarze lasowskiéj. W szczegółach da się zarzucić pracy téj głównie to, że autor nie wszędzie podział wzoru (pr. Malinowski), którym się przy opracowaniu posługiwał, dobrze zrozumiał. Wskutek tego niektóre zjawiska są z sobą pomieszane, przegląd zaś w niektórych miejscach niedokładny. Przytém w samém notowaniu zjawisk brak czasem konsekwencyi, jakkolwiek autor język swego miejsca rodzinnego zna dokładnie. Tak np. na str. 10 podaje autor, że *u* przechodzi w *o* w wyrazie *tronna*, a jednak na str. 31 znajdujemy *trunna*. W wielu miejscach objaśnia autor zjawiska niedokładnie lub wcale ich nie objaśnia. W wyrazach: ściérwo, świérk, siérp, zér (str. 11) nie tkwi starosł. ѣ, bo w starosłow. odpowiadają im: стрьвь, смрьчь (cedrus), срьпъ, жрь (por. Miklosich, Lexicon linguae palaeoslov.). Jako *lapsus calami* uważam pomieszczenie form: z wielgi radości, s ty biedy (str. 12) w przykładach narzędnika i miejscownika. W formach tych dopełniacza i w przytoczonych daléj: miwy (miły) somsiady, kochany córunie, uważałbym raczéj szczątek deklinacyi rzeczownikowéj przymiotników, niż przejście *-ej* w *-y*. Tak samo w przysłówkach stopnia wyższego: dali, gorzy, lepi i t. p. uważaćby można nie przejście *-ej* w *-i*, lecz raczéj ścieśnienie pierwotnéj końcówki ě: dale, gorze, lepie, w dalé, gorzé, lepié, a następnie: dali, gorzy, lepi. Niewłaściwy podział w szczegółach spostrzega się mianowicie w przedstawieniu zjawisk *á* ścieśnionego, a po części i w samogłoskach nosowych. Zjawiska, w których występuje *á* ścieśnione, dzieli autor na 3 główne działy: 1) *á* ścieśnione powstało z przedłużenia, 2) *á* wywołane następstwem spółgłosek, 3) *á* ze ściągnięcia. Faktem jest, że głównie przyczyny ścieśnienia samogłoski szukać trzeba albo w stopniowaniu samogłosek, albo w zdłużeniu zastępczém, albo w ściągnięciu, albo téż wreszcie w akcencie pierwotnym. Autor jednak pod działy swe podciągnął i takie zjawiska, które do nich wcale nie należą. Tak np. pod I) wyliczywszy 7 rodzajów zjawisk, w których są przypadki różnego przedłużenia a raczéj stopniowania samogłosek, przyłącza do tego działu ścieśnie-

---

(1) Głoski nosowe w gwarze ludowéj we wsi Kaśnie oraz niektóre inne właściwości téj gwary przez L. Malinowskiego. Kraków, 1880.

(2) Ślady dyjalektyczne w oznaczeniu samogłosek nosowych w kilku zabytkach języka polskiego wieku XV i XVI przez L. Malinowskiego. Kraków, 1880.

nie w sufiksach: -ák, -ácz, -ászek, -ál, -árz, -án i przyimki zá-, ná-, nád- w złożeniach, jak gdyby w tych przypadkach powstało *á* ścieśnione także ze stopniowania. Na zjawiska te trzeba było utworzyć osobną kategoryą, bo ścieśnienie a dawniéj przedłużenie powstało zapewne w tych razach pod wpływem pierwotnego akcentu.

Przez rozdrobnienie przykładów na liczne szczegóły i szczególiki dopuścił się autor niejednego błędu. Tak np. w § 10 sądzi, że w czasowniku stáć jest *á* ścieśnione z powodu przedłużenia *o* na *a* jak w czasowniku *pomagać*, w § 12 zaś upatruje przyczynę ścieśnienia w ściągnięciu z *ija* lub *ěja*, gdy tymczasem *stáć* jest ściągnięte ze *stojać*, podobnie też *báć sie* z *bojać sie*. W czasownikach: mácać, pásać nie jest *o* przedłużone w *a*, jak w słowach: gániać, máwiać, które do jednéj kategoryi są zaliczone. To samo tyczy się rzeczowników: vár, gáj, rárόg. W rzeczownikach: kwiatek, piasek tkwi sufiks -ък, a nie -ьк, bo byłoby: kwiaćek, piaśek. Imiesłów bierny cz. przeszł. rodz. żeńs. ^{u}ustrojoná, vzię^{n}tá, vybavioná i t. p. ma *á* ścieśnione, szkoda jednak, że autor nie podał w jakiém użyciu, czy jako przydawka, czy jako orzeczenie, czy téż może w obu razach. Wiemy bowiem, że w orzeczeniu najdłużéj się zachowała forma rzeczownikowa przymiotników i imiesłowów, w takim więc razie powodu do ścieśnienia by nie było, tylko w przydawce. Rozkład samogłosek nosowych dobry jest, lecz autor, wszystkich zjawisk w tym rozkładzie nie umieściwszy, musiał tworzyć późniéj nowe kategorye, w których do pewnych zjawisk drugi raz powtórzonych dodaje inne jeszcze nie wzmiankowane. Tak np. przy refleksach starosł. ѧ (og. pols. ę) należało umieścić w pierwiastkach bedę, bedzie, bedemy (ze str. 22), w sufiksach noge, córke (biernik, ze str. 37); podobnie przy refleksach starosł. ѫ (og. pols. ǫ) obok: panią, kuznią, należało przytoczyć bierniki: paszo, studnio (ze str. 37), obok leliją, komisyją bierniki: vilijom, fuzyjom (str. 37); tak samo ma się rzecz z formami narzędnika: dobrǫ^{m} (str. 20), z mwodom (str. 21), z dobro matkom (str. 22), i t. p. Wprawdzie jest-to rzecz więcéj formalna, ale przysłowie mówi: *qui bene distinguit, bene docet.* A w pracach podobnych właśnie o to chodzi, aby zjawiska do pewnéj kategoryi należące jak najdokładniéj zebrać i najdogodniéj przedstawić. Gdy te bowiem po różnych miejscach porozrzucane będą, rzecz traci na ścisłości. W formach: z mwodom (z młodą), s flaskom, s pomocom, zemnom, upatrywałbym raczéj twory analogiczne, niż rozłożenie się na samogłoskę czystą i spółgłoskę nosową (str. 21). Autor zauważył, że w pierwiastkach i tematach po samogłosce nosowéj zjawia się jeszcze słaby dźwięk *n*, jeśli następuje spółgłoska zębowa, *m* zaś — jeśli wargowa, co jednak nie jest właściwością téj gwary wyłączną. Całkiem naturalna więc, że i przed *c* jawi się taki

pogłos *n*, gdyż to niczém nie jest innėm, jak tylko *ts*, np. gorą^n^cy, miesią^n^c (str. 21). W wyrazie *veńść* (§ 21) nie przeszło *j* na *ń*, lecz raczéj *n* znajdujące się pierwotnie w przyimku вън- z następném *ji* czasownika jiść przeszło w *ń*, zupełnie jak biernik liczby pojedyńczéj вън=venji=veń (por. Baudouin de Courtenay: O tak nazywajemoj „ewfoniczeskoj wstawkie“ sogłasnawo *n* w słow. jaz.). Podług analogii zaś wyrazu *veńść* powstały inne wyrazy, przez autora przytoczone, jak: vyńść, odeńść, obeńść sie. Tłómaczenie, w jaki sposób z wyrażenia *w ład* powstało *ve vad*, wydaje mi się trochę za sztuczne. Sądziłbym, że tu po prostu *w ład* przeszło w *v vad*, a następnie w *ve vad*. W tworzeniu tematów przymiotnikowych nie znajdujemy żadnéj wzmianki o tematach miękkich na *-ja*, jak np. górńi, zasadńi, których przykłady czytamy w „Dodatku“ str. 40 zaraz w pierwszym wierszu: „Brzeziny dzielą się na zasadńe, górńe, podkościelne, średńe i dolńe.“ Ciekawa byłaby rzecz, które przymiotniki występują tu jako temata twarde, które zaś jako miękkie. Podobne zamiłowanie do tematów miękkich spotykamy już w niektórych zabytkach staropolskich, jak np. w psałterzu Puławskim: proknye szyemę str. 42 rec. (psalm 21.22), proknya czelyadz str. 42 vers. (ps. 21,29), wyernye kaszny (fidelia praecepta) 225 v. (ps. 110.7) i t. p. Możnaby w tém upatrywać ślad dyalektyczny. Godna uwagi, że w gwarze téj i kilka innych jeszcze spotykamy właściwości, które znane nam są z najstarszych pomników języka polskiego. Tak np. stopień wyższy *piersiejsy* (§ 31), w którym tkwią oba sufiksy: -szy i -ejszy, ma odpowiednią sobie formę w psałterzu Puławskim: *slotszeyssza* nad strzedz 35 v. (ps. 18.11). Wyrażenie *po próznicy* (str. 34) znajdujemy w psałterzu Floryańskim raz: po prosznięzi ps. 62, w Puławskim zaś 3 razy: poprosznyczy 46 rec. po proznyczy 123 rec. 260 vers. Podobnie z wyrażeniem: *ńizac sie go má* (§ 38) porównać można: gichsze ny zacz ne ymaię Flor. 89. gichze nyzacz ymayę Puławs. 182 r. Do błędów, jakie z nieuwagi powstały, należy między innemi to, że autor tem. pierw. na *-ĭ* s pomocom zalicza między temata na *-a*. Szkoda, że w deklinacyi nie zwrócił jeszcze autor uwagi na to, jak kończy się miejscownik liczby mnog. zaimków i przymiotników, czy ma *e* w końcówce jak inne przypadki, czy téż *-ych*. Do wyrazów, które p. Appel (w *Rus. filol. wiestn.* N. 4) objaśnia wpływem *czynników psychicznych*, t. j. analogią, etymologią ludową i różniczkowaniem, dodałbym jeszcze następujące: *bojsko* obok bojisko (str. 9) mogło powstać w skutek poczucia pewnego związku z *bojem* i *wojskiem*, prócz wspólności więc z rzeczą samą t. j. biciem widzimy tu i analogią w sufiksie; podobnie w wyrazach: *kukówka* (kukiełka, koło Krakowa) jest pewna sufiksalna analogia do *kukuwka* (ptak kukułka), *bartwomień* (str. 25) suf. *-men-*, jak w płomień,

kamień, krzemień; w *fortona* można upatrywać analogią do *korona*, matrona, *żona*, błona i t. p.; *benedyk* (str. 29), w którym p. A. upatruje analogią sufiksu *-yk*, znajdujemy także w gwarze kasińskiéj str. 15. W wyrazach przyswojonych: *font*, *gront* możnaby uważać działanie asonancyi z wyrazami *kąt*, lont, front, jeśli tylko te dwa ostatnie są ludowi brzezińskiemu znane. Być może nawet, że *n* w tych wyrazach brzmi słabiéj przed *t* i nie wiele różni się od tego, jakie znajdujemy w wyrazach: pią^{n}tek, ką^{n}tek, sprzą^{n}tek (str. 21). W wyrazie *leńijá* (str. 9), tak samo jak w leniuszek, poczuwa się coś wspólnego z wyrazem *leniwy*; podobnie *karyta* (str. 12) i koryto; *plaski* (og. pols. płaski, str. 28) i placki od rzeczownika placek; *ochtaby* (octava) i ochaby, schaby, baby, żaby, draby; *vanatki* (jabłka Banaten str. 31) i manatki; *margorzę^{n}ta* i niebożęta, dziewczęta i t. p. mają w poczuciu ludu coś wspólnego z sobą.

W dodatku podaje autor nazwy miejsc w Brzezinach, nazwiska wieśniaków, a jako wzory języka zanotował dokładnie organiczną pisownią kilka modlitewek i obszerny opis wesela. Tak w modlitewkach, jak i w opisie wesela mamy próbki poezyi ludu brzezińskiego. W słowniku zamieszcza autor wiele bardzo ciekawych wyrazów jak np. bablać=płókać, balabajda=awanturnik, bandźoch=brzuch, belefoty=chwasty, bwanykać sie=wałęsać się, brobázgać=powalać się, brotojić śe=ruszać się gromadnie, cępny=paciepny=posępny, cyvać=chorować ciężko i być bliskim zgonu, dąg, dęgi=części beczki lub konewki, dzierzępać=targać, rwać, dziopa=dziewka, fetecie=strzępki, frędzle; gańdziara=leniuch, gomon=hałas, zamieszanie, chadra=szmata potargana, kobiéta podejrzana, haniemucha=ambitny, krąpeć=krtań, krzypota=kaszel, wopie nie wopie=łatwo nie łatwo, maźli=prędzéj, morasić=bić, tłuc, narącko=ręka od dłoni po łokieć, niepeć=niespodziewanie, niezdobocka (*zniedobaczka* u Potockiego)=nagle niespodzianie, pośratać śe=zejść się, zwąchać się (o młodzieży płci obojéj lub o zwierzętach), povązka=płótno do cedzenia udojonego mléka, psuby=grzyby nie jadalne (w pierwszéj części może poczucie tego samego pierwiastku co w grzybach zwanych psiarki, w końcówce zaś może wpływ ruskiego *guby*), rechtać: wyraz onomatopeiczny o żabach, i świniach, podobnie ropotać, ściviśnie=w rzeczy saméj, śląkwa=słota, v^{u}ocemieniu (*w ocemgnieniu* u Potockiego) = w okamgnieniu, tu może poczuwają coś wspólnego z wyrażeniem: w ociemnieniu lub w oka mienieniu; sprzykśny=natręt, svák (może ściągnięte ze svojak)=wuj lub stryj, w Stobiernéj zaś pod Rzeszowem, jak mię zapewniano, ma to znaczyć teść, w gwarze lasowskiéj zaś: mąż siostry matki; telbuch=brzuch, w gwarze lasowskiéj wyraz nieznany, to samo znaczy vańtuch; zązelic=łajać kogo, to

samo znaczy zryzać. Największemi zaletami téj pracy są: dokładne zapisanie wszelkich zjawisk pisownią organiczną, bogaty słownik i sumienne opracowanie materyału, za co autorowi najzupełniejsze należy się uznanie.

Kraków, w Styczniu 1881.

Jan Hanusz.

Sanctissimi Domini Nostri Leonis PP. XIII littera encyclica de Bulgarorum et Slavorum christiana origine, illustrata documentis excerptis ex antiquis epistolis Romanorum Pontificum P. V. V. O. P. Romae ex typographia polyglotta S. C. de propaganda fide, 1881, stronnic 24, 8⁰.

Encyklika papieża Leona XIII *Grande munus* z 30 Września r. 1880 o św. Cyrylu i Metodym ogłoszoną była po raz pierwszy w Rzymie w dziennikach klerykalnych z 2 Października tegoż roku, przedrukowana następnie i przetłómaczona przez wiele codziennych pism słowiańskich, powtórnie została ogłoszoną drukiem przez kongregacyą de propaganda fide pod powyższym tytułem wraz z wyjątkami dokumentów, które w części służyły jéj za podstawę.

Wiele słowiańskich czasopism i dzienników, które podały ją, lub nie, w całym jéj tekscie, bardzo przychylnie wyraziło się o niéj żadne jednak, o ile wiem, nie zwróciło uwagi na historyczną jéj część tj. o ile podane w niéj wiadomości z działalności apostołów słowiańskich zgodne są z faktami przez krytykę historyczną uznanemi za pewne. W tym względzie ci nawet, którzy historyą apostołów znają choćby nie ze źródeł pierwszéj ręki, zdziwieni być musieli niektóremi jéj ustępami, w szczególności zaś następnym: „Per eadem tempora Evangelii lumen in Poloniam invehendum curavit (Methodius), quo cum ille per mediam Gallaeciam penetravisset, sedem episcopalem Leopoli statuit. Inde, ut nonnuli tradiderunt, in Moscoviam proprii nominis digressus, thronum pontificale Kiowense constituit.“ Z jakiego źródła wyczerpano te dane jest bezwątpienia rzeczą bardzo ciekawą, tak samo jak niewłaściwą, mówiąc o czasach Cyryla i Metodego, używać wyrazów *Moscovia* (miasto Moskwa po raz pierwszy wzmiankuje się w historyi w roku 1147 a wielkie księstwo Moskiewskie powstało znacznie późniéj i Kijów, notabene, został do niego przyłączony dopiéro w XVII wieku) lub *Gallaecia* i to jeszcze w tak poważnym dokumencie. Piszący niniejsze słowa miał sposobność zwracać uwagę jednego z wysokich dostojników kościoła na kruche w obec historyi fundamenty, na jakich opiera się ten ustęp; odpowiedziano mu uprzejmie, że w archiwum Watykańskiém musia-

no zapewne odszukać dokumenty, potwierdzające te fakty, co było raczéj próbą sprowadzenia oponenta z drogi krytyki na drogę wiary *in verba magistri*, aniżeli zadawalniającém tłómaczeniem, bo jeżeliby podobne dokumenty istniały, ukrywanie ich nie miałoby celu, ale przeciwnie podanie ich do powszechnéj wiadomości byłoby korzystném dla saméj stolicy apostolskiéj a dla historyi bardzo ważném; że ich niema wnioskować można i z tego (pomijam, że wyrazy *nonnulli tradiderunt* same wykluczają istnienie jakichkolwiek dokumentów), że prefekt archiwum Watykańskiego prof. dr. Piotr Balan, który wkrótce po ogłoszeniu encykliki umieścił w rzymskim dzienniku *Aurora* szereg artykułów o stosunkach stolicy apostolskiéj ze Słowianami w średnich wiekach, podając w nich nieco nowych źródłowych wiadomości, o niczém podobném nie wspomina; żadnego również dokumentu lub historycznéj notatki do objaśnienia powyższego ustępu nie znajdujemy w dodatkach do tego wydania encykliki, którego tytuł wypisałem na czele.

Materyałów do encykliki dostarczyć musiał kardynał Bartolini, do którego podobne sprawy, jako do przełożonego kongregacyi rytów, z obowiązku należą, jego więc informacye nie były widać należycie źródłowe, mimo że tą kwestyą zajmował się od dosyć dawnego czasu, jeszcze jako sekretarz tejże kongregacyi. Wątpię bowiem, ażeby podobne niedokładności, nie wskutek informacyi. zaczerpniętych ze złych źródeł lub od osób nie dobrze ze sprawą obznajmionych ale umyślnie pomieszczone zostały w encyklice dla objęcia nią, że się tak wyrażę, jak największéj jeograficznéj przestrzeni i *wszystkich* narodów słowiańskich, lub téż, gdy encyklika miała być podobno przed ogłoszeniem komunikowaną w Wiedniu i tam porobiono zmiany w jéj pierwotnéj redakcyi, ażeby jakiś uczony mąż z Ballplatz'u kazał choćby *Gallaeciae* tylko odgrywać w encyklice taką rolę, jak Piłat w *Credo*. Zdaje mi się, że wspomniany ustęp mógłby być ze względu na historyą lub opuszczony, lub inaczéj zredagowany z opuszczeniem wzmianki o założeniu przez Metodego biskupstw we Lwowie i Kijowie a już co najmniéj bez obrazy historyi wypadałoby użyć wyrazów *Russia* i *Chrobacia* zamiast *Moscovia* i *Gallaecia*.

Wyjątki z dokumentów, ogłoszone tu z bullą (str. 12—24), prawie wszystkie odnoszą się do spraw kościoła Bulgarskiego i historyi stosunków kuryi Rzymskiéj z Bulgaryą aż po rok 1204; niema w nich nic nowego i są tylko częściowym przedrukiem dokumentów, które się znajdują w Patrologii Migne'go w tomach 119, 122, 214 i 215.

Powracając jeszcze do encykliki, dodaję, że w niéj wspomniano także, iż św. Cyryl umarł w Rzymie i tu z wielką pompą pochowany został. Bazylika św. Klemensa, w któréj kości jego zostały zło-

żone, doznawała od owéj chwili rozmaitych ciosów losu i czasu: dziś nie jest pewném, czy te kości spoczywają tam jeszcze, nieznaném jest miejsce, w którém ongi był grób jego; ażeby się o tém przekonać, potrzeba przedsięwziąć pilne poszukiwania, dokładnie zbadać mury i fundamenty bazyliki i mieć na to znaczny fundusz. Nim się takowy zbierze i badania dojdą do skutku, uważam za stosowne ogłosić poniższy list Rudolfa II do Grzegorza XIII z 12 Listpada roku 1580, w którym cesarz popiera prożbę swego poddanego Stanisława Pawłowskiego, biskupa Ołomunieckiego, ażeby papież pozwolił przenieść kości tych świętych na Morawę, gdzie oni słowo boże pierwsi opowiadali i gdzie ich pamięć zdawna najwięcéj była czczoną. Oto jego dosłowny tekst:

Beatissime in Christo Pater et Domine reverendissime. Post humilem commendationem filialis observantiae continuum incrementum Sanctitati Vestrae inprimis optamus. Ossa divorum Cyrilli et Methudii episcoporum sacra, qui fidem catholicam primi in marchionatu nostro Moraviae docuerunt, Romae delitescere accepimus. Ea ossa reverendus, devotus, fidelis nobis dilectus Stanislaus Paulovius, episcopus Olomuncensis, cuius in diocesi colitur et celebratur quotannis horum Sanctorum memoria, ad ornamentum et thesaurum ecclesiae suae valde expetit, eaque de re litteras ad Sanctitatem Vestram dare constituit. Cum itaque eius episcopi in Deum et in veram religionem catholicam, quam afflictis his temporibus pro virili tueri et propagare contendit, ardens studium et in Sanctitatem Vestram pietatem singularem exploratam habeamus, volumus, ut is Sanctitati Vestrae hoc nomine tanto magis commendaretur. Ac propterea regamus Sanctitatem Vestram peramanter, ut eius petitioni pro sua praestanti bonitate annuat et ossa nominata ad aedificationem populi Moravici et maiorem eius in Deum cultum illi concedat. Erit haec Sanctitatis Vestrae benignitas et propensio ipsi Deo inprimis grata, nobis vero, qui Sanctitati Vestrae omnia prospera evenire ex animo cupimus, perquam accepta. Praga nostra regia XII Novembris, anno domini Servatoris nostri octuagesimo; regnorum nostrorum Romani et Imperii sexto, Hungariae nono, Bohemiae vero sexto.

Obsequens filius *Rudolphus.*

Wratislaus a Pernestan
Supremus Regni Boemiae Cancellarius.

na zewnątrz:

Beatissimo in Christo Patri, Domino Gregorio decimotertio, divina providentia, Sanctae Romanae ac Universalis Ecclesiae Summo Pontifici, Domino reverendissimo.

List ten pisany jest na pargaminie; odszukałem go w archiwum tajném Watykańskiém w oddziele *Litterae principum* tom 35, nr. 28; listu samego biskupa i odpowiedzi papieża nie udało mi się dotychczas znaleść.

Rzym 5 Czerwca 1881, *Teodor Wierzbowski.*

— **Metody i teorye rozwiązywania zadań geometrycznych konstrukcyjnych,** *zastosowane do przeszło 400 zadań przez dr. Jul. Petersena... przetłómaczył dr. Karol Hertz,* (Warszawa, 1881, str. 101). Autora zajmuje myśl wyrobienia w czytelniku systematycznéj, na tych samych zasadach teoretycznych opartéj, metody rozwiązywania za pomocą wykreślenia oddzielnych grup zadań geometrycznych. Dąży więc do tego, aby czytelnik jasno zdał sobie sprawę z charakteru zadania, sam obmyślił zastosowanie znanych (a przytoczonych) prawd ogólnych do jego rozwiązania, jako też należycie przedstawił sobie związek danego zadania z innemi. Przestudyowanie sumienne téj książeczki rozwija w kierunku właściwym zdolności obserwacyjne i kombinacyjne ucznia, wyrabiając poważnie jego samodzielność. Podobnego dzieła literatura matematyczna jeszcze nie posiadała. Nie dziw więc, że ono, choć po duńsku pierwotnie (1866) wydane zwróciło na siebie uwagę nietylko w krajach bliskich, tj. w Szwecyi i Norwegii, ale doczekało się (w r. 1879) tłómaczeń na języki francuzki, niemiecki i angielski, a obecnie p. Hertz zrobił je dostępném dla naszéj młodzieży. Uwzględnienie jéj w nauczaniu średniém zniosłoby jednostronność zadań na niemal wyłącznie algebraiczne rozwiązywania. Dla studyujących zaś matematykę w zakładach specyalnych książka ta przedstawia znakomite przygotowanie do przyswojenia należytego metod wykreślnych, coraz więcéj uwzględnianych w różnych działach matematyki stosowanéj.

— **Salomon Majmon,** *przyczynek do dziejów filozofii w Polsce,* napisał *Antoni Rembieliński* (Warszawa, 1881, str. 56). Na pierwszych 8 stronicach kreśli autor w rysach nader ogólnych stan filozofii w Polsce w ciągu trzech stuleci (XVI—XVIII) i dochodzi do wniosku, że „filozofiia polska zawsze odznaczała się pewnym brakiem samodzielności i oryginalności, a w skutek tego spodziewać się, żeby mogła ona wywrzéć tak doniosły wpływ na ogólny rozwój europejskiéj myśli, jaki bezwątpienia wywarła filozofia narodów zachodu“ nie można. Następnie zaznaczywszy, że Majmonem zajmowali się u nas dwaj pisarze Urmowski w Roczniku *Uniwersytetu* Warsz. (*sic!*) i Kazimierz Kaszewski w „Bibliotece Warszawskiéj“, określa pierwszą pracę jako wyczerpującą biografią tylko, drugą zaś stawiając wysoko, robi

zarzut, że nic prawie nie wspomniała „o wpływie, jaki wywarł Majmon na rozwój filozofii w Polsce.“ Z téj charakterystyki i z tego zarzutu mogłoby się wydawać, że główną myślą „przyczynku do dziejów filozofii w Polsce“ będzie wykazanie owego wpływu Salomona Majmona. Czytelnik jednak przekonywa się niebawem, że tak nie jest; czyta bowiem biografią Majmona (str. 11—26), tytuły dzieł przezeń wydanych (str. 26—30), daléj streszczenie wielce nieudolne trzech rozpraw nierozbieranych przez p. Kaszewskiego tj. *Badań krytycznych*, *O postępach filozofii* i *Kategoryi Arystotelesa* (str. 30—48). Dopiéro na 8 ostatnich stronicach znaleść można *próbę* dowodzenia, że Majmon wywarł znaczny wpływ na umysłowość narodu naszego. Ale tu spotkamy gołosłowne jedynie twierdzenia, niepoparte faktami. Sam p. Rembieliński zmuszony jest wyznać, że „Majmon nie wywarł wpływu na filozofią w Polsce ani swoją *Logiką*, ani *Poszukiwaniami krytycznemi*, ale swoją działalnością, mającą na celu wzniecić wśród swych ziomków zapał do badań filozoficznych, obudzić myśl polską, która przez dwa wieki była w uśpieniu“ (str. 53). Na następnéj zaś karcie i to nawet twierdzenie ścieśnia, mówiąc: „Majmon nie wywarł wpływu na rozwój filozofii w Polsce jako filozof-metafizyk, ale jeden z mężów, którzy wskazali naszemu społeczeństwu nowe ideały—naukę i pracę, a *przez to* wpłynęli na ogólny rozwój myśli polskiéj“ (str. 55). My ze swéj strony zauważymy, że chcąc wykazać wpływ jakiego myśliciela na społeczeństwo, potrzeba dowieść, że poglądy jego znalazły zwolenników w kraju, że stawały się przedmiotem rozważania i rozbioru, i dawały pochop do dalszych badań. Tymczasem Majmon pisał po niemiecku, o działalności jego nie wiedziano w kraju bardzo długo, filozofią niemiecką poznawano nie z jego prac, ale z dzieł głównych filozofów niemieckich, Kanta, Fichtego, Schellinga, których dali nam poznać na początku stulecia bieżącego Jędrzéj Śniadecki i Józef Kalasanty Szaniawski. Ta okoliczność, że Majmon w swojéj autobiografii pomieścił „statystyczne opisanie kraju naszego“; że swoję krytykę filozofii Kanta dedykował Stanisławowi Augustowi; że pragnął, „aby wszystkie klasy społeczeństwa polskiego, porzuciwszy niesnaski i spory, żyły w zgodzie, mając wyłącznie dobro publiczne na względzie; że nazywał się zawsze „urodzonym Polakiem“:—dowodzi jedynie jego zacnych uczuć obywatelskich; to mu niewątpliwie przyznaném być winno i to jedynie upoważnia nas do zaliczania go w poczet filozofów polskich, nie zaś wpływ, którego dotąd nie dowiedziono.

═ Znajomość dziejów literatury powszechnéj wśród naszego ogółu jest bardzo elementarna, że nie powiem żadna. Z tego względu każdy rozumnie obmyślany środek zaradzenia tak rażącemu brakowi

należy powitać uznaniem. Wspominaliśmy tu już dawniéj o prowadzonych siłami zbiorowemi od półtora roku *Dziejach literatury powszechnej z ilustracyami;* obecnie zaznaczyć wypada ukazanie się pierwszych dwu zeszytów **Historyi literatury powszechnej** *Jana Scherra* w przekładzie p. Bronisława Zawadzkiego, dokonanym według szóstego wydania oryginału. Sądzimy, że dla obu tych wydawnictw jest miejsce w naszém piśmiennictwie, różnią się one bowiem zarówno objętością zawartego materyału, jak i sposobem jego obrobienia. *Dzieje literatury powszechnej z ilustracyami* są obmyślane i opracowywane na skalę obszerną; dość powiedzieć, że 27 arkuszy dotychczas wyszłych obejmuje tylko literaturę chińską, indyjską, egipską, asyryjsko-babilońską, hebrajską, perską i początek greckiéj (Homer), gdy tymczasem praca Scherra, pomimo ciągłego w nowych edycyach rozszerzania tekstu, nie mogła pozbyć się pierwotnéj cechy encyklopedyczności, tak że na 20 arkuszach, pomieściła oprócz sześciu powyżéj wspomnianych literatur, historyą jeszcze innych wschodnich, tj. japońskiéj, arabskiéj, perskiéj, tureckiéj, a nadto całą literaturę grecką, rzymską i wstęp do wieków średnich. Powtóre, co do sposobu traktowania rzeczy Scherr stara się o jaknajwiększą zwięzłość, a przytém o wyliczenie znacznéj liczby nazwisk i tytułów, skutkiem czego opowiadanie jego zamienia się czasami, na suchy katalog różnych imion własnych z pewnemi epitetami albo téż na proste wyjątki ze znakomitych arcydzieł np. z Iliady, Odysei, tragedyi, komedyi, mów itp. gdy tymczasem autorowie *Dziejów literatury z ilustracyami* starają się zaznajomić z treścią utworów, ażeby dać należyte pojęcie o ich całości. Odpowiednio więc do potrzeb, czytelnik może użyć jednéj lub drugiéj pracy. Tłómacz Scherra dodaje od siebie tu i owdzie przypiski, czy-to uzupełniające bibliografią podaną przez autora, czy téż wyjaśniające jakiś szczegół z historyi literatury, gołosłownie w tekście podany; przytém obiecuje uzupełnić dzieje literatur słowiańskich. Wydanie jest wogóle staranne; na pierwszych jednakże kartach dostrzegliśmy niemiłe usterki językowe i faktyczne. Wyrażenie: „*słabych* jéj początków można *śledzić* już w starożytnych czasach“ jest niepolskie; Dyonizyusz z Halikarnasu nigdy się *Dyonizosem* nie nazywał; żadnego *Philistra* historya literatury greckiéj nie zna, tylko chyba *Filostrata*, autora Zarysów z życia sofistów; Klein już nie *opracowywa* swéj historyi dramatu; gdyż umarli „szybko wprawdzie jeżdżą“, jak mówi niemiecka ballada, ale pisywać nie zwykli. Wyrażenie *Inkasowie*, choć rozpowszechnione, powinnoby ustąpić miejsca jedynie naukowéj nazwie *Inkowie*, gdyż znakiem liczby mnogiéj nie jest w polskim języku głoska *s*, do którejby dodawały się jeszcze inne zakończenia; „drama w rodzaju żeńskim dawno już wyszła

z użycia. Te i tym podobne usterki przy pilniejszéj rewizyi tekstu łatwo mogłyby być usunięte, to też rzadziej się spotykają w dalszym ciągu.

= **Dzieł Lucyana Siemieńskiego** wyszły 3 dalsze tomy. Tom piąty, obejmuje pięć portretów: *Konstantego Gaszyńskiego*, *Antoniego Malczewskiego*, *Jana Pawła Woronicza*, *Wacława Rzewuskiego* i *Anioła Szlązaka*. Oprócz tego znajdujemy tu nadzwyczaj ciekawą i zajmującą rozprawkę, z samych prawie listów autentycznych złożoną p. n. *Obóz klasyków*, gdzie zapoznajemy się z poglądami, usposobieniami i uczuciami wielu słynnych i wpływowych osobistości pomiędzy rokiem 1823 a 1830. Trudno wprawdzie twierdzić, że to jest zupełna historya nie już walki romantyków z klasykami, ale choćby tylko samego obozu klasycznego, gdyż autor, opierając się wyłącznie niemal na listach, nie zużytkował dość obfitego materyału drukowanego; w każdym atoli razie jest-to wyborny przyczynek do charakterystyki owych ważnych i ciekawych czasów. Tom szósty i siódmy przenoszą nas do zupełnie innéj dziedziny prac literackich Siemieńskiego. W poprzednich widzieliśmy jego zdolności krytyczne, w tych zapoznajemy się z jego twórczością beletrystyczną. Dodać należy, iż twórczość ta wprzód się w nim objawiła, zanim przeszedł na pole sprawozdań i krytyki. Właściwego talentu powieściopisarza Siemieński nie posiadał; to, co Taine nazywa „tworzeniem dusz," w bardzo małym stopniu przyznać mu można. Zamiłowanie do wypadków nadzwyczajnych, do ludzi ekscentrycznych prowadziło go do przeważnego zwracania uwagi na wyjątki, nie na ogół ludzki. Przytém zaczął pisać w owéj chwili, kiedy romantyzm obudził uczucia gwałtowne i namiętne, do których niejednokrotnie ludzie się dostrajać musieli, nie czując ich w sobie naprawdę. Siemieński miał rzeczywiście zawsze wiele zdrowego rozsądku i bardzo wcześnie umiał się krytycznie zapatrywać na objawy będące w modzie, a dowodem tego może być humorystycznie skreślony obrazek p. n. *Romantyk*, ale uwolnić się w zupełności od wpływu atmosfery duchowéj czasu nie potrafił. Jego nowelle i opowiadania, odczytywane dzisiaj, robią wrażenie czasami dawno zasuszonych kwiatów, mających powab wspomnień, a często także zaleci z nich zapach perfum zwietrzałych; co się podobało, gdy było modném i świeżém, dziś już wygląda tak, jak starych mód ryciny. Uczucia egzaltowane i gorączkowe, wywoływanie duchów, pocałunki przesyłane księżycowi, wiary we wróżby i przepowiednie, eksperymenta magnetyczne, awantury nieprawdopodobne, bohaterowie dotknięci obłędem, historye o alchemikach w wieku XIX, sentymentalne ogólniki o anielstwie lub zmienności płci pięknéj, o wszechpotędze dukata, o nędzocie i nikczemności

natury ludzkiéj — zastępują tu miejsce nieskończonéj różnorodności objawów serca, ludzi żyjących wśród warunków rzeczywistych, analizę psychologiczną, obserwacyą szczegółową, przedmiotowość w przedstawieniu rzeczy, wypadków i dusz. Opowiadanie wszędzie płynie gładko, czasami strzeli dowcipem, ale nie odbija charakteru indywidualnego przedstawianych osobistości; wszędzie i zawsze widzimy autora, który nie waha się nawet otwarcie, wobec czytelnika, pokazywać sznurków służących do wprawiania w ruch tych ludzi, o których toczy się opowiadanie. Ale jako opowiadacz-stylista Siemieński ma zalety niepospolite, a najpierwszą tę, że nie nudzi, że nie przedłuża wątku nad miarę, że opowiada żywo i ma humor. Dwa zbiory powiastek i opowiadań, jeden pod napisem arabskim *Muzamerit* (gawęda przy świetle księżyca), drugi pod naszym zwykłym: *Wieczornice* obejmują kilkanaście utworów, z których jedne mogą służyć za ciekawe okazy zaginionego już dzisiaj gatunku nowelli, inne spełniwszy swoje zadanie u dorosłych, przeszły albo przejść mogą do książek dla dzieci (*Portret króla Jana*, *Wiązanka konwalij*, *Przygoda podróżnika*, *Szklany człowiek* i in.). Nie chciałbym, ażeby czytelnicy brali to ostatnie orzeczenie za wyraz lekceważenia spuścizny po niepospolitym felietoniście, bo napisać rzecz dobrą dla dzieci nie jest tak łatwo, jak wielu się jeszcze wydaje, a wymienione opowiadania są istotnie dobremi.—Wśród powiastek znajdujemy w zbiorze „Wieczornic“ kilka artykułów, które właściwie umieścićby należało w tomach poprzednieh, jak np. „Typy i charaktery w literaturze,“ „O miłości w poezyi i w świecie rzeczywistym,“ „Duch i symbolika w sztuce,“ „Olesk i Biały Kamień,“ „O architekturze chrześcijańskiéj,“ „Rysy górali tatrzańskich.“ Zostawiono je tutaj, gdyż tak zrobił autor, wydając niegdyś swoje „Wieczornice“ w trzech tomach w Wilnie.

— Holandya jest jedynym w Europie krajem, gdzie po uniwersytetach, a jest ich cztery, wykładano na wydziałach teologicznych *historyą religij*, jako osobny przedmiot, nim jeszcze nastąpiła w 1876 r. głośna reforma tych wydziałów, polegająca na stanowczém ich sekularyzowaniu. Fakt ten wytworzył grono uczonych, którzy bez żadnego nacisku lub przeszkód z zewnątrz, badając w ciszy gabinetów przedmiot tak ważny, jak rozwój i przejawy pojęć religijnych, pracami swemi zaraz po wyjściu w świat tłómaczonemi na inne języki, wzbogacali piśmiennictwo naukowe europejskie. Na fakt ten powoływał się minister oświecenia we Francyi, gdy w senacie przed dwoma laty stawał w obronie projektu rządowego otwarcia pierwszéj w *Collége de France* katedry historyi religij. Do piśmiennictwa przeto holenderskiego udać się byli zmuszeni francuzi, gdy szło o wyszukanie sto-

sownego *podręcznika* przedmiotu nowego, wprowadzonego świeżo w kolegium do wykładu, chociaż wydali szereg uczonych badaczy, którzy dla tych-że holendrów dostępnemi uczynili *księgi religijne* rozmaitych narodów starożytnych. Wydany w roku zeszłym **Manuel de l'histoire des Religions** jest przekładem z holenderskiego. Autor przełożonego dzieła, profesor historyi religii w Lejdzie *C. P. Tiele* już był poprzednio znany z prac następnych: *De Godsdienst van Zarathustra*, 1864; *Vergelijkende Geschidenis der Oude Godsdiensten*, 1869—1872; *De Plaats van de Godsdiensten der Natuurvolken in de godsdienstgeschiedenis*, 1873. Tłómacz dzieła profesora Tiele, *M. Vernes* zmienił tytuł jego. Nazwał *podręcznikiem* historyi *religij* to dzieło, któremu autor nadał tytuł: *Zarys* historyi *religii*. Objaśniając znaczenie nadanego tego nadpisu, autor mówi we *wstępie* do przekładu francuskiego: „Należy zawsze pamiętać, żem zamierzył wykład historyi *religii*, nie zaś historyi *religij*. Materyał pozostaje ten sam w obu wypadkach. Lecz za to punkt wyjścia jest różny. Wykładający historyą *religij*, mało może baczyć na ogniwa łączące z sobą rozmaite systemata religijne lub obrazy religij; wykładający historyą *religii* zamierza wykazać, w jaki to sposób znany *fakt psychologiczny*, któremu nadajemy nazwę *religii*, rozwija się i w różnych formach u rozmaitych plemion zamieszkujących ziemię przejawia. Chce on przedstawić, jak wszystkie religie, nie wyłączając nawet religii narodów najbardziéj ucywilizowanych, powstały z jednéj, prostéj i pierwotnéj zasady. Chce on wyjaśnić, jakie okoliczności sprzyjały, jakie zaś stawały na przeszkodzie rozwojowi téj zasady, skoro doprowadziły ją u jednych do polidemonizmu niskiego, u drugich do najwyższych pojęć o bóstwie i o stosunkach jego ze światem. Zamiast klasyfikacyj sztucznych, tchnących laboratoryum, wprowadzamy więc rozwój zewnętrzny i wewnętrzny, również niezaprzeczony w historyi, religii jak i w historyi cywilizacyi ogólnéj..." Przechodząc do *historyi*, autor w księdze 1-széj swego dzieła następne zaznacza zwroty w rozwoju religii: „Epoka religii pierwotnéj, któréj zaledwo słabe pozostały ślady, zakończyła się peryodem *animizmu*. Animizm dość wcześnie doprowadził ludy cywilizowane do narodowych religij *politeistycznych*, opartych na doktrynach tradycyjnych. Następnie z politeizmu tu i owdzie powstały religie *nomistyczne*, czyli gminy religijne, urządzone według przepisów czyli zakonu zawartego w piśmie świętém (Konfucyanizm, Tanizm, Mozaizm, przed VIII wiekiem ery naszéj, i wynikły z niego Judaizm, Brahmanizm i Mazdeizm). W gminach tych z biegiem czasu politeizm przekształcił się w *panteizm* lub *monoteizm*. Dwa te poglądy filozoficzno-religijne doprowadziły z czasem do religij powszechnych (Buddaizm, Chrystyanizm, Mahometanizm), opartych na

zasadach stałych, prowadzących do celów, z tych zasad wypływających." Słowa te posłużyły za programat całego dzieła. Grunt filozoficzno-dogmatyczny, na którym autor z założenia swego stanął, nie pozwolił mu wprowadzić do dzieła wielu szczegółów ilustrujących każdą religią, nie pozwolił uwzględnić pochodzenia i opisu kultu, powstawania i przekształcania się mitów, piśmiennictwa apologetycznego i polemicznego. Lecz zarazem nie przeszkodził mu korzystać ze wszystkich i najnowszych odkryć w dziedzinie etnografii, językoznawstwa i historyi.

KORESPONDENCYA.

Szanowna Redakcyo!

W majowym zeszycie „Ateneum" w b. r. podaną została wiadomość, zaczerpnięta, jak sądzę, z Bibliografii polskiéj Estrejchera, że p. Gubrynowicz we spół ze mną założył i początkowo wydawał *Bibliotekę Mrówki*. Upraszam o uprzejme sprostowanie téj wiadomości, gdyż p. Gubrynowicz nigdy do tego wydawnictwa nie należał i ja nigdy nic wspólnie z p. Gubrynowiczem nie wydawałem. Ja sam rozpocząłem w r. 1869 wydawać Bibljotekę Mrówki i prowadziłem to wydawnictwo sam do roku 1878, w którym to czasie przystąpił do współki p. M. Biernacki (Rodoć) i odtąd prowadzimy je razem, ale zawsze bez jakiegokolwiek bądź udziału p. Gubrynowicza.

Z wysokiem poważaniem

Lwów, 2 Lipca r. 1881. *A. D. Bartoszewicz.*



Wydawca, **W. Spasowicz**.—Redaktor, **Piotr Chmielowski**.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum“

w ciągu m. Sierpnia 1881 r.

---

1. **Z nad brzegów morza północnego.** Hamburg. Wspomnienia z podróży z r. 1879 napisał *Henryk Müldner*. Warszawa 1881.
2. **Biblioteka umiejętności prawnych.** Zeszyt 69. Ustawy hypoteczne p. *Feliksa Jeziorańskiego*.
3. **Owoce** p. *Edmunda Jankowskiego*. Warszawa 1881.
4. **Księżna Gorysława.** Dramat w pięciu aktach p. *Juliana Moers* z Poradowa. Pisa. 1880.
5. **Pamiętnik fizyjograficzny**, wydawany staraniem *E. Dziewulskiego* i *Br. Znatowicza*. Tom I. Warszawa 1881. (Prenumerata w Warszawie 5 rs., dla prowincyi 5 rs. 50 kop. Adres: „*E. Dziewulski*, Warszawa, Podwale, Nr. 2“).
6. **Zbiór praw i przepisów** Towarzystwa kredytowego Ziemskiego w Królestwie Polskiem — Tomów 3. Warszawa 1881.
7. **Tendencyjność i krytyka** napisał *Adam Goraj*. Warszawa 1881.
8. **Dzieła Lucyana Siemieńskiego.** T. VII. (Wieczornice.). Warszawa 1881, str. 314.
9. **Szkice historyczne z życia Żydów w Warszawie**, od pierwszych śladów pobytu ich w tém mieście do chwili obecnej — skreślił *Hilary Nussbaum*. Warszawa 1881.
10. **Wypisy polskie** ułożył *Adolf Dygasiński*. Część Niższa. Warszawa 1881. str. 176. Cena kop. 45.
11. **Bunt Gdański** w r. 1525. Przyczynek do historyi reformacyi w Polsce. Napisał *Antoni Lorkiewicz*. Lwów 1881. str. 193. (Dochód przeznaczony na założenie bursy przy gimn. w Sanoku).
12. **Niekotoryje otdieły „Srawnitielnoj grammatiki“** Słowiańskich jazykow. Otrywki iz lekcij J. Boudouin de Courtenay w kazanskom Uniw. Warszawa 1881.
13. **F. A. Lange.** Historya filozofii materyalistycznej — przełożył *Feliks Jezierski*. Zeszyt VIII. Warszawa 1881.
14. **N. W. Kruszewski.** K woprosu o gunie. Izsledowanje w obłasti starosławianskawo wokalizma. Warszawa, 1881, str. 109; cena rs. 1.

Dnia 1-go sierpnia wyszedł z pod prasy zeszyt XX-ty **Słownika geograficznego polskiego** (VIII-ty tomu II-go) i obejmuje opisy miejscowości od **Gierdziejówki do Gnojnika**. Z większych zaś artykułów zeszyt ten obejmuje: **Gierlach, Gietrzwałd, Giewont, Glinany, Gliwice, Główno, Głuchów, Głupczyce, Gniew, Gniezno.** Zeszyt XXI wyjdzie 1-go września i obejmie artykuły rozpoczynające się od **Go...**

Дозв. Цензурою, Варшава, 19 Августа 1881 г. Druk K. Kowalewskiego, Królewska 23.